

ADAM HR. RZEWUSKI



**ZESTRZELBA
NA RAMIENIU**

THE UNIVERSITY OF CHICAGO



Samuel R. Pierson

ZE STRZELBĄ NA RAMIENIU

ADAM HR. RZEWUSKI



ZE STRZELBĄ NA RAMIENIU

OPOWIADANIA MYŚLIWSKIE

Z PRZEDMOWĄ
JULJANA EJSMONDA

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
W GLIWICACH
Nr. ~~2098~~

Nr 2098



WARSZAWA 1929
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA



Rze
Ze
8-3

~~2008~~



SN 22486



929-052 A/Z

*Najukochańszej Żonie mojej
wiernej towarzyszce dni Doli i Niedoli*

OLIMPJI Hr. RZEWUSKIEJ

tę pracę swą poświęca

Autor

SŁOWO WSTĘPNE

Łowiectwo' nazywali nasi dawni poeci rycerską zabawą, która ludziom szlachetnym radości dodawa.

Jeśli zwrócimy oczy nasze i uszy wstecz i nastuchiwać poczniemy echa z przeszłości, usłyszymy wówczas dalekie granie trąbek łowieckich i gon ogarów, od którego niemasz dla myśliwskich serc rozkoszniejszej i bardziej krzepiącej muzyki. I zobaczymy to, co było rycerską szkołą naszych przodków: staropolskie łowiectwo, którym można było upić się, jak staropolskim, dostojnym miodem i które biło do głowy, jak wystaty, złoty miód, jak wino!

W myśliwskich utworach Adama hr. Rzewuskiego jest ten szlachetny i szlachecki ton z przeszłości. Szlachetność i szlacheckość łączy się w odczuwaniu łowieckiej rozkoszy. Cechą jednej i drugiej jest rycerskość. Cechą jednej i drugiej jest niefrasobliwy humor i ukochanie „dawnych, dobrych czasów“ bez złośliwej nienawiści do czasów idących, które kocha się niemniej gorąco, chociaż inaczej.

JULJAN EJSMOND

OPOWIADANIA MYŚLIWSKIE

puje zawsze, gdy marny robak ludzki do łona świętej Matki-Przyrody kornie się schyla!

Nawet ten dym drzew brzozowych, dających siłę pociągową starem parowozowi — wywołuje wspomnienia ubiegłych lat dzieciństwa!

O czwartej w nocy wylądowałem na przystanku, w zapachach śniegowych zatopionym, wśród lasów świerkowych, rozścielających się na setki kilometrów, aż hen! ku tundrom Archangielskim.

Odchodzi powoli stateczny, staroświecki pociąg, zanurzając się w horyzonty coraz głębszej północy. Jedyne stróż stacyjny skwapliwie gasi jedyną latarnię.

Wchodzę do izdebki, noszącej szumną nazwę poczekalni I klasy.

Dwie jakieś zakutane figury w zamaszystych czapkach Nansenowskich, w kożuchach i „walonkach“, z iście wielkorosyjskim akcentem zwracając się do mnie, meldują o sytuacji obecnej.

Muszę dodać, że „na niedźwiedzia“ wybrałem się był w towarzystwie najmilszego mego i długoletniego towarzysza wierzchowieńskich i innych polowań p. Aleksego Rubinszteina.

Myśliwy to w całym znaczeniu tego słowa, prawdziwy Wilhelm Tell jako strzelec, a doskonały hodowca zwierzyny w swych Owruckich majątkach. Jako człowiek — to typ gentelmana ujmująco miłego.

W Petersburgu jeszcze zawiadomił mnie pan Aleksy, że już umówił się z jednym z kantorów myśliwskich, dostarczających „ad hoc“ niedźwiedzi¹⁾, i że posiada trzy „barłogi“, z których w jednym siedzi niedźwiedzica z młodymi, zeszlórocznymi łączakami. Barłogi te miały się znaj-

¹⁾ Niejaki p. Papengut.

dować w powiatach Tichwińskim i Białozierskim, z powodu zaś znacznej odległości od stolicy i kolei, są dość tanie, gdyż po ośmnaście rubli od puda tylko. Pod Petersburgiem płacono od dwudziestu pięciu do trzydziestu rubli, przy warunkach wystawienia na strzał bestji, niezależnie od zabicia lub pudła.

Jechać wypadło tegoż dnia wieczorem, gdyż odpowiednia aura, z mrozem kilkustopniowym, skłaniała bardzo ku temu.

Zadną jednak miarą nie mogłem tego dnia skorzystać z wycieczki. Stało się na tem, że mój towarzysz sam jeden wyjedzie, upoluję niedźwiedzicę z młodymi a ja za 24 godziny przyjadę i wezmę udział w łowach na pozostałe sztuki.

Miejscowi włościanie, tak zwani „okładczyki“, mieli oczekiwać na mnie na stacji i zawiadomić, dokąd mam jechać i w jakiej wiosce czy osadzie znajdować się będzie pan Rubinsztejn.

— Dziś „barin z Pitiera“ brał na barłogu niedźwiedzicę, nocować będzie w „dierewni Andronikowej“, jutro zaś „ważniom“ dwa drugich „zwiera“, z których jeden leży około wsi Mierzej, w odległości ośmdziesięciu dwóch wiorst. Koniki, barin, czekają siadaj i jedź!

— Popasać będziemy — ciągnął dalej „mużik“ — i napijem się „czaju“ u mego przyjaciela, Wasyla Iwanowicza Wieniczewa, na czterdziestej piątej wiorście.

— Nu, z Bogom, w dorogu!

* * *

Nocleg we wsi Mierzach, u „okładczyka“ Wasilja Fiodorowa, i bliższa znajomość z miejscową ludnością, dała mi dużo do myślenia. Przekonałem się, że warunki przeżytego bytu, dawne swobody prastarego „Wicza“ nowo-

NA NIEDŹWIEDZIA

Było tylko kilka stopni mrozu, gdym wsiadł na dworcu Mikolajewskim, w Petersburgu, w końcu stycznia, do pociągu kolei Północnej.

Dawno marzyłem o spotkaniu się oko w oko z bohaterem wieków minionych — z „Misiem“, tak już dziś rzadkim, niestety, w lasach litewskich, w rojstach Polesia staro!

— O, to, panie kochanku, zwierzyzna co się zowie; warta strzału i oblicza pańskiego, a nie szarak marny lub suśel koroniarSKI! — niezawodnie wykrzyknąłby księżę Karol Radziwiłł, prototyp, może ostatni, „de re et nomine“, magnata-łowca dawnego autoramentu.

Wykrzyknik taki ordynata na Nieświeżu, pana na Olyce, Mirze i białej i mnogich włościach, w tytule jego nawet nieistniejących, — aplauz by szczery wywołał i adherencję całkowitą wśród szlacheTnych antenatów naszych, na tle smutku lat przebolełych, słodko po znojach i krzyżach życia wczasu dziś zażywających!

Lokomotywa, zaledwie kilka lat temu zbudowanej kolei Wołogodzkiej, biegnąc wśród bieli śniegów przeogromnych ze stateczną szybkością z czasów imć pana Stephensa i snopami iskier od drzewnego opalu znacząc swą drogę — coraz dalej unosiła mnie od Petersburga, od jego gorączki i jego sarabandy neurastenicznej.

Ogarnął mną ten stan spokoju i ukojenia, jaki nastę-

puje zawsze, gdy marny robak ludzki do łona świętej Matki-Przyrody kornie się schyla!

Nawet ten dym drzew brzozowych, dających siłę pociągową staremu parowozowi — wywołuje wspomnienia ubiegłych lat dzieciństwa!

O czwartej w nocy wylądowałem na przystanku, w zapachach śniegowych zatopionym, wśród lasów świerkowych, rozścielających się na setki kilometrów, aż hen! ku tundrom Archangielskim.

Odchodzi powoli stateczny, staroświecki pociąg, zanurzając się w horyzonty coraz głębszej północy. Jedyne stróż stacyjny skwapliwie gasi jedyną latarnię.

Wchodzę do izdebki, noszącej szumną nazwę poczekalni I klasy.

Dwie jakieś zakutane figury w zamaszystych czapkach Nansenowskich, w kożuchach i „walonkach“, z iście wielkorosyjskim akcentem zwracając się do mnie, meldują o sytuacji obecnej.

Muszę dodać, że „na niedźwiedzia“ wybrałem się był w towarzystwie najmilszego mego i długoletniego towarzysza wierzchowieńskich i innych polowań p. Aleksego Rubinszteina.

Myśliwy to w całym znaczeniu tego słowa, prawdziwy Wilhelm Tell jako strzelec, a doskonały hodowca zwierzyny w swych Owruckich majątkach. Jako człowiek — to typ gentelmana ujmująco miłego.

W Petersburgu jeszcze zawiadomił mnie pan Aleksy, że już umówił się z jednym z kantorów myśliwskich, dostarczających „ad hoc“ niedźwiedzi ¹⁾, i że posiada trzy „barłogi“, z których w jednym siedzi niedźwiedzica z młodymi, zeszłorocznymi łączakami. Barłogi te miały się znaj-

¹⁾ Niejaki p. Papengut.

dować w powiatach Tichwińskim i Białozierskim, z powodu zaś znacznej odległości od stolicy i kolei, są dość tanie, gdyż po ośmnaście rubli od puda tylko. Pod Petersburgiem płacono od dwudziestu pięciu do trzydziestu rubli, przy warunkach wystawienia na strzał bestji, niezależnie od zabicia lub pudła.

Jechać wypadło tegoż dnia wieczorem, gdyż odpowiednia aura, z mrozem kilkustopniowym, skłaniała bardzo ku temu.

Żadną jednak miarą nie mogłem tego dnia skorzystać z wycieczki. Stało tedy na tem, że mój towarzysz sam jeden wyjedzie, upoluje niedźwiedzicę z młodymi a ja za 24 godziny przyjadę i wezmę udział w łowach na pozostałe sztuki.

Miejscowi włościanie, tak zwani „okładczyki“, mieli oczekiwać na mnie na stacji i zawiadomić, dokąd mam jechać i w jakiej wiosce czy osadzie znajdować się będzie pan Rubinsztejn.

— Dziś „barin z Pitiera“ brał na barłogu niedźwiedzicę, nocować będzie w „dierewni Andronikowej“, jutro zaś „ważniom“ dwa drugich „zwiera“, z których jeden leży około wsi Mierzaj, w odległości ośmdziesięciu dwóch wiorst. Koniki, barin, czekają siadaj i jedź!

— Popasać będziemy — ciągnął dalej „mużik“ — i napijem się „czaju“ u mego przyjaciela, Wasyla Iwanowicza Wieniczewa, na czterdziestej piątej wiorście.

— Nu, z Bogom, w dorogu!

* * *

Nocleg we wsi Mierzach, u „okładczyka“ Wasilja Fiodorowa, i bliższa znajomość z miejscową ludnością, dała mi dużo do myślenia. Przekonałem się, że warunki przeżytego bytu, dawne swobody prastarego „Wiecza“ nowo-

grodzkiego — poprostu mówiąc — parlamentu ówczesnej Nowogrodzkiej Republiki pozostawiły w tutejszym ludzie ślad niezatarty.

Istnieje bowiem do dziś dnia wśród ludu tego prastara kultura, która się przejawia w niezwykłej gościnności, w czystości domostw, w pięknych, patryjchalnych obyczajach.

Gdym leżał na spoczynek w „światlicy“, z mocnych bierwion zbudowanej — mimowoli stanęły w mej wyobraźni obrazy dawnej Nowogrodzkiej Republiki, o której mówiono, że jeden „Bóg chyba Nowgorod Wielki ujarzmić zdoła“... Co to był za potężny rozkwit jej handlu, jakie stosunki rozległe z Genuą słoneczną, z miastami Hanzeatyckimi, z królową Adrjatyku Wenecją!...

Galary nowogrodzkie drzewem, skórą i „pieńką“ ładowane — dzięki całej sieci kanałów, godnych Rzymskiej epoki — do krańców świata, zda się, docierały. Te okręty nowogrodzkie pruly wód południowych fale błękitne, pod „loggetą Sansovina“, pod pałacem Dożów, wśród marmurów Kararyjskich opuszczały swe kotwice.

A w domu, nad brzegami jeziora Ilmeń, marząco drzymały puszcze odwieczne pełne zwierza srogiego, żyli „swoi“ ludzie, odwagi i tężyzny pełni, „bohaterzy“ starożytnych „bylin“.

Ich prześwieatne „wiecze“, iście demokratyczne, czyniło rządy w tym kraju tajemniczym i rozległym. A car gromadził i wzywał do siebie tych „ludziej targowych“, ludzi przeczornych, mądrych, statecznych.

Gdzież się to podziało?!...

Nadszedł szereg lat okrutnych, krwawym rokiem 1469-ym zakończony — Marfa Posadnica — homeryczna walka o niepodległość — zatopienie miast we krwi poto-

kach — Bartłomiejowa noc, straszna, lunami ziejąca, pięć tygodni trwająca...

I oto dzisiejszy stan rzeczy...

* * *

Spałem już snem głębokim, gdy raptowne przybycie mego towarzysza pana Rubinszteina — z nirwany sennej z trudnością do życia realnego jestestwo moje przywołało.

— Dziś na barłogu padła z mej ręki sześciopudowa niedźwiedzica, coprawda z dość lichą, bo płową szerścią, oraz cztery zeszłoroczne łączaki, każdy około dwupudowej wagi.

— Bravo! brawissimo! gracko się udało!

— Nu, nu, ale i „strielok“ z barina! — z niekłamanym zachwytem zawołał okładczyk Wasyl Wieniczew. — Tylko co Miśka leb z barłogu wysunął — bac! gotów! pula *mierz głaz!* A dopiero jak poczną niedźwiadki wyskakiwać, po pierwszym barin dwa nowe ładunki do sztucera — ot, i dublet! Czwartym na „utioki“, a on jego „w ugon“ na kroków sto! Jednym słowem, kak bekasow pereszczolkał. molodiec ty! da i tolko!

Sen ulotnił się. Jeszcze z parę godzin przeciągnęła się zakąska w towarzystwie pocziwych Nowogrodzian. Podniosły się z posłania płowe główki dzieciaków, porozsiadały się pod piecem rozciekawione rozmową naszą baby i podparły pięściami podbródki... A samowar burczał, świerszcz za kominem świerszczał...

I dobrze nam było w tych głuchych lasach i zaspach śniegowych, wśród zacnych „mużików“ nowogrodzkich!

.
.

Po parogodzinnym odpoczynku, nocą jeszcze, wyruszyliśmy „brać“ drugiego niedźwiedzia.

Ponieważ zwierz już był z barłogu parę razy spędzany, nawet już polowano i strzelano do niego, lecz spudłowano — więc zdecydowaliśmy, po naradzie z „okładczykami“, że zastosujemy metodę „kriczan“ i „jerszej“, z dodatkiem „molczunow“.

„Kryczanie“, jest to, poprostu mówiąc, naganka, złożona ze stu ludzi, zajmująca „okład“, czyli ostęp, w którym mniemany barłóg ma się znajdować. Naganka ta różni się od zwykłej tem, że alarm swój podnosi, nie ruszając się z miejsca. Gdy niedźwiedzia zoczy ktokolwiek z naganiaczy, wtedy puszcza się psa specjalnej rasy — „łajkę“ sybirską. Zadaniem jest pieska „dać głos“ na tropie „Misia“, ogarniać i zabiegać zwierza, turbując go nieustannie, i tym sposobem określać miejsce znajdowania się bestji w ostępie, o ile można dłużej zatrzymując go w kniei. Po niefortunnym strzale obecność takiej „łajki“, w razie rzucenia się „Miszki“ na strzelca pudlarza — może życie nieraz uratować. Jak pijawka bowiem wpija się wtedy pocziwa „sobaczka“ w najdrażliwsze miejsce cielska rozjuszonego potentata puszcza.

Gdy tylko „jerszy“ charakterystyczne usłyszą szczekanie, natychmiast pięciu lub sześciu doświadczonych „okładczyków“, z toporami lub prostymi kijami w ręku, rzuca się na głos i, okrążając niedźwiedzia, tworzą nowe małe koło wewnętrznej naganki, kierując tak, żeby bądź co bądź na wybrane stanowiska, czyli numery przez myśliwych zajęte, przedmiot łowów koniecznie się wychylił. Zwykle to się udaje, z ogromnem jednak niebezpieczeństwem, gdyż niedźwiedź z usposobienia tchórzliwy, gdy mu jednak kilka razy z rzędu drogę raz obraną przetną — w końcu się zdenerwuje i prawie zawsze, po jakimś piątem czy

szóstym spotkaniu się z nawracającym go „okładczykiem“ — rzuca się na niego.

Wesoła sytuacja wtedy takiego „muzyka“, w „dubinę“ lub nawet siekierę tylko zbrojnego! To też każdy prawie z tych dzielnych ludzi — specjalistów, jeśli tylko lat kilka zawód swój niebezpieczny piastuje — szwank mniejszy lub większy ponosi. Jeden pozostaje bez ucha, innemu parę palców brak u ręki, ten bez oka, ów ze złamanem żebrem lub wielką blizną na twarzy.

Rola „molczanów“ wreszcie jest taka sama, co i „okładczyków“, to jest polega na zawróceniu zwierzka, gdyby flankami uchodzić zamierzał. Są to poprostu uzbrojeni myśliwi na stanowiskach linii ognia.

Nie ukrywam, że jadąc na łowy, odczuwałem od czasu do czasu pewne uczucie dość „markotne“ — tembardziej że był to mój pierwszy „debiut niedźwiedzi“. Pamiętam o podobnym stanie temu lat kilkanaście, przy pierwszym spotkaniu się z dzikim odyńcem. Oprócz tego katastrofa, której uległ jeden z moich znajomych kilka dni przedtem, na podobnym polowaniu — niewesoło mnie nastrojała.

Ale trwało to tylko dopóty, dopóki Wieniczew nie postawił mnie na stanowisku.

Mój towarzysz zajął numer o jakie piętnaście kroków odemnie, w gęstej, młodej świerczynie, tak żeśmy się wzajem widzieć nie mogli.

Spokój bajeczny, chęć wzięcia celnego strzału i zdobycia „coûte que coûte“ rzadkiego trofeum zawładnęła w zupełności moją duszą.

Umówiliśmy się, że będziemy strzelali tylko w głowę, gdyż takie tylko pociski dają zupełną gwarancję. Niedźwiedź, nawet w serce rażony, odczuwa mniej intensywnie od innej zwierzyny cios ostateczny i gotów „sunąć“ jeszcze

kilkanaście kroków. Bezpośrednia obrazą kulą cząstek mózgowych — obezwładnia go piorunująco!

Cisza z najdoskonalszych najdoskonalsza, zaległa bezkresny bór świerkowy. Od czasu do czasu tylko jakaś sikorka północna w gęstwinie zakwili, stadko krzywodziobów z głośnem wabieniem przeciągnie, zając bielak na chwilkę wyskoczy, ciekawie popatrzy i znowu da nura w zielone świerczyny...

A potem spokój w przyrodzie — ten święty, przecichy spokój, który się udziela duszy myśliwego!

Na prawo odemnie mała polanka kilkometrowego obszaru — w krąg ściana lasu nieprzebyta!

Nagle rozlega się strzał sygnałowy. Ryk naganki „kryczan“ biegnie po leśnych przestworzach. Aż drżą świerki stare od tej muzyki niezwyklej.

Sekundy — wagę godzin nabierać poczynają.

Oto słyhać głos „łajki“ o kroków kilkanaście!!!

Ciemna, ogromna sylwetka zamajaczyła w drągowinie. Stoi nieruchomo, wysłuchując. Niestety! widzę tylko kadłub!

Strzał więc niemożliwy.

Nadbiega „łajka“. Opędzając się od niej, jak od muchy natrętnej, zawraca bestja ukośnie, w kierunku mego towarzysza. Uderza mi fala krwi do serca. Przepadło wszystko! „lasciate ogni speranza“!

W tej jednak chwili, nie widząc już olbrzymiego kadłuba, dostrzegam w luce między drzewkami — potworny łeb!

Jednocześnie niemal padły dwa suche sztucerowe strzały. Moja kula uderza poniżej ucha, w szyję, — mego towarzysza powyżej oka.

Zakotłował się pył śniegowy. I wielka bestja zwała się z rykiem.

Legła wspaniała, czarna. Purpura krwi ściekała z ran na białe puchy śniegu...

Zbiega się naganka, „okładczyki“ z radością winszują, a baby, złorzecząc, przeklinają potwora poległego za krzywdy w ciągu lata we wsi wyrządzone.

— A kto krowę naszą zeżarł?!

— A co wiesz ty, podła bestjo, o naszym „kormilcu“, gniadym Wańce?!

Mnie rozsadza radość ogromna, zadowolenie wielkie z najsilniejszego w życiu wrażenia myśliwskiego!

Dopiero później, gdy na drągach niesiono, jak szmatę, ciemne cielsko groźnego mocarza, o zielonych, rozwartych, lecz stygmatem śmierci przyćmionych źrenicach, ze łbem bezwładnie zwieszonym — przyszły myśli smutniejsze, i refleksje jakieś, i trochę nawet żalu.

Bo żył sobie „Miś“ w głębinach tajgi Wołogodzkiej, nie wadził mi zupełnie — na zimę w barłóg się zakopywał — o setki wiorst od mego kraju — i otom przyszedł z dalekich stron, by mu życie odebrać.

Po co? — dlaczego?

„Miś“ zginął śmiercią bohaterską, na stanowisku, wśród rodzinnych swych borów i lasów.

A ja powracam — z trofeum!

Mea culpa...

A jednak — nie wyrzeknę się, dalibóg, i w przyszłości nowej wycieczki po nowego Misia!

.

EPILOG POLOWANIA NA NIEDŹWIEDZIE

(Ze wspomnień przedwojennych).

Jak zwykle, pito rzetelnie w kasynie Eńskiego pułku gwardji carskiej! ...Rotmistrz Kaniwalski bowiem wróciwszy z wyprawy do ołonieckiej gubernji, przywiózł wspaniałe trofeum w postaci dwunastopudowego niedźwiedzia. Podobny ewenement oczywiście stanowił wybitny „casus belli“ dla sutych libacyj! Toastom i przemówieniom koleżeńskim nie było końca, — pod akompanjament naturalnie pułkowych „bałajeczników“ — pieśniarzy oraz zamaszycie przygrywającej orkiestry. Bohater tych łowów, dziarski rotmistrz, jako prawdziwy myśliwy z krwi i kości — z lubością wyluszczał szczegóły całej wyprawy, barwnie opisując epizody, które mogły się bardzo smutnie skończyć, gdyby nie jego zimna krew i doświadczenie!... Ponieważ autorytet rotmistrza w tych materjach, nie podlegał najmniejszym wątpliwościom, więc nikt naturalnie nie protestował!... Lecz, jak zwykle, znalazło się jednak kółko laików i teoretyków, które pod wpływem trunków zaczęło dowodzić, że właściwie strzał do szaraka, do tarczy lub do niedźwiedzia, czy tygrysa, pod kątem balistyki rozpatrywany, stanowi jeden i ten sam zabieg strzelecki... „Ja, który w Krasnym Siole (miejsce pod Petersburgiem), gdzie się zwykle odbywały letnie ćwiczenia wojsk gwardji) na zawodach „wybijam“ zawsze rekordową sumę punktów — potrafiłbym „zrulować“ hipopotama z jednaka

precyzją!“ — wykrzyknął kornet Otletajew!... „Albo, ja ty-lekroć nagradzany na konkursach! — posiadający już trzy puchary i dwa karabiny premjowe“ — dorzucił porucznik Iżorin!... „Ależ, moi panowie, to łatwo tak mówić przy zacisznych warunkach kasyna, lub nawet strzelnic! — lecz, na terenie, przy spotkaniu się z dziką, rozjuszoną nieraz bestją! — sprawa, nieco inaczej wygląda!“ — mitygował rotmistrz-myśliwy.

Zdania się rozdziwiły!... Odlam „rzeczywistych“ adeptów Św. Huberta przyłączył się do opinii fachowców, podczas gdy część dyletancka oficerstwa plotła na ten temat niemożliwe androny!...

— Zresztą, rzecz bardzo prosta!...

...Stawiam wniosek!... Oto, natychmiast zadeszujemy do znanego nam wszystkim w pułku „okładczyka“ Pietrowa, mieszkającego bardzo blisko, bo w powiatowej mieścinie Łudze, zapytując, czy ma z parą niedźwiedzi otropionych lub na „barłogach“ („gawrach“). Jeśli tak, to niezwłocznie ja, Otletajew — no i jeszcze nasz kochany baronik Westen-Zünden, który także nigdy nic, oprócz zajęcy i bażantów nie strzelał w swem życiu, we trzech, zupełnie „profani“ — jak nas nazywacie panowie — hajda na niedźwiedzie na parę dni.

Zobaczycie, jak się sprawimy! — Ręczę, że nie gorzej, a może i lepiej od was nemrodów-specjalistów! Zgoda? Co? Zakład panowie o sto butelek szampana!... Słowa te roznamiętnionego alkoholem por. Iżorina spotkały się z hucznym aplauzem kolegów!... „Waniczka!... uściskajmy się“. „Ale gdzież się to Żorzik podział? „Żorzik! — niczego! — on blujot! (Nic! — on tylko wymiotuje) — il est sorti pour un instant!...“ — wyszedł na chwilkę! — najspokojniej w świecie, jako o rzeczy arcy normalnej — zameldował baronik... „Aha — doskonale!“!... „Życzę powodze-

nia, lecz radzę wziąć z sobą któregoś z nas, prawdziwych myśliwych!“ — sentencjonalnie dorzucił rotmistrz... „Głupostil!... naplewat! — cały sukces, sobie wówczas przypisiecie! — za nic w świecie! Cała sztuka w tem, żebyśmy, tylko my „niedoświadczeni“ przywieźli zdobyte trofeum!“... „No! to winszować będę później! lecz teraz, nie zazdrościć! — szczególnie teraz na terenie!...“ „Hipochondryk, śledziennik!... obejdzie się bez ciebie!... Lecz inni idą z nami o zakład? — nieprawdaż?“

— „O tak! — tak! — przyjmujemy!“ — odezwał się chór podchmielonych głosów... „A więc! redagujemy depeszę!“... Powiedziano — zrobiono...

Po tej czynności — zapanowała w zgromadzeniu temperatura nie lada!... Skończyło się to wszystko, jak zwykle nad ranem atakami wzajemnej „kacapskiej“ czułości niektórych uczestników, wyniesieniem się „incognito“ w objęcia czekających w swych mieszkaniach „przyjaciółek z półświatka; innych w stanie kompletnego „obezwładnienia“ kilku ofiar Bachusa pod ochryple tony przemęczonych trębaczy i walących się ze snu mandolinistów, słowem, jak najporządniej w świecie!... Tymczasem błądy świt przedzierał się przez okna... „Eh duraczjo! (durnie) — daj Boże, żeby to się wszystko bez nieszczęścia skończyło!... Pić nawet nie umieją, jak my „starej szkoły“! — a cóż dopiero strzelać!?... do niedźwiedzi jeszcze!“... Rotmistrz Kaniwski aż splunął z obrzydzenia i mamrocząc pod nosem, powlókł się ociężale do swej koszarowej, kawalerskiej kwatery...

* * *

W kilka dni później nadesłana została przez słynnego organizatora polowań na niedźwiedzie, imię pana Piotrowa depesza następującej treści: „Jeden zwierz“ na „barłogu“, dwa już „ruszone“ oczekują, proszę przyjeżdżać“...

„In gratiam“ radosnej nowiny, wynikała naturalnie nowa bibka w oficerskim kasynie, z orkiestrą, jak zawsze, szampanem i innymi niezbędnymi akcesorjami.

Uczestniczyć w wyprawie podjęli się, bagatelizując wszelkie niebezpieczeństwo, waleczny kornet Otletajew, oraz porucznicy Iżorin i „baronik“ Westen-Zünden... Naprawdę, nieznośny pedant i zrzęda rotmistrz radził, żeby zaprosić też chociażby jednego z kolegów mających już pewne doświadczenie w tego rodzaju łowach... Groch o ścianę!... „Pojedziemy sami! bez żadnych mentorów — nudziarzy i kwita!“ Albowiem owe tereny, jako znajdujące się o parę godzin jazdy od Petersburga w Łuskim powiecie, pomimo bajecznie drogiej ceny czterdziestu rubli od puda zabitego niedźwiedzia, miały ogromną dogodność szybkiej likwidacji całej imprezy...

Nemrodzi wyjechawszy po kolacji ze stolicy wieczornym ekspresem, mogli już w ciągu następnego dnia załatwić się z „miškami“ i na drugą noc powrócić do „delicij“ zacisznych gabinetów restauracyjnych.

Wszystko się więc układało jaknajpomyślniej... Zrobiony został niewyczerpany zapas butelek przeróżnych wytworów spirytualji — od prostej monopolki począwszy, dla naganiaczy i „okładczyków“ — do najwytworniejszych marek koniaków i szampana — dla przyszłych triumfatorów... Zaczęto pić coprawda, zaraz po śniadaniu w kasynie, podczas kolacji!... Wyćwiczeni ordynansi z całym arsenałem Holland'ów, Heim'ów i t. d. oraz elegancjami mantelzakami oczekiwali przy zarezerwowanych przedziałach sypialnego wagonu Petersburg — Warszawa. Wszystko w porę było gotowe! „Nu! hołubczyki“.

Komu w drogę, temu czas! — oto śmiać się będziemy z ciebie i twego „krakania“. Rotmistrz gwardyjskiej, cesarskiej jego mości kawalerji boi się nawet za innych!

„No daj że Boże, śmiać się będzie wesolo ten, kto się będzie śmiał ostatni“. Słowa te ostrożnego wielce, starszego kolegi niemiłym zgrzytem obity się o uszy, podczas gdy luksusowy „nordexpress“ cicho na swych pulmanowskich resorach bez zgrzytu ruszył powoli, zatapiając się w otchłań śnieżną północnej przyrody...

* * *

Opuściwszy Petersburg o jedenastej, już o drugiej w nocy pociąg był na miejscu. W wagonie, tę parę godzin podróży urozmaicono maleńką partją „baka“ — zawsze jednak z pewnem „pokrzepieniem sił“. Kilku muzyków-brodaczy uprzedzonych depeszą, oczekiwało na dworcu w Łudze przyjazdu wytwornych „drogich gości“.

Maleńkie „intermezzo“ w wyśmienitym bufecie stacyjnym — takoweż w demokratycznej restauracji trzeciej klasy dla pocziwych kacapów, akolitów słynnego Pietrowa — na „conto“ hojnych „barinów“, i cała kompanja wygodnie ułożywszy się w saneczkach, otulona reniferowemi „dachami“, aż po same uszy, z punkcikami żaru wystających nazewnątrz drogich cygar — w najświetniejszych humorach, wesolym korowodem mknęła — rzekłbyś kulig staroświecki! — ku nowym horyzontom, mającym odkryć w całej pełni sezam niesamowitych rozkoszy łowieckich. „Vive la chasse!... car elle surpasse tous les plaisirs!“ — rozlegały się co chwila wesole okrzyki! Czasem zaś brzmiał refrain modnej piosenki paryskich bulwarów.

Z błyskawiczną szybkością w ręce koniki przejechawszy kilkanaście wiorst do siedziby Pietrowa, podochoceni myśliwi na długo przed późnym, grudniowym brzaskiem byli już u celu, około „izby“ okładczyka oczekiwały kohorty całe jeszcze potencjalnych — w przyszłości aktualnych, chłopów bolszewików.

W tem miejscu pozwolę sobie na maleńki odskok. Rzecz w tem, że o ile cała organizacja wypraw na niedźwiedzie, w rejonach dalszych od Piotrogradu (naprzykład u takiego mistrza tej sztuki, jak stary, słynny Martjanoff) była traktowaną solidnie i na serjo — o tyle na łowiskach bliższych nosiło wszystko cechy arcy niesympatyczne — krótko mówiąc — było kombinacją szachrajską. Począwszy od naganki, okładczyków, typu podmiejskich apaszów, pijaków i szantażystów! Natomiast, koledzy ich po fachu z głębin tajg ołonieckich lub wołogodzkich — potomkowie dawnych „pomorów“, czyli wychodźców „starowierów“ stanowili poczet ludzi wysoce rzetelnych, trzeźwych, znających się na rzeczy. Jako ilustracji pierwszej kategorii, nigdy nie zapomnę, kiedy to na jednym takim polowaniu zobaczyłem — stojąc już na stanowisku — za swemi plecami jakiegoś obdartusa uzbrojonego w scyzoryk... odpowiedni chyba to temperowania ołówków. — Idź precz!... nie jesteś mi wcale potrzebny... jeszcze z podobnym instrumentem! — Nikak niet! — jestem niezbędny jako „tielechranitiel“¹⁾ Waszej Miłości! — Marsz do wszystkich djabłów! Niezły obrazek, nieprawdaż czytelniku najmilszy? Oprócz tego, sami organizatorowie zwykle, albo podprowadzali do tak zwanych „ślepych“, to jest pustych niedźwiedzich legowisk, lub inscenizowali umyślnie nieudany wynik łowów — domagając się zapłaty od fantastycznej ilości pudów spudłowanego monstrum bajecznych jakoby rozmiarów! Proszę skontrolować wagę „post factum“ ujścia obiektu polowania? Nie mówiąc o horendalnie wysokich cenach! Po 50—60 rubli od puda, wtedy, gdy na dalszej północy u Martjanowa płaciło się 3—5. Lecz, nie mający zielonego pojęcia o miejscowych warun-

¹⁾ Obrońca ciała (tłumaczenie dosłowne).

kach, zblazowani „snobi“ ze świata arystokracji, czy kupiectwa — jakoteż opływający w marny kruszec dyplomaci, z rozmaitych, cudzoziemskich poselstw z ochotą płacili niczem nie uzasadnione haracze.

Wracając do rzeczy, godzi się zauważyć, że co się tyczy naszych bohaterów — wytrawna banda chłopstwa odrazu „skapowała“, do jakiego gatunku należą nowo przybyli „bariny-ochotniki“. Byli więc pewni sutych libacyj, wskutek czego odrazu urządzili im niemal triumfalne przyjęcie! I nie zawiedli się też w swych różowych nadziejach. Do chaty okładczyka Pietrowa, wytresowani ordynansi pownosili baterje całe butelek oraz kosze z puszkami ziarnistego kawioru, strasburskich pasztetów i homarów, gwoli ucieście i konsolacji barinów. Dla plebsu zaś przyniesiono kolosalną ilość tak zwanych „szkalików“ monopowych z wódką — stosy kielbas, śledzi, bułek, bo święty proletarjat też podjeść sobie lubi, no i „wypić nie durak“, to też użyli aż po uszy w tę noc mroźną i tak wspaniale rozgwieżdżoną.

Łatwo jest wyobrazić sobie, w jak pięknym stanie wyruszyła z chaty cała zacna kompanja „brać“ niedźwiedzia na barlogu. Ślepy los zarządził przy ciągnięciu numerów, że odstrzał cicho drzemiącego w swej gawrze Misia przypadł w udziale baronikowi. Koledzy mu zazdrościli. „Uważaj Andro! — nie „skiksuj“, podtrzymaj sławę i honor gwardyjskiej kawalerji!“

„Un flede sujet du tzar! ne doit craindre personne! pas meme le diable et le stanowoi!“² — bełkotał z uporem pijaka szczęśliwy wybraniec fortuny.

* * *

²) Wierny poddany carów, nie boi się nikogo, nawet djabła.. nawet komisarza policji.

Jesteśmy na terenie! Śród bieli śniegów i zieleni świerków. Zataczający się nieco Pietrow z jednej i socjusz jego, z drugiej strony „podtrzymują“ do reszty osowiałego od jazdy na mrozie, walecznego potomka germańskich rycerzy, holując go ku gawrze. Oto i otwór barłogu.

„Nu, miszka, wstawaj! A, wstawaj miszka!“

Chwila. Coś brunatnego zamajaczyło w otworze, przez który król puszcz oddycha podczas swego niemal letargicznego snu zimowego.

„Strielaj barin, strielaj!“ Błyskawiczny, pełen pijackiej fantazji strzał barona... O radości! „Gotów! z polem barin! — jest“... Dziwnym zbiegiem okoliczności widocznie za protekcją Bachusa strzał barona był doprawdy doskonały. W samą skroń nieco poniżej ucha. Charty wyciągają z jamy ciemną, ciężką bestję o przygasłych, zielonych oczach. „Hurra! hurra!“ — rozlega się wściekle naokół wycie rozszalałej, dzikiej zgrai naganiaczy-chuliganów. „Kaczat barina!“ Migiem baronik, jak piłka podrzucony, lata do góry — fruwa! precz jaskółki wszelkie! Zjawiają się oczekujący wyników dramatu koledzy Otletajew, Iżorin. Gratulacje, pocałunki istic moskiewskie z obfitem obślinieniem delikwenta, molestacje nad pesymizmem tego osła rotmistrza i... naturalnie nowe libacje, teraz już na wolnej aurze, pod tajemniczymi świerkami, pokrytymi białym puchem...

„A nie mówiliśmy, — niedźwiedź a zając jedno i to samo!... Ba... - ba... - listyka!... tra... - tra... - jektorja... to grunt!... Wypjem Andro! Wypjem Żorżik!... Hurra! Hurra!“ — żywiołowo ryczą muzyki-chuligani. Śliczny zaiste obraz!

* * *

Ze spotęgowanym animuszem, po tego rodzaju triumfie, zajęto trzy stanowiska następnego miotu, w którym to

miał być brany już nie gawrowy, lecz ruszony, „gonny“ niedźwiedź. Baron oczywiście, jako ukoronowany pogromca, zajął gorszy, flankowy numer.

Jak wiadomo, naganka przy podobnych obławach specjalnie na misia w Rosji urządanych, stojąc na miejscu, strzela, wrzeszczy i hałasuje, kilku zaś „okładczyków“ stanowi wewnętrzną, że tak powiem, ruchomą drugą linię, manewrując tak, żeby zwierza za wszelką cenę wystawić na strzał myśliwych, kierując go na ich stanowiska. Jeśli pomimo tych wszystkich zabiegów, miś jeszcze kaprysi, rzucając się na boki, od tej ewentualności są tak zwani „mołczuny“ — doświadczeni chłopci, którzy swymi toporami i dubinami starają się nawrócić bestję. Zgodnie więc z tą taktyką, na prawo od barona stanęło trzech chłopów.

Chwila ciszy z doskonałych najdoskonalsza... „Poszoł!... poszoł!“... — rozlega się piekielny harmider i nieludzki ryk naganiaczy. Baron aż zamarł w oczekiwaniu, ukryty za gęstym chwojniakiem. Krew przodków, tych, co to niegdyś w mrokach średniowiecza z oszczepem na dzikiego zwierza chadzali, odwiecznym tętnem zabiła w filigranowej nieco postaci zdegenerowanego potomka Germanów. W obłokach śniegowego pyłu, szerokim galopem zmierza na polanę mocarz i król lasów. Glorja największa dla strzelby prawdziwego myśliwca.

Bac! Bac!... dwa suche sztucerowe strzały, Miś ryknął krótko i...z obwisłą, przednią łapą, ryczy z bólu, zatrzymuje się na chwilę. Wypatruje zda się, autora swej krzywdy. Stojący koło barona trzeci z rzędu „mołczun“ z fantazją rzuca się prosto ku niemu, krzycząc w niebogłose: „Kuda? kuda leziesz?!“ z dodatkiem isticie rosyjskiej koloratury miłosnych kombinacyj protoplastów. Z wzniesioną siekierą leci prosto w kierunku rozjuszzonego zwierza. Chwila. Straszna, ciemna masa błyskawicznie szarżuje.

Już jest obok muzyka. Olbrzymie pazury jednym pociągnięciem tylko otwierają klatkę piersiową nieszczęśliwego. Koniec.

Muzyk bez krzyku, jak snop — pławiąc się w czerwieni swej krwi — pada na ziemię. Drugi muzyk, nie zdając sobie nawet sprawy z sytuacji i tragizmu okoliczności, leci na pomoc. Kilka sekund i... powtórzenie tej samej sceny, z tą tylko różnicą, że zamiast na piersi, niedźwiedź natrafia na brzuch swej nowej ofiary. Wylaniają się, buchające parą na mrozie, jelita. Nie lubiący nieboszczyków Miszka, porzuca trupy i wali prosto do trzeciego muzyka... przewraca go i poczyna rwać zębami. Lecz widocznie nie natrafia na główne organy i wśród przeraźliwych krzyków morduje dalej. U naszego barona odrazu wszelki chmiel z czupryny uleciał. Włosy dęba stanęły. Struchlały z zgrozy, traci głowę. „Byleby mnie nie zoczył“. Lecz jęki są nie do wytrzymania. Uczucie litości bierze nareszcie górę. Z poza swego świerkowego ukrycia — zamiast, żeby podbiedz do kłębka szamoczących się w śmiertelnej walce ciał i wypatrzywszy odpowiednią chwilę, rzucić ratowniczy strzał, wypala z miejsca. Przekleństwo! muzyk unieruchamia się — zastyga. A niedźwiedź pięknym galopkiem, kulejąc co prawda, przecina linję i... znika z oczu w biało-zielonych leśnych gąszczach. Może żyje dotąd w tajemniczych rojstach Tychwina i Nowogrodu? Lecz musi to być okaz zaiste olbrzymi, albowiem działo się to w roku Pańskim 1913!

* * *

Rozkład? Jeden niedźwiedź, padły na barłogu, jeden „postrzałek zbarczony“, trzech muzyków, z których trzeci stary brodacz, ojciec ośmiorga dzieci, „zrulowany“ został precyzyjną kulą o kordytowych ładunkach Holland'a, ba-

rona Westen-Zündena. W kilka lat później z naszych bohaterów nie pozostałoby, jak mówią Moskale, „mokrego miejsca“ — gdyż tłum by ich błyskawicznie zlinczował. Wówczas obeszło się wszystko symfonią całą zasłużonych zresztą przekleństw bab i chłopów po powrocie z tej fatalnej wyprawy. A w Petersburgu — staniem do raportu przed groźne oblicze dowódcy pułku. Kosztowała zaś ta podróż do mateczników północy drobnostkę — pięćdziesiąt tysięcy rubli, wypłaconych rodzinie zastrzelonego muzyka. Inni, jako ofiary nieszczęśliwego wypadku, otrzymali wszyscy figę! „Ach, duraczjo!...¹⁾ i pić nie umieją z tołkom ²⁾ a cóż dopiero polować!“ Historyczne słowa rotmistrza Kaniwalskiego, wypowiedziane z najwyższym obrzydzeniem, zapieczętowały głęboki tragizm tego zdarzenia.

¹⁾ Konfraternia durniów. ²⁾ Z rozumem.

MÓJ PIERWSZY DUBELT

Dawne to już dzieje! Nie mało wody i lez upłynęło od tego czasu na świecie szerokim!...

Miałem lat czternaście — epoka strzelania do szpaków, srokoszy, sójek uprawianego w przeciągu paru letnich wakacyj minęła dawno.

Jesienią roku poprzedniego, kiedy chodziłem z poczciwym, starym legawcem „Tresorem“ — ten ostatni wystawił zająca w burakach — padł mój strzał... i szarak kapitalnie zrulował!... Radości mojej nie było granic! Rzuciłem się jak szalony do drgającego jeszcze „kota“ — bojąc się, żeby go pies czasem nie „pożarł“.

Od tej znamiennej chwili zostałem „urbi et orbi“ — pasowanym na zawodowego Nemroda. A kiedy do tego jeszcze w kilka dni potem udało mi się „wytrącić“ kuropatwę ze stadka, oraz zdobyć i jedną przepiórkę, sława wybitnych zdolności łowieckich otoczyła mię wśród rodzeństwa i domowników aureolą powagi — w której paradowałem, jak paw w pogodny ranek majowy.

Już nie słyszałem więcej ironicznych uwag w rodzaju: a co? — „zawsze strzelasz do wróbli tylko!“ — i to o zgrozo! — odnośnie do tak „wielkich“ ptaków jak drozd lub kraska skierowanych.

Od owej zamierzchłej epoki przeżyłem niemało poważnych emocyj i nastrojów łowieckich... Nie mało wydeptałem moczarów, błot, rżysk, lasów i krzaków po kraju całym

jak długi i szeroki, nie mało padło z mej ręki zwierzyny wszelkiej od niedźwiedzia, losia, odyńca, rogacza do ptactwa przeróżnego bez liku — i daj mi Boże Najwyższy jak najdłuższe lata jeszcze składać me hołdy na ołtarzu św. Huberta! — jednak nie zapomnę nigdy, tego poranku wrzesniowego, kiedy to padły z mej ręki takie poważne trofea, jak pierwszy zajac i pierwsza kura — z prawdziwych, najprawdziwsze.

Po podobnych sukcesach — począłem marzyć o kszyskach.

W towarzystwie mego pierwszego „mentora“ myśliwskiego — nieodżałowanej ś. p. Bronisława Dymnicza „per modum“ będącego u nas pomocnikiem leśniczego, zawiadowcą pszczelnictwa, w rzeczywistości zaś coś w rodzaju urzędnika do „szczególnych zleceń“ — z ową poczciwą postacią rzetelnie do całej rodziny przywiązaną (prosto zda się ze szkiców Fałata zdjętą) — nie mało namordowaliśmy się wspólnie na naszych błotach, tak zwanych „rudach“ stepowych w pogoni za bystrolotnymi „scolopaxami“¹⁾.

Pudłowałem naturalnie, jak z rejestru! Popularnie zaś tak zwany Bronio walił i walił bekasy bez pardonu! Padaly iście jak gruszki dojrzałe — i to najczęściej, niestety, po moich niefortunnych strzałach, od celnej zawsze „poprawki“ milego, myśliwego, staroświeckiego autoramentu!

Doprowadzić to mogło do prawdziwej rozpacz i czarnej melancholji!

Pewnego, upalnego, sierpniowego popołudnia wybrałiśmy się po odrobionych lekcjach (pamiętam, miałem wówczas „pieregzaminówkę“ — z algebry) — na tak zwane Karabczejowskie jezioro.

¹⁾ Bekasami.

Był to szereg typowych, kresowych błotek, powstałych po wiosennych roztopach w miejscach nizinnych. Na nich też nieraz zastać można było nawet i „błotnego arystokratę“ — przelotnego dubelta!

Oczywiście, jak zawsze ś. p. Rodzice w opiekę starego, niemal że przyjaciela Bronia, powierzyli moją, rwącą się do strzału i gorącą bardzo indywidualność.

„A zdaje mi się paniczu, czy nie napotkamy dziś tam i dubeltów?“ — o tej porze, po mocnem deszczu „presse“¹⁾ — że musi być „som“²⁾.

Z wrodzoną młodzieńczą przebiegłością odrazu „skapowałem“ cały ten urok.

Wiedziałem, że dubelt leci prosto jak „na nitce zawieszony“, według tak trafnego określenia Włodzimierza Korsaka, a więc „ergo“, jeżeli wypadnie strzelić do „majora“³⁾ — to kto wie? może i spadnie! — a wtedy raz na zawsze koniec z powodu mych „pudełek“ — domowym docinkom i ironjom! Bekas czy dubelt dla profana — przecież to jedno i to samo, nieprawdaż?

Przyjeżdżamy na miejsce. Kilka wystawionych przez starego Tresora kszyków padło — naturalnie nie z mej ręki — lecz oczywiście „poprawionych“ — przez wytrawnego Bronia!

Wtem jakiś opasły „scolopax“ zrywa się i prawie „po dubelciemu“ ciągnie bardzo nisko nad ziemią.

Przekonany, że to dubelt — pospiesznie rzucam dwa strzały — o szczęście! — szmatką bez życia wali się ptaszek w trawę błotną.

O jakie trzydzieści kroków od miejsca podrywu, na brzegu moczaru rosła dość duża kępa wysokich konopi na

¹⁾ Prowincjonalizm kresowy z francuskiego „précisément“.

²⁾ Też zwrot lokalny.

³⁾ Scolopax major — po łacinie dubelt.

włociańskiej działce — akurat w prostym kierunku moich strzałów.

„Bronisław! jest! jest!... dubelt!... jest!“ — wrzeszcze w niebogłosy „Gracko! paniczu, gracko! — winszuję!“

Jednocześnie prawie, jednak, o zgrozo! — z konopianych czeluści i mroków — rozlegają się nieludzkie lamenty. „Oj! oj! oj! — szco ce take! Oj! oj! oj! — spasy Hospodi! ¹ .

Włosy stanęły mi dęba na głowie!... ranilem kogoś? — ładny dubelt! — a nie tylko dubelt! „Źle paniczu, źle — cóż robić? — wola Boska! — aby tylko panicz nie bardzo „diad'ka“ ²) „naszpikował“. Widzimy rzeczywiście, jak stary chłopisko w hajdawerach z samodziалу i zgrzebnej koszuli — wylazi pomalu z konopi — przestaje krzycheć coprawda, lecz wyraźnie i mocno kulejąc — najspokojniej podąża oparty na kijaszku — prosto ku nam! „Paniczu, proszę nie „rozpytywać“ — jak? i gdzie? o nie! — sam „had“ ³) — niech wyśpiewa, co mu się stało! — to takie „cholery“... pal ich mać! — Bóg wie! — jakie teraz będą jego pretensje!? Jeszcze dobrze, że żyje i rusza się!“ Ładna dla mnie pociecha? — stoję więc struchlały — jak we śnie gorączkowym!

„Nu i naliakały że mene pany! — taka spikota, w konoplach zasnuł — a tu, jak ne tarachnete nad uchem z rusznyci! — zwistnoje pereklawsia do smerti! — a kto wy taki budete z widkilia?— a z Werchowni!? — a papyrosku majete?“ ⁴). „Proszę bardzo!“ i uradowany Bronio sięgnął

¹) Po rusińsku „co to takiego? ratuj Boże!“

²) Chłopa.

³) „Had“ — po rusińsku, lekceważąco „chłop“.

⁴) No i nastraszyliście mnie panowie! — takie gorąco — zasnąłem w konopiach — w tem jak nie trzaśnie mi nad uchem ze strzelby! — naturalnie nastraszyłem się śmiertelnie! — a skąd wy jesteście, coście za jedni — a z Wierchowni (mój majątek na Ukrainie) — a macie papierosa?

do kieszeni. „Paniczu, on się niby na nic nie skarży — ale dlaczego kuleje?” — szepnął do mnie mój mentor.

„Byliście na swoim polu nieprawdaz? — w swoich korniach?” zapytałem. „Ależ gdzieżtam! — ja nie mam żadnego pola! — ja „gromadzki“ (gminny) pastuch — naha-ruje się człowiek z „towarem“ (bydłem) od 3-ej rano — no! rozmorzy gorąco — to i śpi sobie! — a ja zaraz pokażę paniczom, gdzie tych „bekasów“ — jak prochu jest! ot, z pół wiorsty jeszcze przejść trzeba, pod stawek Mołczanowiecki na „ludzkich“ sianokosach. Dajcie, pane, „tiu-tiuńca“ ¹⁾ do „lulki“ (fajki), — jak mają panowie!”

Bronio, który zawsze palił, tak zwane „kręcone“ papierosy, jak pamiętam, z długiego, trzciniowego munsztuka, skwapliwie natychmiast obdzielił „diadka“. — Ten ostatni metodycznie nabiwszy i zapaliwszy luleczkę — pykając „dyszkurował“ dalej — podczas gdy mnie aż słabo się robiło z niepewności!

„Oj Boże, mój Boże! — oto okazja! — od lat dziesięciu chodzę taj chodzę i do „ferszała“ i do samego „kazionnoho“ (rządowego) doktora Chroszytowa z Tawołoczy za poradą! i baby pić spirytus z octem na mrówkach nieraz dawały! — nie „pomahaje“ — taj hody! — powiadają, że w Krzywoszyńcach podobno jest stary „did“ (dziad) — co umie „zahowarywać“ (zamawiać) — trzeba będzie do niego! — a to wciąż kuleję i kuleję! (skręciło całego), „skru-tyło wsioho“ — „panoczku serdeńko“, (przy tem pokornie pocałował moją rękę) — dajcie na „dida“ — choć z „pił karbowańca“ (pół rubla)!“

Kamień rzekłbyś spadł mi z serca! Świat cały zajaśniał pięknem nowem!

Więc niema mojej winy! — niema śrócin mojej „Bae-

¹⁾ Tytoniu.

ckerówki“ w starym pastuchu, jak się okazało, ułomnym od lat wielu!

Z duszą przepelnioną radością — dałem mu aż całego rubla! Śród potoku podziękowań i błogosławieństw — rzetelnie uspokojeni — powlekliśmy się dalej we wskazanym kierunku.

Zabilem wtenczas, pamiętam, kaczkę krzyżówkę na jakimś jeziorku — na Mołczanowieckich zaś włościańskich sianorzęciach okazało się całe zatrzęsienie kszyków! Bronisław upolował 26 sztuk, ja też pod wpływem radości widać — aż całych dwa i doścignąłem nareszcie spełnienia marzeń — albowiem padł z mej ręki śliczny, tak zwany „funtowy“, mój pierwszy dubelt! Wracaliśmy w pogodny wieczór — pod czarownem tchnieniem „Pól Dzi- kich!“

Tumany złotawego kurzu wiły się po drogach, podjęte przez powracające z pastwisk ścierniowych bydło.

Temi samemi „szlakami“ — ongiś zapewne, chadzali nieraz „komunikiem“ ś. p. Imć pan Zagłoba ze Skrzetuskim i Wołodyjowskim! — molojcy Bohuna, Krzywonosy i Chmiela! — czambuły tatarskie!...

Zapach „chlebowy“ świeżo zoranych przestrzeni, przeróżnych ziół polnych — otulał pieściwie horyzonty bezgraniczne aż het tam u Limanów Czarnomorskich ginące. Słońce czerwone po dniu upalnym „na pogodę“ zapadało powoli i gasło w purpurach królewskiej zorzy wieczornej!... I dobrze nam było i słodko! i błogo na duszy! I nigdy, zda się, nie miało być końca tej ciszy i temu ukonjeniu bajecznemu!

„No! paniczu! „poszancowało“ nam dziś — niema co mówić! — kaczką, trzy bekasy, pierwszy dubelt i spudłowany „diad’ko“! Tylko o tem ostatniem — to lepiej do czasu milczeć w domu! — a broń Boże, trafić na dzień

„feralny“ — to wypadłoby tak: kszyc „adiu“! — a diad'ko leży! — bo, paniczu, „kuźden“ człowiek urodzony pod jedną lub drugą „konstelacją“ — ma swoją „planetę“ — która go nie minie! — Niech tylko panicz innym razem nie strzela naprzeciwko krzaków lub konopi czy burzanów „na metę“ — nie będąc pewnym „sacre sancto“, — że żaden „czort“ tam nie siedzi! No, zresztą chwała Bogu, że się tak wszystko skończyło. — Ale „fernapiksu“ (strachu) — miałem i ja nie małego! Zabronionoby paniczowi polować — a tu sam „smak“ dopiero się zaczyna! — A z panicza może być myśliwy „całą gębą“ — nie gorszy od samego pana Zapolskiego z Wasylówki!“¹⁾

Nauka ostrożności w las nie poszła, — na całe życie pozostała.

Dawno to już było! — stare to już dzieje!... Nie mało wody i lez upłynęło od tego czasu na świecie szerokim!...

¹⁾ ś. p. Antoni Zapolski, słynny nemrod ukraiński, weteran, którego nikt nigdy w innym stroju, oprócz kurtki myśliwskiej nie widział. Szlachetna postać ziemianina, pełna dawnej tężyzny i poczciwość praojców.

FATALNE TOKI

Igor Arkadjewicz Iżorin, nadlesny jednego z najbardziej oddalonych od wszelkich ośrodków cywilizacji rządowych rewirów, położonego w zapadłym zakątku Mozyrskiego powiatu, przeżywał w cudny dzień wiosenny, jeden z okresów swej typowej „chandry“ — melancholji iście rosyjskiego kalibru!

„Tak, dlatego (rozumował nasz Igor, syn Arkadjusza) ukończyłem studja wyższe w Instytucie Leśnym w Petersburgu ze złotym medalem — celująco! — żeby od lat pięciu „marynować“ się w podobnym „zacholustju“¹⁾ jak Burowskie lasy, od których najbliższa stacja kolejowa leży o 80 wiorst! — przy których Mozyrz zda się stołecznem miastem! — a Mińsk? — marzeniem niedościgłem! — prawdziwem niemal Paryżem, pełnym pięknych kobiet, wykwintnych restauracji, teatrów, kin, hoteli! — do którego raz na rok wpadłszy już człowiek szczęśliwym się czuć powinien! A otoczenie?! — Para podwładnych leśniczych o czerwonych nosach, zawodowych pijaków! — Pop batiuszka²⁾ Melchisedek w swej zatłuszczonej „rjasie“³⁾ z wieczną czkawką — oraz cytatami w staro-słowiańskim narzeczu niezmiennie poczynającemi się z „ono konieczno pryskorbno“⁴⁾, stanowy przystaw⁵⁾ jako karę za szereg

1) Odludzie. 2) Ojciec. 3) Sutannie. 4) Oczywiście smutnem jest.

5) Assesor policyjny, rodzaj komisarza.

łapówek odbywający tu swe wygnanie, kilku strażników „barbosów“, pozatem obywatelstwo polskie, oczywiście żadnych stosunków z „moskałami“ nie utrzymujące, oraz kohorty całe koltuniastych bab i chłopów poleskich — wreszcie z pośród nich rekrutujący się etat podległych gajusów. A owe niewiasty miejscowe, z których względów niestety volens-nolens — od czasu do czasu z konieczności wypada korzystać! br! — aż straszno pomyśleć! Polowania nie cierpię! głupie i bezcelowe zajęcie! — w karty nie gram! — wódki nie piję! — więc choć „łoiś i pomiraj!“¹⁾. A tyłu „duraków“²⁾ kolegów daleko gorzej odemnie ukończywszy Instytut — patrzaj! dzisiaj przydzieleni już do Ministerstwa, zajmują etatowe, świetne posady, dające możność uczęszczania do klubów, opery, pieczęcią ładne kobiety, robią karierę jednym słowem! Rok jeden, drugi — i naczelnik departamentu z podobnego „frukta“ — gotowy! „W ludzi wyjdiet“³⁾ — bałwan podobny! — czort by ich wszystkich pobral!“

Ta wyobraźnia Igora Arkadjewicza przeniosła się w zamierchle czasy lat studenckich Instytutowych w Petersburgu!

Przyszły mu na myśl: udręki ojca skromnego urzędnika XII rangi (koleżskoho registratora) oraz rodziny, nędza ubogiego studenta, dla którego szczyt marzeń: wieczorki z ostrzyżonymi kursistkami, dyżury nocne na mrozie celem uzyskania biletu na paradyz na występy Sembrich, Boronat lub innego Battistiniego, bale dobroczynne dla uczącej się młodzieży — głupia miłość i wynikły stąd zamiar wyrwania z domu publicznego pierwszej lepszej Maszki i jeszcze głupsze, według obecnych jego poglądów, spory i kłótnie zażarte, do rana trwające wśród obłoków dymu i butelek piwa o „kwestjach przeklętych“ — omal

1) Kładź się i umieraj. 2) Durnie. 3) Człowiekiem się stanie.

o włos nie zakończonych przymusową perygrynacją do kraju Turuchtańskiego!

Przypomniawszy sobie też dwudziesto kopiejkowe lekcje, na które w wytartym paltociku musiał nieraz całe mile pędzić piechotą, faszerując pseudo-nauką twarde głowy najróżnorodniejszych kretynów i degeneratów, trując garkuchnie, tajemnicze wizyty u tajemniczych lekarzy! Wzdrygał się!

Lecz jednocześnie w retrospektywnej mgle lat ubiegłych — nawet i ów ciężki okres pierwszych walk życiowych — nabierał, jak wogóle wszystko co już bez powrotu minęło, dziwnego, upajającego niemal uroku. Wzdrygał się — lecz jednak nie mógł się powstrzymać od wykrzyknika: „A jednak dobre były czasy, pał ich djabli!—eh!—Hryhor! a Hryhor!“

„Czeho, panoczku“?

Typowy poleski gajus z zielono otokową furazerką i miedzianą blachą „leśny strażnik rządowy“ — służbowo starał się wyprężyć swą postać podobną do pniaka olchowego — we drzwiach stojąc „na bacność“ — przed „naczalstwem“.

„Samowar skorej“ (prędej).

„Uoże nieosu, panoczek, zaraz gotow budie — a tuteczka jeszcze „kaziennyj pakiet“¹⁾ z „wołosti“²⁾ — dyżurny leśnik prunios — „howoryl“³⁾ „wielmi“ (bardzo) ważnyj i sekretnyj“.

Dawaj! Rozerwawszy kopertę nadleśny odczytał: „Upředzam Pana, że Jego Ekscełencja Dyrektor Departamentu Leśnego baron Zygfyrd Wolframowicz Westen-Sünden — 15-go b. kwietnia ma zamiar przybyć ekstra służbowym pociągiem o godz. 3 m. 15 popołudniu na sta-

1) Rządowe pismo. 2) Gminy. 3) Mówił.

cję Kopcewicze, celem zlustrowania powierzonego panu Borowskiego nadleśnictwa. Posiadając podanie pana o przydział do Ministerstwa — na które to ma pan wszelkie wymagane ku temu kwalifikacje, po koleżeńsku zawiadamiam pana, że baron w wolnych od zajęć służbowych chwilach ma zamiar polować na tokach głuszcowych, na których (podkreślam) nigdy w życiu nie był. Konfidencjonalnie też komunikuję, że z rozmaitych powodów zależy Ekscelencji niezmiernie na pomyślnym wyniku tych łowów. Bez trofeum w postaci głuszca baron wrócić nie powinien! Rozumie pan?!

Niejednokrotnie wyrażał się, że jeśli się uda — to w przyszłym sezonie przyjadą razem z panem ministrem i że wogóle, kto mu podobne polowanie ułatwi, ten pewien być może niezmiernej łaski Jego. Jasna sprawa, nieprawdaż? Przychylna decyzja w sprawie podania pańskiego, a padły z ręki dyrektora głuszec — to synonimy“!

„A żeby was cholera!“ — dziś już mamy 12-go kwietnia! — nigdy w życiu nie był na tokach? — jak ja mu to urządzę. — A nie! — pisz na Berdyczów! — przepadła karjera! — zgniję tu! — żywcem wjuny i żaby poleskie zajedzą! Hryhor! Hryhor!“

„Szo przykażete, panoczek“?

Siodłaj konia i jedź na złamanie karku! — walaj! „napramiki“ — przez koryckie błota! groblą „krąglakami“ do „objazdowego“ Ustyma. Natychmiast ma się stawić osobiście u mnie. Też obu leśniczych. A tymczasem dziś jeszcze gajowi z Miedwieżoho Uhla, Pohibelki, z Zakarawania, z Kriwoj Porośli, z Tarzanowa — niech „duchem“ lecą na „podśluchy“ (zapady). — Sam minister do nas przyjeżdża! — rozumiesz!

„A koli panoczek koniom „ciaper“¹⁾ „nakatnikom“²⁾ —

¹⁾ Teraz. ²⁾ Grobla z krąglakami.

nie przejedziesz, wielmi woda po „dożdriach“ welika stała na bólocie!“

„Pieszki ¹⁾ kataj! — i to w raz! dwa!“

„Łapci ²⁾ nowe uodieniu i czuj duch panoczek! nad ranem jutro z „objeżdzczykami“ Soroką i Sytnicą „przedstawiasia“ ³⁾ — a na „podsluchy“ to najlepszych leśników „komenderuję“ — z rozkazu panoczka! „Szutka skazat!“ ⁴⁾ — sam minister! A czy on uoże „wiedaje gluszczów“!? — polował już?

„Ale gdzieżtam! — pojęcia nie ma! — pierwszy raz w życiu! A nie zabije — was wszystkich na cztery wiatry porozpędza!“

„Niczeho! panoczku na „chytrość jest mudrość“ — gluszczec bude! i general sam zabije! treba żeby zabil!“

„Jakim sposobem? Dam ci sto rubli nagrody! — ratuj hołubczyku!“ ⁵⁾

„Słuchajte panoczek! — mam w komorze gluszcza — co to pan naczelnik dla sprawnika ⁶⁾ nakazywali „spuścić“ — zabiorę w worek, zaniosę z wieczora i z nim razem wleżę na „krywuju sosnu“ w 132 kwartale co to „stupaków“ ⁷⁾ dwieście od Łysoho Brodu bude, wprawo od „suchoj berezy“! — panoczek wiedaje! — to zowsim nie daleko od „chaty“ ⁸⁾ — wiorsty nie bude — miejsce „suchoputnoje“ — suche! — sławne! general się nie zmęczy!

Cały wieczór panoczek będzie generała musztrował — jak skakać do gluszcza. Ja też dniem zabiegnę pokazać jak on kłapie i pieje — pieśni powiem, że bardzo trudno usłyszeć! Przedtem jeszcze jak „strona ⁹⁾ boleć pocznie“ i „trubacze hołos podadut“ ¹⁰⁾ — panoczek z generałem będą już

¹⁾ Piechotą wal. ²⁾ Chodaciki. ³⁾ Zamelduję się.

⁴⁾ Łatwo powiedzieć. ⁵⁾ Gołąbku. ⁶⁾ Naczelnik powiatu.

⁷⁾ Kroków. ⁸⁾ Kroków. ⁹⁾ Dzień pocznie świtać.

¹⁰⁾ Żurawie się odezwą.

podskakiwać. Ja na drzewie w „gnieździe z chwojniaku siedząc“ — klapać i śpiewać pieśni głuszca zaczę! — z boku urzędę z „helja“¹⁾ — czarną kupę — to niby panoczek ukaże generałowi że to „on“ — sam „spiwak“ bude! Niechaj strelaje! Zaraz ja z dymem głuszca zrzucę na ziemię! po strzale! Strzelbę tylko panoczek sam „patronami“ z samym tylko prochem i cukrem nabije! Generał „zwiestnoje“²⁾ dzieło“ durnyj — nic nie rozpatrzy się! „nie pry-mietit“³⁾ — i że głuszec — dwa dni już jak zabity i że nie z tego miejsca gdzie strzelał spadnie! — bo wielmi rad będzie! Tylko prędzej po strzale do domu generała! — żeby nie rozwidniało! boroni Boże!⁴⁾ I nam wszystkim i panoczku — „nahrada“ welika bude! — Acz, stary Hryhor dobrze pryduwał. — Na chytróść jest mudrość, panoczek!“

„Nu i szelma z ciebie! — nie darmo Poleszuk! Jak dobrze się uda nie sto a całych dwieście rubli dostaniesz! A nikomu ani słowa o tem, „mołczok“. — Leśnicy niech idą na zapady. — Ty i ja nikt więcej nie „dołżon“⁵⁾. Nu a teraz — dobrze, stupaj! — leti!“

W różowych, słodkich marzeniach o przyszłych deli-cjach, związanych z przyszłym dygnitarstwem, już prawie niezawodnym w dalekim Petersburgu, zasnął tego wieczoru twardym snem nasz Igor Arkadjewicz.

* * *

Cały sekret bezwzględnej konieczności zdobycia własnoręcznie głuszca przez barona, dygnitarza ministerjum Rolnictwa i Dóbr Państwowych, polegał na tem, że podczas wesolej kolacyjki w gabinecie „Cubat“⁶⁾ gwiazda

1) Gałęzi. 2) Znana rzecz. 3) Nie zauważy.

4) Nie daj Boże! 5) Nie powinien.

6) Pierwszorzędna restauracja przedwojenna w Piotrogradzie.

półświatka ówczesnego „Camilla de Lion“ — Clo-clo — jak ją poufnie nazywano — przyznanie swych względów w charakterze stałej „maitresse en titre“¹⁾ — o co ubiegał się nasz petersburski potentat — niewiadomo z jakich przyczyn uzależniała od ofiarowania jej wachlarza, oczywiście w brylanty suto oprawnego — koniecznie li tylko z głuszcowego ogona!

Niezbadane są tajniki mroków psychologii kobiecej.

Przecież wartość klejnotów oczywiście powinnyby stanowić cały „sens“ kombinacji?

Może atawizm po jakimś antenacie, klusowniku z rodzinnego departamentu hetery z Wogezów?

„Mon petit Zizi“, jeśli chcesz, żebym puściła w trąbę starego generała Mundirowa „et li m'em... le vieux“²⁾, — dla ciebie! to powinienes mi podarować taki sam akurat wachlarz z ogona „d'un coq de bois“³⁾ — jaki widziałam u Mimi Valetty. Jej Wielki Książę podarował i sam zabił; — czy ja gorsza? Dopiero wściekać się będzie! Ty też własnoręcznie upolujesz! — nieprawdaż? Nu „embrasse“⁴⁾ bien fort ta Clo-Clo, mon Zizi chéri!

Któżby się oparł podobnie czarownym pieszczotom i słowom!?

Nawet potomek starożytnego germańskiego rodu, obecnie naturalnie „istinno-ruskij“ patryjota nadbałtyckich gubernij „de puro grano“ — do tego snob do szpiku kości, jakim niezawodnie był nasz Zygfryd syn Wolframa!

W podległym mu Departamencie, znalazł się jak zawsze pewien oddany całą duszą „naczałstwu“ urzędnik „le dévoué Iwan Iwanowicz“, sekretarz osobisty, przed którym nasz baron nie miał żadnych tajemnic.

Ten ostatni, odrazu zrozumiał sytuację: wyrugować

¹⁾ Oficjalnej utrzymanki. ²⁾ Mam starego po uszy. ³⁾ Głuszcza.

⁴⁾ Ucałuj mocno swoją Kło-kło mój ty Zizi ukochany!

któregoś nie milego dla niego wyższego funkcjonarjusza z zamianą na stanowisko przez kreowaną przez niego nową figurę najzupełniej pod wpływem swego dobroczyńcy raz na zawsze będącą, oraz aureola baronowskiej łaski zapewniona z legendą wpływów osobistych w sferach ministerjalnych. Obskurny zaś, z moczarów poleskich wyciągnięty nowy osobnik na wyższym urzędzie, będzie posłusznym barankiem.

Rezultatem: przyjacielska, chociaż w „kazionnym“ rządowym pakiecie „bumaga“ — „koncept“ — do Borowskiego Nadleśnego i niezwłoczny wyjazd barona do Kopcewicz na królewskie łowy czarownego pieśniarza wiosny!

Groźny zwykle szef departamentu — vulgo Zizi dla Clo-clo — aż drżał cały w gorączkowym transie myślowym i nadziei zdobycia wachlarza, a z nim szykowej francuzicy, co nadawało samo przez się pewien „cachet“¹⁾ wytworności w świecie, „gdzie się bawia“, do którego pragnął należeć nasz nadbałtycko-petersburski „arbiter elegantiarum“.

Przyjazd do Kopcewicz, służbowe meldunki na peronie stacji naczelnika powiatu, rotmistrza żandarmerji, inspektora leśnego z Mińska, szefa ziemskiego urzędu — spotykających oczywiście tak znaczną personę — tłumy ciekawych lecz ostrożnych bardzo poleszuków, mniejszość narodowa w najrozmaitszych odcieni łapserdakach, „multum“ strażników policyjnych (barbosów) z techniką wielką utrzymujących należyty „mores“ w niesfornych rzeczach, wszystko to się odbyło jak najporządniej w świecie!

Przed dworcem oczekiwała już na barona „lichaja trojka“²⁾ z kuczerem w kanarkowego koloru koszuli i czapeczce o pawich piórkach, umyślnie wysłana przez hra-

1) Markę. 2) Zamaszysta.

biego Pocełujewa, marszałka szlachty (?) z Mozyrza — do której skierował się baron ze świtą.

„A znajesz Moszko, u niego w Kurlandzkiej gubernji, swoja własna ogromna „erste klasse“¹⁾ fabryka papieru — pięć tysięcy dziesięcin lasu i w Wostoczno-Zapadnom bankie w Peterburgie osiem miljonów rubli leżył!“ — informował szeroko znany faktor Nuchim Fetor swego kolegę imię pana Mojżesza Natansohna.

„A groses purec! — czemu nie! pomyśleć tylko! acht tausend miljones — fünf desiatynes — a kliger kopf!“²⁾ — aż cmokał z zachwytu ostatni, podczas gdy chiwe, wschodnie oczy wpijały się w potężnego Nababa.

„Zwiestnoje dielo — general“ — marząco nie wiadomo właściwie dlaczego wykrzyknął raptownie, przysłuchujący się rozmowie matadorów, obdarty żydek — niemożliwie brudny i cuchnący Berko Gitelmacher, skromny od jaj i gęsi pośrednik.

„Iż jaki uażnyj panok pryujechał od gubernatora chyba treba, cztoby starszy bul!“ rozlegało się wśród chłopstwa...

„Gospoda! proszę rozejść się „niechoroszo“ — mitygował żandarm dyżurujący, podczas gdy strażnicy z mistrzowską w tej materji wprawą, na chwilę tylko w tłum się zanurzywszy momentalnie prawie, wolne przejście dla dygnitarza utorowali. Jakim cudem? Widać było wyjęte z cholew nachaje.

Usadowili się wszyscy nareszcie.

Poprzedzał orszak na bułanym koniku „urządnik“, zawzięcie okładając boki poczciwego „chabeta“ — z grzywy i ogona którego, nie udało się wyczesać wszystkich bodziaków. Za nim faeton, „prolotka“, ze stojącym dla porządku „sprawnikiem“, później skromne tarantasy, bryczki

1) Pierwszej klasy. 2) Mądra głowa.

przeróżnych nadleśnych, rewizorów, inspektorów i innych figur „minorum gentium!“

Setki ócz leniwie rozmarzonych, kołtuniastych bab w jaskrawych chustkach, chłopców w szerokich furażerkach, statecznych, starych poleszuków w baranich czapach, porwanych kozuchach w chodaki — łapcie niezmiennie obutych, wpijały się w wiośniane, złociste przestrzenie, w których śród olchowych krzaków, pni i brzeźniaków przydrożnych znikał powoli, niemilosiernie podskakując na drągowinach grobli — cały dygnitarski korowód „Quel pays, mon Dieu, quel pays! l'Asie dans toute son horreur!“¹⁾ — kłął głośno baron — do wszystkich djabłów „tausend Teufel — Donnerwetter! zasypując w tej chwili uroczą Clo-Clo i jej głupie zachcianki!

Koniec dnia i wieczór w skromnym dworku Nadleśnictwa w Borowie, znajdujących się wdali od miasteczka śród moczarów, rojstów i mszarników upłynął jak najmiej — wynagradzając barona za poprzednie kilkogodzinne udreki.

Odbył się suty obiad z mnogą ilością kawiorów, łososi, wódek przeróżnych, nawet z parą butelczyn wyśmienitej „korkowniczkowskiej“ starki — prawdziwym burgundem, szampanem — potem kawa z likierem „Benedictorum Monachorum“ i innymi odmianami — nareszcie specjalne pojawiło się pudło cygar „Afrykana“ — dla naczałstwa li tylko oczywiście przygotowane.

Wszystkie owe specjaly „ad hoc“ — przez gościnnego Igora Arkadjewicza istnym cudem w dwa dni z Mińska przez sztafetą delegowanego leśniczego najakuratniej w samą porę zostały dostarczone aż do zapadłego zakątka.

¹⁾ „Co za kraj, Boże! — Azja prawdziwa, ze wszelkimi swemi okropnościami“.

Bo zaprawdę, warto było poharować i kaletę nawet nieco opróżnić dla podobnego gościa, od „nastroju“ którego dalszy los bohatera naszego najzupełniej zależał.

Baron zaiste w świetnym był humorze.

Gdy jeszcze, jako akord ostateczny, zjawił się „szary i ciemnieńki“ jak pień osinowy, stary wyga leśny, sławetny Hryhor Niekraszewicz popularnie „Hrozą“ zwany i za miłościwem zezwoleniem Potentata, rozpoczął swe produkcje podskoków, telekiania i pieśni głuszcowych — prawdziwym zachwytem Zygfyryda Wolframowicza stanowczo granic już nie było!

„Regarde mon cher¹⁾, wyrzekł — zapalając nowe cygaro, do swego sekretarza — „ce dévoué Iwan Iwanowicz“?²⁾ — ten typowy poleszok — „quelle face de Satyre des bois!“³⁾ — a nasz uprzejmy gospodarz Nadleśny! co za dzielny i widocznie sprężysty człowiek! Szkoda prawdziwa, że tak wybitny urzędnik marnie ginie w „pays perdu“⁴⁾. Trzeba będzie pomyśleć o jego przyszłym losie!“

„Zdaje mi się, Ekscelencjo, że Szef Wydziału Spraw Ogólnych naszego Departamentu — ten naprawdę nieznośny śledziennik i tetryk Borzopiscew, prawie że jest na wylocie na emeryturę. Brakuje mu coś lat parę do tego. Dla dobra służby można ten termin nieco przyśpieszyć, zamieniając go młodą, niepoczętą siłą! Jeśli Ekscelencja pozwoli, po powrocie do stolicy zajmę się tą całą sprawą!“

„Ależ mon cher ami⁵⁾ — bardzo proszę! — tak, tak drogi Igor Arkadjewiczu! — pomyślimy o losie szanownego pana! — pomyślimy!“ — wprost już do Nadleśnego rzucając swe łaskawe słowa, zwrócił się Jowisz Minister-

1) „Patrzcie mój drogi“. 2) Ten oddany Iwan Iwanowicz.

3) Co za oblicze leśnego Satyra. 4) Zaprzepaszczonym kraju.

5) Drogi przyjacielu.

jalny — „niech mi się tylko dzisiejsze polowanko uda, — jak sądzisz pan o tem? — czy będzie „udacza?“¹⁾).

„Dwóch zdań być nie może, Ekscelencjo! — dusząc się prawie z radości wykrztusił nasz bohater — w powierzonych mnie rewirach głuszce są tak pieczołowicie ochrania- niane i tyle ich jest, że w razie czego i parę nawet mógłby Ekscelencja upolować“!

„To za wiele, jeden najzupełniej wystarczy! — oprócz tego ważne służbowe sprawy (umówiona kolacja z Clo- Clo!?) — wymagają mojej obecności w Ministerstwie koniecznie na 18 kwietnia. Mam li tylko na skutek tego ju- trzejszy ranek do swego rozporządzenia! Wobec tych oko- liczności — zechce pan zaznajomić mię nieco z techniką podchodu do głuszca. Słyszałem, że to podobno dość skom- plikowana sprawa!“

„C'est une question tre compliquée! 2).

„Ależ natychmiast, Ekscelencjo! — no! Hryhor jesteś obecnie już nam niepotrzebny! — Ja sam z generałem zaj- mę się i objaśnię wszystko! — ty zaś „machaj na pod- słuchy“! „Dobrze, ale jutro przed moim odjazdem — wstą- pisz i zameldujesz się u mnie! — Podziękuję ci za twoje trudy i pracę — i to nie skąpo! Bądź tego pewien, — jeśli zabiję głuszca! — nawet w takim razie będę prosić pana — panie Nadlesny awansować tego dzielnego „mołodca“³⁾ leśnika na „objazdowego“!

„Pokorno błahodariu! — panoczek! — Wasze Prewo- schoditielstwo! — rzucając się gwałtownie do całowania rąk dygnitarskich — aż ryknął z uciechy Poleszuk.

W lewo zwrot! — i już go nie stało!

Rozpoczęły się wraz, detaliczne wykłady „podskaki- wań“ do głuszca. Baron został przy tem należycie poinfor-

1) Powodzenie. 2) Kwestja bardzo skomplikowana. 3) Zucha.

mowany o niesłychanych trudnościach usłyszenia pieśni i zoczenia ptaka w cieniach nocy i ukrytych gałęziach igliwia!

Ku ogólnej zatem swojej oraz biesiadników uciechu wykonywał bardzo sprawnie potrzebne ewolucje, pod kierownictwem Igora Arkadjewicza, który osobiście miał tej nocy doprowadzać go do czarownego pieśniarza Wiosny.

O śnie oczywiście, już tego wieczoru mowy żadnej być nie mogło. To też punkt o dwunastej baron w nowiuteńskim, londyńskim, sportowym kostjumie był już gotów do wymarszu.

W głowie mu się nieco, od obfitych libacyj mąciło, lecz dusza grała szczęścia bezmiarem i nadzieją triumfu nie gorzej od tokującego miłośnie głuszca. „Kiedy to nareszcie?“ Nadleśny z namaszczeniem do uroczystej chwili odpowiedniem trwożnie niejako rzucił: „No! — jeśli Eksce-lencja pozwoli! — z Bogiem! „ni puchu, ni piera!“¹⁾ — w drogę! Do widzenia panowie!“

„Drogi Kolego! a więc w drogę! — pozwoli siebie tak pan nazywać? (Nadleśny aż mało nie zemdłał, wobec podobnego zaszczytu, przed całym zespołem „swoich“ ludzi) bo niedługo razem dla dobra ojczyzny i „cara batiuszki“ pracować będziemy! Żegnam panów! — śniadanie po moim powrocie spożyjemy razem! — Później można będzie pospać sobie parę godzin, aż do chwili wyjazdu o czwartej na kolej. — Odprowadzaniem mnie na stację — proszę się nie fatygować! Bez żadnych ceremonij i ceregieli! — Jesteśmy na łonie Natury — nieprawdaż!? Żadnego Naczalstwa teraz tu niema — jest towarzysz brat Myśliwy! — i nic więcej! — Eh! charaszo, czort woźmi!“²⁾.

¹⁾ Dosłownie: „ni szerści ni pióra“ — rosyjskie życzenie przed łowami.

²⁾ Eh, dobrze; pal go djabli.

„Ni puchu, ni piera“ — Ekscelencjo! — zgodnym chórem zawołali rozpromienieni, tak wybitnie dobrem usposobieniem petersburskiego luminarza obecni.

Chwilka — i cienie nocy poleskiej ciepłej, wiosennej, potęgą Wszechstworza rozmarzonej — pieściwie pochłonęły postacie naszych Nemrodów.

Z pół wiorsty wypadło iść szerokim gościńcem — resztę drogi na przelaj młodym, sosnowym zagajnikiem. W tem miejscu już oczekiwał jeden z leśników z pękiem przygotowanego łuczywa „smolaków“ dla oświetlenia miejsc „zdradzieckich“.

Albowiem, na drodze naszych znajomych był nawet mały „brodzik“, jakich z pięćdziesiąt kroków mający, o zamaszystych, dobrych „kładkach“, które jednak dla myśliwego typu barona, oczywiście stanowić mogły przeszkodę nie lada!

Poleszuk, jak zwykle oczekując przy ogniu, kurzył swą fajeczkę z „machorką“. Baron, już wielce zdenerwowany egipską ciemnością, zmęczony półkilometrem piachów, podniecony tajemniczością oczekiwania, został żywo zaniepokojony widnem zdala, płonącym ogniskiem! „Czy nie bandyci czasem?“ (i to w podobnym zaciszu, w przedwojennych warunkach!) „Ale gdzież tam, ekscelencjo! — to gajowy Wasyl Sytnica oczekuje na nas“. A pewny to człowiek? nie „chuligan?“¹⁾ „Trzydzieści lat już, na służbie rządowej“. Doszli nareszcie. Tradycyjne „zdrowia żelaju, panoczek! — Wasze prewoschoditelstwo“²⁾ — z pocałowaniem obu rąk dygnitarskich, wręczenie widelkowatych kijów dla przejścia „kładek“ i przy „rembrantowskim“ świetle płonących „smolaków“ — hajda! — dalej! Jakto to mam iść przez podobne brewniaki? „que diable l'empor-

1) Apasz, rzezimieszek. 2) Zdrowia życzę, Ekscelencjo!

te — c'est de l'équilibristique du cirque Ciniselli! ¹⁾ — przekłeta, Clo-Clo i jej głupie kaprysy!“. „Proszę, niech Ekscelecja dwoma kijami oprze się o dno! — tak. A teraz bokiem nogi na kładki! — ot tak! — bardzo dobrze! — Wasyl „wperod“! — „swiati na ciom beregi! ²⁾““. Momentalnie — jak elegantka w salonie na najlepszym parkiecie — poleszuk w mgnieniu oka, już się znalazł na przeciwległym brzegu brodu! „Un singe, un vrai gorille! ³⁾“ — pomyślał baron. „Ależ ślizko!“.

Po pierwszym zaraz kroku, pośliznąwszy się, po kolana był w wodzie! „Czort woźmi!“ — przyczem już koloratura „istunno“ rosyjska z genealogją protoplastów i najdziwaczniejszych kombinacji miłosnych antenatów, posypała się, jak z rogu, obficie z ust wielkiego światowca.

Zimna woda, niby z kuracji księdza Kneippa, i mogące bardzo szwankować z tego powodu londyńskie „ineksprymable“ niemile nasunęły refleksje!

„Nie pójdę dalej — za nic na świecie!“ „Niech Ekscelecja opierając się na obydwóch kijach raczy dać mi swe ramię! — Ja prosto pójdę wodą! — Wasyl! — „nazad“ — „bierz pod żebry generała! ⁴⁾ — tak choroszol — no, pomaleńku! — z Bohom!“.

Jakoż nareszcie udało się przeholować barona. Kilka razy padając, to w jedne, to w drugie objęcia znalazł się za brodem na „suchem“. „Uff! — co za gorąco „je suis tout dans une sueur! ⁵⁾“ — ależ to trudne — a daleko jeszcze? „Stupakow dwieście panoczek ⁶⁾ i „treba“ żeby usłyszeć „jak zapiaje“.

¹⁾ Do wszystkich djabłów — to już ekwilibrystyka cyrku Cinisello!

²⁾ Świeć na drugim brzegu! ³⁾ Małpa! — prawdziwy goryl!

⁴⁾ Bierz pod ramię generała! ⁵⁾ Jestem cały spocony.

⁶⁾ Kroków dwieście — i usłyszymy go jak zaśpiewa.

„No to chodźmy!“ — krok w krok, potykając się o nierówności gruntu, korzenie — płącząc w gęstych „bahunach“ i wrzosach jakoś przemordowali się na tę odległość! „Tu zaczekamy — niech Ekscelencja siada na stołku. Proszę bardzo. Powinnien prędko zagrać! „A papierosa można zapalić?“. Jeszcze daleko, to można (a żeby ciebie cholera! — pomyślał — mógłbyś, bałwanie jeden, i pod samym „takim“ gluszcem delektować się cygarem nawet.

Cisza bajeczna z doskonałych najdoskonalsza ogarnęła naszą trójkę. Raptem! — przeciągłe, długie wyciel! „Co to takiego?“ „to wouki!“ — najspokojniej rzuca leśnik. „Des louns! — A nie napadną na nas“ „Durnyj — sowsim durnyj ¹⁾, z politowaniem zrodziło się w głowie Wasyla, a takij ważnyj panok! — sztuka skazat — general“.

„Proszę być spokojnym! — jesteśmy odpowiednio uzbrojeni! — w razie czego zawsze obronimy Ekscelencję“.

Cisza znów pochłonęła wszystkich — Baron jednak pomimo zapewnień i obecności aż dwóch swoich podwładnych funkcjonariuszy, czuł się bardzo markotnie!

Wtem! — jęki niby duszy pokutującej — rozległy się i płynęły ponad uspioną puszcza...

„A to znów, co takiego?“ „Bąka huczenie“. „A co to bąk?“ „Rodzaj czapli!“ Z oddali, surmy niby hejnału bojowego metaliczną jasnością dźwięków załaly, oświeciły, zda się, mroki i zagłębia najskrytsze lasu.

„Żurawy! — „trubaczi“ — hołos podajut! — treba wraz hluszec kłapać pocznie ²⁾“.

Aż dreszcz oczekiwania do szpiku kości przejął całe

¹⁾ Głupi a przecież podobnie ważny Pan! — general — łatwo powiedzieć!

²⁾ Żurawie trębacze — głos podają — zaraz gluszec kłapać zacznie.

jestestwo barona. Zmęczenie niezwykle, noc nieprzespana, całe otoczenie tak do stołecznych warunków niepodobne, cisza dźwiękami snów gorączkowych wibrująca! — ludzie ci leśni! wreszcie chęć zdobycia trofeum, wszystko to zdernowowało go do tego stopnia, że rzeczywiście o całym świecie zapomniał. Chwile te rozbudziły w nim psychikę li tylko myśliwego, atawistyczne pierwiastki przodków w duszy niemal każdego człowieka drzemiące, rwące się do upragnionego, jedyne go celu — zwierzyny! jeszcze raz zwierzyny!

„Chr, chr, pst! — Chr! Chr! pst!“... jak mara nad głowami przeciągnęła chrapiąca słonka... kszyc-bekas, gdzieś zabczał!

Ptaszyna żadnemu ornitologowi nieznana w sośninie zakwilila.

— A głuszca nie słyhać! — i nie słyhać!...

„Czy nie zapomniał o „graniu“ Hryhor? — a może go wcale niema na drzewie? — nie może być!“ „Szo ce take, Wasyl“ — szepnął do wtajemniczonego także gajusa — „paczemu ne spiwaje?“ „A kto jeho wiedaje — treba szob grał — dniaje, panoczek! 1)“ — przytem porozumiewająco szturchnął w bok Igora Arkadjewicza — „treba szob spiwal — poniali, panoczek? 2)“.

Nie pozostawało nic innego do zrobienia — jak zastosować ów ostateczny, heroiczny środek!

Podobny dureń i profan wszystko jedno, nic nie rozumie! Wmówi się w niego, że głuszcę gra! — ale on nie słyszy tylko! — i basta! Wykonać trzeba prędko i sprawnie — bo, jak rozwidnieje — może być gorzej!

„Wasyl, czujesz?“ — aż dysząc cały niby to, ze wrzuczenia do starego wygi! Ten ostatni odrazu zrozumiał wy-

1) Kto jego wie? trzeba żeby grał — rozwidnia się.

2) Trzeba żeby grał — zrozumiał pan?

śmienicie sytuację! „Panoczek! Wasze Prewoshoditielstwo—kłapaje! jej Bogu!—kłapaje!“ „Nic nie słyszę“ „O! o! piałe! — połnu piesniu propiel! ¹⁾“ „Gdzie — co mówisz! Idźmy“ — „Sza! — cicho! — stać!“ — bez ceremonji już począł chwytając za generalskie ramię żelaznemi zda się kleszczami swych rąk. — Wstrzymał go Wasyl. — „Ostrożnie! — niech się rozśpiewuje! — Ot! kłapaje znów! — O! o! — nowa pieśnia! ja pójdę wperod! — proszę się trzymać za mój pas! — ot! tak! — po dwa kroki! — sza! sza! — stać! — dobra! — jeszcze dwa! — dobra! stać!“

Igor Arkadjewicz ledwo mógł nadążyć za sprytnym leśnym komedjantem. Generał aż omdlewał z gorączkowego transu myśliwskiego.

Niema już na świecie ani karjery! — ani Petersburga i jego stosunków, ani Ministerstwa! ani Clo-Clo nawet! — jest tylko tajemnicze drzewo, na którym ogromny, czarny ptak ze snu dopiero obudzony zamiera w szale miłosnym — i którego zdobyć trzeba! — i zdobędzie się niezawodnie!

Już się znajdują pod umówioną z Hryhorem dużą sośną o gęstej, zwartej iglastej koronie. „Ależ ja nic nie słyszę!“ — wyjąknął baron podczas jednej niby to pieśni, raczej przepchnięcia jego dostojnej osoby — przez dwóch leśnych spryciarzy! Jeden albowiem ciągnął go wprzód, drugi zaś pięścią pobudzał energję podskoków z tyłu. „I nie posłyszysz pan! — na to trzeba wielkiej praktyki! — On! — tu, na tej starej sośnie — w samej koronie! — trudno bardzo zobaczyć! — nu! —dalej!“

Wschodnia strona nieba poczęła tymczasem wybitnie bieleć. Na dzień się zanosilo. Podobnie do sennego zjawiska wylaniały się już na tle szarzyzny przedświt szkielety dużych „suchostojów“ — tragicznie rozpościerające

¹⁾ Gra — pełną pieśń — prześpiewał!

swe zamarłe ramiona — ponad zwartą rzeszą młodych, jak rzepa zdrowych „chwojniaków!“ Nie było czasu do stracenia, każda sekunda drogą była! Obskoczyli jeszcze parę razy dla „fasonu“ i zamydlenia oczu drzewo z rzekomym głuszcem — padając przytem parokrotnie na ziemię, niby to dla łatwiejszego zoczenia zakłętego ptaka...

„Panoczek wo! ce win! z prawej storony na „helakie“ — w poł drzewa!“¹⁾ wołał leśnik ręką wskazując na „ad hoc“ oczywiście przygotowaną przez Hryhora kupę przy-mocowanego do grubej gałęzi igliwia — istotnie kształtem swem w mroku nocy nieco podobnego do głuszca.

„Tak! tak — to głuszec!“ potwierdził zamierającym szeptem nadleśny, — „niech Ekscelencja strzela!“ „Co! doprawdy?! — nie może być! — czy tylko napewno głuszec?“ „Chwili stracić nie można! podjął głowę! — już ogon zamyka! — zleci zaraz — strzelać, strzelać!

Rzetelne uderzenie kulakiem w plecy, jako decydujący impuls! — nieszczęśliwy, na w pół już tylko przytomny od wszystkich tych emocji Zygfyrd syn Wolframa — bezwiednie, odruchowo rzuca we wskazanym kierunku dwa swe pośpieszne strzały!

Omdlewający ze wzruszenia nasz bohater wyraźnie odczuwa jak ziemia poczyna literalnie z pod jego stóp się usuwać! zawrót głowy! — pot zimny! — Czarność nocy staje się jeszcze głębsza! — chwila... i łamiąc drobne gałązki — jakaś ciemna, duża masa, jak kamień spada... i wali się we wrzosa głębokie!

O radość! — O szczęście, — jest głuszec! — jest!

Nie darmo całe pokolenia walecznych baronów — w tajnikach puszczy Germanji średniowiecznej — tura, niedźwiedzia, odyńca na oszczep brały! — bystronogiego

¹⁾ Panoczek! — to on! — z prawej storony na gałęzi — w polowie wysokości drzewa!

jelenia konno forsując! — labędzia, orła, czapłę strzałą przebijając! Potomek też stoi na poziomie, tych w stal lśniący pancerzy zakutych wojowników, myśliwych pełnych tężyzny. Podobnie do tych błędnych rycerzy u stóp bohdarki złoży z takim trudem zdobyte nareszcie trofeum — wachlarz głuszcowy!

Pierwszy strzał w życiu do pierwszego głuszca! — i jest głuszc! A twórcy jego „dziela“ łowieckiego — to on! — ten skromny Nadleśny! — to On! — ten „paysanus vulgaris“ — szary chłop poleski co go „doprowadził“ — do pieśniarza wiosny! — to tamten jego drugi kolega, co go wieczorem, mistrzowsko osadził!

Odruchowe rzucenie się w objęcia rozpromienionego Igora Arkadjewicza, z pocałunkami i oślinieniem też prawdziwie rosyjskim. „Hołubczyk“! — nigdy nie zapomnę! — jesteś już Pan Szeferem Oddziału Departamentu! — takich ludzi nam potrzeba! A ty „mołodziec“ — masz „katarzynkę“ — przytem wydobywszy sturublówkę obdarzył nią ogłupiałego ze szczęścia poleszuka. Obydwaj jesteście awansowani na objazdowych! — No, a teraz dawaj pan stołek! — odpocznę trochę! — Mokry cały jestem! — papierosa wypalę. „Głuszcza zaraz podniosą, Ekscelencjo! — O dziesięć kroków leży, ten wspaniały stary śpiewak, którego Ekscelencja tak gracko na miejscu położył“. „Oj sławnyj buł śpiwak! — dodał Wasyl — liet uosiem spiwał na ciom toku! — Ja zaraz „podniesu!“¹⁾ „Ani mi się waż — chcę doczekać dnia! — żeby w całej piękności zobaczyć, nacieszyć się królewskim ptakiem, któregom tak pięknie „srezał“ — zrulował! — Ani drgnął! widzieliście wszyscy! — Sam osobiście, wtedy go podejmę...“

¹⁾ Znakomity był gracz — z osiem lat grał ciągle na tym samym toku — ja zaraz go podejmę!

Przy tych słowach Igor Arkadjewicz poczuł, jak włosy aż dęba mu stanęły! Ładna perspektywa! Światło dzienne!... i siedzący w koronie sosny Hryhor! Wszystko z krete sem na wieki „kaput“ — dościgłe marzenia, snem złotym tylko! — dymem z papierosa! i nic więcej! Jakim sposobem przekonać potentata? Jak zwykle... poleszuk wy ręczył. Wasyl, niby to przysłoniwszy dłonią ucho: „Hra- je!“ — panoczek! — drugi spiwak, jej Bohu! — piałe! — stupakow ze sto budiet — nie dalej! — Drugiego „waż- miom!“ wperod! chodu!“ „No, to z powrotem idąc zabie- rzemy pierwszego! — jak chciałem po dniu!“ — uparł się baron, już znowu będąc pod wpływem sugestji łowieckiej! „Broń Boże — możemy nie trafić — zresztą lisów i kun dużo — marnie zaginać nam może. — Zaraz trzeba z sobą zabrać!“ „No! — dobrze — w takim razie masz pan słusz- ność — lecz ja sam to uczynię! — muszę mieć tę satysfak- cję!... Kilka kroków barona i... stała się rzecz straszna!!!

Nachyliwszy się, ku czerniejącej, pod drzewem leżącej nieruchomo, masie, jak gdyby piorunem rażony, przez zmięję ukąszony, odskoczył nasz baron. „Łajdaki! oszuści! żuliki! — to tak poważacie „naczalstwo!“ — Won! na wszystkie cztery wiatry!“ „z wołczim biletom!“ — wszyscy! — ty kanaljo najpierwszy! — ładny Nadleśny — niema co mówić!“ „Co? — co się stało? Ekscelencjo? — nic nie rozumiem!“ „A, nie rozumiesz — to patrz Anty- chryście przeklęty!... (tu cały potok rosyjskiej koloratu- ry). — Od kiedy to głuszce w workach grają?“

Przy tych słowach duszący się z wściekłości groźny ministerjalny Jowisz z całej siły cisnął głuszcem... (ale w worku) — w głowę skamieniałego ze zgrozy Igora Arkad- jewicza.

Nieszczęsny Hryhor, siedząc wygodnie w rozgałęzieniu sosny wieczór cały, zasnął i... zapomniał zupełnie, że głu-

szec w worku! — Rozbudzony znieca i przestraszony strzałami rzucił w tym stanie ptaka na ziemię.

Oczywiście żaden „urogallus“ w podobnej tualecie nigdy na żadnym toku widzianym nie był!...

...Sądny dzień nastąpił po tem „workowem“ wydarzeniu!

* * *

Wszystko się jednak ułożyło jak najlepiej w świecie. Baron po powrocie do Petersburga — po wybuchach radości Clo-Clo w czasie kolacji u Cubat z otrzymanego ślicznie oprawionego w brylanty wachlarza, a co zatem idzie po przyjęciu oficjalnego protektoratu barona, oraz po spożyciu wysmienitej „langouste a l'américaine“ — obficie oblanej staremi, doskonałemi winami — wpadł w stan błogosławionego rozmarzenia. „Ostatecznie przecież wachlarz jest! A to grunt! — Wszyscy ci biedacy niżsi czynownicy — jednak nie są tak głupi, jak się wydaje. Kapitalnie oszwabili nawet Ministra! Ale o tem sza — bo będzie wstyd! Wiesz co Clo-Clo? z powodu dzisiejszej tak milej uroczystości gotów jestem popełnić dobry uczynek, darować im „un crime!“ — popełniony przez moich podwładnych.

„Oh! — c'est gentil, mon petit Zizi chère!“¹⁾ — przytem, jako akord ostateczny — specyficzna pieśczoła uroczej francuzicy.

W rezultacie — w restauracyjnym gabinecie „le dévoué Iwan Iwanowicz“ — sekretarz osobisty — telegrafował do Zarządzającego Okręgiem Mińskim Dóbr Państwowych: „Pozostawić na tych samych stanowiskach wydalonego Nadleśnego Iżorina, leśników Niekraszewicza i Sytnicę

1) O! jak to miło z twej strony, mój Zizi drogi.

bez zanieśienia przyczyn do ich formularzy, Dyrektor Departamentu Baron Westen-Zünde“.

„Encore une bise de ta petite femme... mon Zizi... Va!“¹⁾

A głuszce wiosną grały i grają nadal...

I ja tam byłem, miód i wino piłem i... głuszce nie takie i nie takim sposobem bilem.

¹⁾ Jeszcze całuska od twej kobietki — mój Zizl! — masz!

DZIKA GĘŚ

Ponieważ nie wielu myśliwych miało możność polowania na te wspaniałe i tak trudne do zdobycia ptaki, a zwłaszcza w ich miejscach lęgowych, mnie zaś opieka naszego św. Patrona przez cały szereg lat szczęściem tem darzyła na tak „zwanych „Dzikich Polach“ praojców (w Kijowszczyźnie), więc też chcę się skwapliwie z laskawymi czytelnikami swemi spostrzeżeniami, niezapomnianymi nigdy cudnemi przeżyciami oraz opisem tych prawdziwie królewskich łowów, podzielić.

Oprócz zwykłej dzikiej gęsi, jeszcze w przelotach wiosną i jesienią spotyka się u nas w kraju: gęś polna (*Anser fablis*), gęś białoczelna (*Anser albofrons*), gęś mała (*Anser erythropus*), gęś rdzawoszyja (*Bernicla ruficollis*), gęś bernikla (*Branta bernicla*), gęś białolica (*Branta leucopsis*); ta ostatnia bardzo rzadka.

Na moich Wierzchowieńskich terenach (gub. Kijowska, powiat Skwirski) na tak zwanem Horycznym stawie, w początkach lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, zwykle rok rocznie wylęgało się dwa, trzy gniazda gęsi.

Staw ten, zajmujący około 60 hektarów czystej wody i stu dwudziestu gęsto zarosłych trzciną, „oczeretem“ i łożą, z mnóstwem przeróżnych jezierek, „helaw“ po miejscowemu moczarów, zatok rzeczulek oraz źródeł nie zamarzających, stanowił idealny teren dla wyvodu chmar całych

kaczego, sławetnego rodu w odmianach miejscowych oraz we wszystkich prawie gatunkach przelotnych¹⁾).

W onych zamierzchłych czasach, staw ten nie podlegał specjalnej łowieckiej ochronie: a więc zimą i wiosną wycinano trzcinę i zarośla, poczynając od chwili odmarznięcia, jeżdżono dzień w dzień łódkami, celem stawiania tak zwanych więcierzy do połowu ryb, a co za tem idzie i jaj gęsich i kaczyc przez rybaków, amatorów darmowych jajecznic — brzegi zaś przyległe roily się oczywiście od pastuszków z ich pocziwemi pieskami!

Ś. p. Ojciec mój, w przeciwieństwie do Dziadka, kasztelana Witebskiego i ostatniego Posła Rzeczypospolitej w Danji istnego Venatora „de re et nomine“, chociaż wielki miłośnik przyrody, nie był myśliwym-hodowcą, więc specjalną opieką nie otaczał zwierzyny, szczególnie tak „kucharskiej“ — za jaką podówczas wszelką wodną pocztywano.

Sluga zaś łaskawych czytelników niezawodnie po Dziadku atawistycznie fanatyk-hodowca, odrazu zastosował drakońskie wprost metody ochronne!

Od samego początku wiosny na Horycznym stawie i jego obu brzegach cicho było, jak w kościele, wszelka jazda łódkami wzbroniona, pozostałe z zimy trzciny i zarośla nietknięte, i aż czterech stróży, dzień i noc czuwało nad spokojem kaczyc i gęsich amatorów!

Rezultaty: po kilku latach podobnego gospodarstwa — tereny kaczce mogły konkurować z poleskimi „sadami“, gęsi zaś wylęgało się już nie marnych dwie, trzy pary, lecz pięćdziesiąt, sześćdziesiąt! Lęgowe pary w wiosennym okresie na tyle były przyzwyczajone do ludzkiego widoku,

¹⁾ Krzyżówka (*Anas boschas*), Szarka (*Ch. streperus*), Cyranka (*Querquedula*), Cyraneczka (*Nettion crecca*), Podgorzałka (*Nyroca ferina*).

że na przyległych łąkach można było nietylko podjeżdżać, lecz podchodzić do żerujących na nich, na jakie trzydzieści kroków. Nieraz spokojnie chodziły na nogach aż do samej brzegowej wody— pływając dalej, dopiero przynaglone na skrzydła się podnosiły!

Często bardzo towarzyszące mi osoby wierzyć nie chciały, że to są gęsi dzikie — dopiero lot ich o tem przekonywał.

Z młodemi gęsiętami w kanarkowym puchu też można je było nieraz obserwować, jak spacerowały wśród młodej zieleni wiosennych kaczeńców i kwiatów łąkowych. Oprócz Horycznego Stawu w moich Wierzchowieńskich dobrach, dużo też lęgowych gęsi posiadał w ziemi Kijowskiej Nowo-Fastow pani Konstancji Montrezorowej, staw w Ostrożanach, powiecie Taraszczańskim — małą zaś liczbę Pawołocz i Różyn na rzece Rastawicy, niektóre duże stawy Wołynia, jako brata mego Leona hr. Rzewuskiego na Horyniu w Borsukach i Peredmirce (obecnie, dzięki Bogu, stawy te znajdują się po polskiej stronie), podobno też sztuczne nawodnienie Podola, w byłym zaborze rosyjskim oraz w Małopolsce (Tarnopol, Gródek).

W swoim czasie, w przedwojennych numerach „Łowca“ lwowskiego polowania na gęsi, bywały barwnie bardzo opisywane przez redaktora p. Alberta Mniszka, który co roku na nie zjeżdżał do swej kuzynki p. Montrezorowej w Nowo-Fastowie.

Na wszystkich innych wodnych zbiorowiskach gęsi, podobnie jak w Kongresówce i w kraju całym, bywały na przelotach tylko, jako obiekt strzałów wypadkowych — mowy więc o regularnem na nie polowaniu być nie mogło.

Lęgowe pary pojawiały się bardzo wcześnie. Jeszcze lody i śniegi murem stały, roztopów wiosennych dopiero był początek, a już mój wierny przyjaciel „per modum“

pomocnik leśniczego Bronio Dymicz — stawiał się z radosnym meldunkiem „a już dwie pary gęsi som!”

Z radością leciałem niemal. — I rzeczywiście na uwolnionym od kry lodowej brzegu, stary, dumny gęsior z wysoko podniesioną głową poważnie zda się bada okolicę — podczas kiedy gąska — skromnie szczypie ździebelka zieleńających z pod śniegu trawek i wodorostów.

Bywały lata, a już miało to miejsce, pomiędzy 10—15 lutego.

Znacznie później dopiero, zjawiały się klucze przelotnych — na daleką północ ciągnących.

Oczywiście, wcześni ci goście — były to osobniki zimujące na stosunkowo bliskich brzegach Kaspijskiego morza i Dnieprowskiej Delty — prawdopodobnie z dawnych już bywalców Wierzchowieńskich wód.

Często bardzo, sypaliśmy im pokarm, rozstawialiśmy snopki z owsem na brzegu, dając tym sposobem możliwość doczekania lepszych czasów i aury pomyślniejszej.

Gęś dzika potrzebuje koniecznie dla lęgu tak zwanych po rusińsku „sławów” — to jest uformowanych z „humusu”, zrośniętych, przegniłych korzeni, traw, wodorostów, i loz pływających wysepek, lub też z oderwanych od łąkowych brzegów twardych kawalków gruntu, gęsto zarosłych i też pływających po powierzchni stawów.

Gdzie podobnych sławów niema — tam stanowczo też i gęsi lęgowych nigdy być nie może.

Stanowią one charakterystyczną cechę naszych stawów Ukrainy, Wołynia i Podola.

Co rok zmienia się topografja ich rozmieszczenia na powierzchni wód. Tworzą się nowe, jakby kurytarze, cieśniny, zatoki, jeziorka — konfiguracja dróg komunikacyjnych dla łódek staje się z każdą wiosną i latem inna, zmieniiona do niepoznania.

Nielada też trzeba mieć wprawę, żeby nie zbłądzić w owym labiryncie!

Tylko z dziada pradziada miejscowy „rybak stawowy“ — na swej łódce „płaskodonce“ lub „uszehubce“ zdradzieckiej, jak mara umiejętnie i nieomylnie przesunie się śród morza trzcin i oczeretów, na „rizakach“ zjadliwych i nenufarach wodnych.

Świat cały odrębny — swoim życiem intensywnem owado-ptasio-rybio-zwierzęcym, niezależnie żyjący stanowią te błota i stawy Dzikich Pól Kresowych!

W początkach maja rozpoczyna się u starych gęsi okres pierzenia się. Coraz mniejszą ilość ich można było obserwować na stawie. Około 15 maja zniknęły zupełnie z oczu, przebywając okres krytyczny w najbardziej niedostępnych i zarośniętych częściach stawu.

Na napotykanym i wiadomych gniazdach, samice siedziały tak twardo, że nieraz łódką można było do nich podjechać na kilka kroków i ptaki bynajmniej nie opuszczały jaj, ilość których bywała zwykle od 5—11 sztuk. Gniazda zakładane były zawsze na „splawach“ — niedaleko czystej wody. Za materiał do gniazd służył najczęściej nałamany drobno „tatarak“, usłany puchem i pierzem z piersiowych części gęsiego ciała.

Zwykle też po wierzchołkach tego zielska, jakby obciętych nożyczkami, można było rozpoznać miejsca pobytu par lęgowych.

Już w połowie czerwca gąsięta były dobrze podrośniętymi „klapaczami“, z końcem zaś tego miesiąca podnosiły się już na skrzydła, równocześnie z wypierzonemi starcami.

Wtedy też rozpoczynało się na nie polowanie o świcie i wieczorem z podjazdu na łódkach, tak zwanych „płaskodonkach“ — którymi można było przesuwać się po naj-

płytszych wodnych zakątkach, pomimo mnogich przeszkód w postaci „rizaków“ — tak zwanej „raski“, oraz splecionych korzeni lilij wodnych i innych wodnych roślin.

Upalną część dnia stadka spędzały wśród zarośniętych zaciszy stawowych. Przed wschodem i zachodem słońca dopiero — wysuwały się jak mary, „gęsiego“, zwykle pod przewodnictwem rodziców, celem żerowania na czystych jeziorkach stawu.

Wyplłynawszy, z dyskretnem bardzo, stłumionem „gęganiem“ — głośno uczując, kąpały się, pluskały — ćwicząc się także w przelatywaniu coraz odleglejszych przestrzeni z jednej „helawy“ (jeziorka) na drugą. Podjechać można było wówczas do żerujących stadek nieraz bardzo blisko, na jakie dwadzieścia, trzydzieści kroków. Spłoszone strasznym widokiem łodzi i straszniejszymi jeszcze na niej ludźmi — stadko salwowało się ucieczką, bijąc głośno o wodę skrzydłami i rozpraszając się po najbliższych szuwarach.

Można było natenczas z łatwością zdubeltować z parę razy nawet. Łup bywał nieraz bardzo obfity, często jakie 3—4 sztuk wytrącało się z jednego stadka!

Dla mnie osobiście ten rodzaj strzelania starych i młodych nie posiadał najmniejszego uroku, gdyż nosił charakter rzeczywiście zbyt „kucharski!“

Po upływie jeszcze jakiego tygodnia, kiedy to lęgowe stadka „podejmowały“ się już „serjo“ na skrzydłach i poczynały odbywać za żerem dalsze peregrynacje na okoliczne pola, powracając o zmierzchu na staw rodzinny, wtedy to dopiero zaliczyć można było chwile podobnych „nadlotów“, do rzędu silnych łowieckich wzruszeń.

Lecz, wówczas, kiedy wywodowe gniazda poczynały się łączyć w większe partje, po sztuk 15—20, co zwykle miało

miejsce w drugiej połowie lipca — następowały prawdziwie poważne przeżycia i emocje na tle zachodu letniego słońca.

Żerując noc całą na polach i stepach, nieraz bardzo odległych — stada pomiędzy 9—11 rano powracały na przestrzenie wodne, dla napicia się, wykąpania oraz snu odżywczego w jakimś zaciszu aż do godz. 2—4, po której następował kolejny odlot z powrotem już o zachodzie.

Jeszcze, jakie parę tygodni później — prawie że cały kontyngens, wylęgłych na danym stawie gęsi — gromadził się w poważne już stado, złożone w „urodzajne“ dla wyvodu lata, z paruset i więcej sztuk.

Czasami dni kilka nie widać i nie słyhać było ani jednej gąski! — Raptem pewnego wieczoru nadlatywało ich „multum“ srogie! — nie tylko „swoich“ — lecz widocznie i z innych odległych, okolicznych stawów — na których oczywiście się wylęgały!

Natenczas rozkosz prawdziwą odczuwało się polując na nie.

Ponieważ zwykle stada zapadały na jednych i tych samych ulubionych jeziorkach, o czystej (wolnej od wodorosli) wodzie, lub nawet czołowej części stawu — przylegającej do oczeretów, zarośli i pływających wysepek (splawów), więc kilka nieraz niezapomnianych, cudnych zachodów słonecznych zdarzało się spędzić na łódce wśród szuwarów w szkarłatach i fioletach seledynowo-różowych zórz!

Natomiast, co za chwile napięcia całego jestestwa, kiedy to, wśród bajecznej ciszy upalnego dnia, w ukojeniu wieczornem, rozlega się charakterystyczne, słabe z początku gęganie o jakie parę kilometrów słyszeć się dające, a potem „nadciąga“ stado tych wspaniałych, ogromnych ptaków!

Leciały z hieratycznie wyciągniętymi szyjami owe tak estetyczne w mrokach zachodu gęsie sylwetki!

Było w tem coś z upalnego, dalekiego Egiptu, coś z piramid i sfinksów zamierzchłej kultury Faraonów! — żar pustyń bezbrzeżnych, okalających Deltę Nilu.

Młotem wali serce myśliwego! — żadnej już uwagi nie zwraca się na pękate kaczki, przeciągające prozaicznie nad samą głową nieraz!

Jeszcze chwil kilka — i rój cały przepysznych ptaków parę razy obleciawszy ulubione jeziorko — charakterystycznie „koziółkuje“ w powietrzu.

Niektóre już spadły na taflę czystej wody — z rozkoszą piją strugi — od zorzy promieni żółto-opalowe — pluszcząc się w złotych jej kryształach!

Przy tej okazji można bardzo łatwo, załatwiwszy się szybko strzałem z najbliższej siedzącymi — „spuścić“ — jedną i drugą z wyżyn powietrznych! — zrobić ładny dublet nawet! — gdyż nigdy odrazu wszystkie nie zapadną na wodę! — Spłoszone, a nawykłe do danego jeziorka — parę razy obleciawszy — powracają i zasiadają napowrót!

Zdarzało mi się nieraz po 5—6 sztuk w ten sposób zdobywać jednego wieczoru. Jeśli jeszcze do tego poluje się we dwie łódki — na dwóch uczęszczanych przez gęsi jeziorkach — rezultaty mogą być jeszcze obfitsze — gdyż kilka razy „odsyla“ się ptaki jeden drugiemu!

Zdobyte wtedy gęsi, mają wola naladowane młodym owsem, jęczmieniem lub grochem do niemożliwości!

Co za rozkosz — podnosić z wody — te tak rzadkie u nas ptaki! — z których niejedna stara sztuka dochodzi od 10 do 12 funtów wagi, — młode zaś od 4—6.

Zanikają jak sen, ciernie życia w chwilach podobnych! — Radość duszę zalewa, Piękno, Harmonja i rozkosz myśliwska, której niema nic równego...

We wrześniu i październiku, coraz rzadziej odwiedzała miejsca rodzinne wylęła na stawie gęsia gromada. Ufływały dwa, trzy tygodnie: od czasu do czasu mili goście dni letnich i wiosennych pojawiali się na bardzo krótko. Stanowić to mogło li tylko strzały wypadkowe — w okresie regularnych już podówczas polowań na kaczki.

Ptaki nauczone gruntownem, jak widać, doświadczeniem — były nadzwyczaj ostrożne — długo na niebotycznej nieraz wysokości krążyły przezornie nad stawem i dopiero należycie zbadawszy okolice — na krótką chwilę zapadały na czystą wodę — zdala od wszelkich szuwarów i zarośli.

Godziny ich przylotów były też bardzo nieokreślone. Najczęściej popołudniowe.

Trzeba było mieć szalone szczęście oraz cierpliwość zaiste Irokeza, żeby nareszcie doczekać się dnia i czasu ich wypadkowego nadlotu.

Lecz za to i triumf zdobycia podobnie mądrego okazu — jednego z potomków zbawców Kapitolu — bywał też nielada.

Na postrzał wówczas były zdumiewająco twarde — należało używać numeru 0 — lub loftek nawet — i to pod pierze zawsze, gdyż pierś podobnie upierzonej, jesiennej gęsi przypomina pancerz rycerza średniowiecza.

O ile mogłem zbadać ku końcowi lata i jesieni, aż do chwili ostatecznego odlotu, miejscowe stada tułając się po większych wodach Ukrainy, Wołynia i Podola — odwiedzały też Dnieprowskie Limany, oraz delty innych rzek wpadających do morza Czarnego. Żerowały zaś, oprócz żyznej Kijowszczyzny — też na bezmiernych przestrzeniach Chersonezu, Ekaterynosławia ba! Zagłębia Donieckiego nawet!

Lecz przywiązanie do miejsca rodzinnego widocznie

było bardzo silne — gdyż oczywiście takie „pławnie“ Dniepru mogły stanowić dla stad daleko pewniejsze schronienie, niż mój trzystumorgowy staw Horyczny.

Pokarmu nie brakło na dawnych „Dzikich polach“ — w kulturze rolnej też będących (w przedbolszewickich warunkach naturalnie) — zresztą, moc chwastów, ziół i roślin przestrzeni stepowych stanowiła obfity żer dla wszelkiego dzikiego ptactwa.

A jednak...

Jakby tęsknotą wiedzione — nawet wówczas, gdy już z dalekich tundr Laponji — ciągnęły na południe, do krain słońca i ciepła, klucze przelotnych ich siostr — miejscowe gęsi do ostatnich chwil powracały jakgdyby rozstać się nie mogły z kolebką dni swoich.

Zaobserwowałem, że wędrownie, północne stada prawie nigdy o dziennej porze na staw się nie opuszczały.

Można je było widzieć, jak czujne wystawiwszy czaty, na zupełnie odkrytych polach, przeważnie obsianych oziminami, czasami nawet na ugorach, nibyto spokojnie żerowały. Miejsca ich pobytu jednak zawsze znajdowały się w znacznym oddaleniu od wszelkich jarów, wąwozów, rowów i jakichkolwiek bądź zakryć — skąd by do nich podejście na strzał umożliwione być mogło.

Późno, dopiero o kompletnym zmroku, zlatywały się na staw (i to nie codziennie i nie na ten sam wodozbiór). W pewne ciemne, lub mgliste od szarug jesiennych, noce — aż powietrze drgało czasami od ich melodyjnego gęgania.

Może być, że wybudowawszy, tak zwany przez francuskich myśliwych „gabion“¹) w miejscu odpowiedniem—

¹ Mała chatynka-budka, na wodzie zbudowana, misternie roślinnością zamaskowana, na skutek czego żadnej nieufności śród ptactwa nie wzbudza — z otworami do strzelania, całym arsenałem rozmaitego kalibru broni — łózkami do odpoczynku — elek-

lub też przy księżycu mając łódkę „kanardjerkę“ („canardière“ — z potężną strzelbą, istną „kolubryną“ — rodzaj armatki na przedniej części łodzi umocowanej), z której się wali do stad na jakie paręset i więcej kroków — celując prosto w czerniejącą na wodzie plamę z przelotnych okazów wodnego ptactwa złożoną — łatwemi być mogły prawdziwe rzezie gęσιο-kacze.

Lecz raz jedyny spróbowawszy we Włoszech na jeziorze Varese w Lombardji, w całej pełni delicji tego rodzaju łowów, po jednej wyprawie mej, przy podobnej torpedowo-myśliwskiej nawigacji, raz na zawsze zrezygnowałem ze wstrętem ze sportu tego rodzaju.

Urządzenie budek czyli kurzeni — dopuszczalne ze względów etyki łowieckiej — jednakże na mniejszych wodach, w stosunku do gęsi daje rezultaty nieszczególne (wyborny środek na kaczki przelotne) — gdyż trzeba zaiste anielskiej cierpliwości, żeby doczekać się nareszcie upragnionych gości na strzał.

— Owszem! miewałem w środku Horycznego tego rodzaju zakrycia, zabiłem wypadkowo późną już jesienią pod ich osłoną nawet kilka sztuk gęsi, strzelałem parę razy do łabędzi, lecz w owej zamierzchłej epoce, tyle się już nastrzelało wspaniałych „Anser, anser“ latem, i z podjazdu i z nalotu i dniem i rankiem i wieczorem, że doprawdy całemi nocami czatować z wielkim znakiem zapytania nawet, co się tyczy możliwości ich ujrzenia — jakoś to nie rozpalalo żyłki nemrodowskiej. Tembardziej, że oczekując na gęsi, oczywiście wszelkie strzelanie do przeciągających kaczek — wykluczone, gdyż wielce ostrożne ptaki, szczególnie o tej porze roku — zboczą nie-

trycznem światłem nawet niekiedy — zastosowywaną szeroko bywa w półroczu zimowem na wodach Francji, szczególnie w tak zwanej zatoce Sommy (baie de Somme).

uchronnie pod wrażeniem wszelkiej kanonady. A wtedy to, z podobnej budki, nocą szczególnie, zdobyć można nie-jeden ciekawy bardzo egzemplarz sławetnego kaczono-nurkowego rodu. I zdobywało się nieraz! i nie mało!

Dowodem była bardzo ciekawa moja ornitologiczna kolekcja w Wierzchowni — wypchanych, prawie że wszystkich gatunków nasz kraj w przelotach odwiedzających. Oczywiście przez bolszewików w swoim czasie sprawnie bardzo została „znacjonalizowana“ — „vulgo“ — zrabowana — jak i wszystko zresztą. Jeszcze w listopadzie, kiedy przelotne gęsie „klucze“ ostatecznie już wyemigrowały, a wody wszelkie zamarzły — widzieć u nas można było kilka pojedynczych, zapóźnionych gęsi miejscowych które zdecydować się nie mogły na ostateczne rozstanie się z szuwarami, co dały im życie i miłości zapaly wśród czarów przyrody ojczystej!

Zapóźnione gęsi błękały się ze smutnem gęganiem w ponurych poświstach wichrów jesiennych — tragicznie zwykle kończąc od strzału mniej więcej celnego. Te nasze lęgowe rzesze nie leciały na Deltę Nilu, lecz na Kaukazie — na wybrzeżach Lenkorani zimowały — czego dowodził ich wcześniejszy od innych gęsi powrót do „splawów“ rodzinnych. W wyjątkowo ciężkie zimy chyba tylko do Azji Mniejszej zalatywały.

Zdaje mi się nawet, że podobnie do bocianów — pary, którym udało się szczęśliwie powrócić, obierały te same miejsca dla gniazd — na tych samych splawach. Zresztą, może być, było to złudzeniem tylko, jako skutek odpowiednich warunków lęgowych — lecz wysepki wędrowne te same zawsze, były corocznie przytułkiem gęsi par zakochanych.

Co się tyczy zachowania się dzikich gęsi, hodowanych

w domu, miałem też sposobność dokonania szeregu obserwacji.

Nieraz odbierano od pastuchów zrabowane z gniazd gęsie jaja, które musiano podkładać następnie pod kwoki dla dalszego wysiadywania.

Włościanie okolicznych wsi też hodowali nieraz wśród swoich domowych dzikie gęsięta.

Pisklęta o kanarkowem puchu — w pierwszych dniach po wykluciu, okazywały ogromną dzikość. Trzeba było je koniecznie trzymać w zamknięciu (tembardziej młode złapane przy matkach na błotach) — lecz wkrótce zastoso- wywały się bardzo dobrze do nowych warunków życia.

Oczywiście, że osobnikom przeznaczonym do dalszych nad nimi badań, wypadło podcinać później lotki, gdyż jak wilka do lasu, tak dziką gęś do stawu ciągnie. Inne już jako „klapacze“ puszczano do rodzinnego stawu.

W kurnikach gęsięta karmiono tak jak swojskie. Lecz, rzecz dziwna i godna uwagi, czy było ich sztuk kilka, czy pojedynczy osobnik tylko — zawsze trzymały się zdala od swoich domowych krewnych. Toż samo zjawisko zauważyłem wśród dzikich gęsi chowanych przez włościan.

Ileż to razy widzieć można było pomiędzy pasącami się domowymi gęsiami chłopskimi, kilka sztuk smuklejszych, na wyższych nogach, stanowiących samodzielną gromadkę i żerujących na uboczu.

Zwykle staraliśmy się podobnie hodowane sztuki odkupywać od właścicieli — prawo których bardzo problematyczne — osnute było już na czysto bolszewickich metodach. Lecz dowieść, że gęsi z mego, a nie innego stawu pochodziły, nie było można nie złapawszy „eksproprijatora“ — „in flagranti“.

Chłopstwo, pomimo chciwości nabycia kilku sztuk „za darmo“ — oprócz tego żywiło wybitną „ansę“ do przed-

stawicieli pięknego gatunku „anserów“ — za szkody, które rzeczywiście czyniły na polach dzikie gęsi, przebywając w podobnych jak w Wierzchowni, ilościach.

Szkody bywały znaczne — szczególnie, kiedy dojrzewać począł młody owies, bowiem kiście z młodem ziarnem stanowiły prawdziwy smakolyk gęsi.

Oprócz tego lęgowe rodziny, zlatujące się nocami, szczególnie na przyległe do stawu pola wydeptywały rzetelnie dość znaczne przestrzenie młodych jęczmieni owsów i grochu.

Można więc wyobrazić sobie łatwo wściekłość poszkodowanych poczciwych „diadków“¹⁾ i nienawiść ich do tych, tak drogich sercu myśliwskiemu ptaków.

To też uwzględniając realne straty faworytów Kazimierza Wielkiego wypadło corocznie wypłacać im dość znaczne odszkodowania.

Dnia nie było bez skarg i wyjazdów na włościańskie działki przedstawiciela zarządu dóbr celem skonstatowania poczynionych szkód.

Lecz czegoż zamilowany hodowca nie uczyni dla ochrony tak rzadkich, wspaniałych obiektów, gwoli swoich i swych gości rozkoszy myśliwskich i swej uciechy.

W przeciwieństwie zaś do wpół już oswojonych pojedyncze młode sztuki bardzo lubiły towarzystwo swych pasztetowych i półgąskowych współbraci.

Odbita od stada dzika gąska — zawsze prawie przyłączała się do pasących się swojskich.

Oryginalny zaiste bywał widok, kiedy to nawoływania pastuszka²⁾ „pane! pane! dyka huska je pomiż naszymi“ — podchodziło się do stada domowych — i raptem z pomiędzy ich grona porywała się najprawdziwsza dzika, zwykle

¹⁾ W miejscowem narzeczu: chłopów.

²⁾ Panie! panie! dzika gąska znajduje się pomiędzy naszymi,

na doskonałą metę, rulując po celnym strzale jak kuro-
patwa wystawiona przez wyźła.

Toż samo miało miejsce z zapóźnionymi jesiennymi
egzemplarzami. Zoczywszy pasące się stado zwykłych do-
mowych gęsi na ugorze, rżysku lub ozimem polu należało
podejść i skonstatować, czy też pomiędzy nimi niema
i dzikich.

Nie mogłem, niestety, zaobserwować krzyżowania się
ich ze swojskimi, gdyż jakoś tak zawsze fatalnie się skła-
dało, że chowane ani razu do wiosny nie przetrwały i ucie-
kały lub ginęły z tej albo innej przyczyny.

Wśród hodowanych przez włościan nie widziałem też
nigdy hybrydów. Przypuszczają jednak, że albo zatracaly
w takim stopniu pierwotne swe cechy, że nie sposób było
odróżnić ich, lub może mając na względzie wrodzony
wstręt i odosobnianie się wolnych ptaków od gnuśnieją-
cych w niewoli blizkich krewniaków, rzeczywiście krzy-
żowanie nie miało miejsca. Lecz skądinąd dziwnem by
było, że jednak kaczka krzyżówka (*Anas boschas*) — tak
chętnie wydaje mieszańców i łączy się z domową — two-
rząc pokolenia tyle cenionych w wiosennych polowaniach
„krekuch“. Dlaczegożby więc to samo zjawisko nie mogło
nastąpić i w stosunku do dzikich gęsi?

W 1914 roku postanowiłem przeprowadzić gruntowne
badania drogą eksperymentalną tej kwestji specjalnie
przeznaczwszy na to kilka sztuk hodowanych, które aż do
następnej wiosny miały w zamknięciu doczekać się pory
godowej i amorów z wyrafinowanemi przedstawicielkami,
cywilizowanego odłamu swego rodu.

Miałem już nie jeden okaz „ad hoc“ oczekujący na owe
doświadczenie, lecz wybuch wojny europejskiej — i moje
zmobilizowanie — udaremniły możliwość tych ciekawych
badań.

Pod względem gastronomicznym stare nawet osobniki jesienią będąc znakomicie utuczone — są wcale smacznymi kaskami — oczywiście po należytem przyrządzeniu. Młode zaś letnie, stanowią prawdziwy przysmak, który spreparowany odpowiednio, nawet przez domowego autoramentu „Vatel’a“¹⁾ lub kucharkę i obłany „grzeczną“ butelczyną czerwonego, bordoskiego wina — istną rozkoszą być może dla podniebienia zblazowanego nawet smakosza. Wiosenne gęsi, co prawda, których kilka mam na sumieniu (tylko nie z moich terenów) — bywają na tyle twarde i lykowate, że prawie nie jadalne. Chyba może jaki mistrz sztuki kucharskiej niezrównany, prawdziwie z Bożej łaski, stojący względem swych talentów na poziomie słynnego aforyzmu „on devient cuisinier! — mais on nait rôtisseur“²⁾ — potrafi sobie dać radę z podobnym mięsnym kaloszem.

Co zaś się tyczy piękna i wspaniałego tła tych łowów, darzących rozkoszą niezapomnianych wspomnień w czarnych życia chwilach — to szczęśliwy się czuję, dzięki Bogu Najwyższemu, że miałem te przeżycia radosne w mej przeszłości łowieckiej, które, jak to pięknie o nich mówi poeta-myśliwy Włodz. Korsak odnośnie do głuszca, „są tak ściśle związane z duszą Wszechstworza, napelniając świetlistą pogodą Ducha i ucząc znajdować szczęście w tem czego mu odjąć już nikt, nigdy nie potrafi“. Pewien jestem, że każdy zdolny odczuć cudne chwile podobne, będzie niezawodnie tego samego zdania! Zaiste! — życie straszne być nie może — pomimo całej swej nieraz ohydy, dopóki jest na co i można polować. Nieprawdaż, czytelnicy najmilszy?

¹⁾ Słynny kuchmistrz francusk¹.

²⁾ Można się wyrobić na kucharza! — lecz trzeba się urodzić dla umiejętnego pieczenia na różnie.

NA KACZKI W PANTOFLACH

Podczas moich tegorocznych peregrynacyj wśród tyle drogich mi moczarów i błot starego Polesia, miałem oryginalny epizod. Szczegółowy opis mych przeżyć nastąpi później — dziś li tylko — drobny fragment takowych zafiksowuję piórem gęsiem oraz „inkaustem“, jak zwykli mawiać przodkowie.

Dotychczas jeszcze nie mogę sobie wyjaśnić tajników psiej duszy pocziwego „Paffa“ — bardzo nawet skądinąd dobrego, niemieckiego legawca, z którego współpracownictwa korzystałem w najgościnniejszym domu p. Podhorskich (Chinocze, pow. Sarny), gdzie kilkanaście cudnych dni spędziłem, jak w raju.

Niesamowitość zaś „pantoflowa“ podczas owej eskapady, mojej skromnej osoby, miała za źródło swe bardzo zwykłą, banalną przyczynę!... Mianowicie „natarcie“ nogi łykowem „łapciem“ podczas poprzednich łowów — na skutek czego „zastrajkować“ musiałem aż całych trzy dni.

Dzięki chirurgicznym zabiegom najmilszej pani domu dolegliwość została gruntownie zlikwidowaną. Miałem nawet już następnego dnia wyruszyć do oddalonych „brzeźniaków“ — na poważniejszą wyprawę.

...Wtem! — pod wieczór zjawiają się jako „duchy leśne“ — jak ich nazywam „pniaki poleszuki“ — sławetny Wakuła Dziesiatskij i Stepan Nestorczyk — gajowi i „ochotnicy“!

— „Panoczku!—cilyj wywodok kaczok okolo mistka!— idemo zaraz, — bo za nocz wyberutsia na kanal! — taj propadut“¹⁾!

Niema co robić!... „Volens-nolens“ — flinty na plecy i z gospodarzem, jego pasierbem oraz uroczą panną Heleną — hajda! — nie na Soplicę! — lecz na kaczki!... W pantoflach!? Dobrze, że bagno owo znajduje się o kilkaset kroków od rezydencji. Pierwszy raz w życiu poluję w podobnym stroju!... Jesteśmy na miejscu!... Poleszuki zanurzają się niemal po szyję w lepkie, błotniste otchłanie. Stary Wakula przy tej okazji bardzo sprytnie ze swoich od „parady“ barchanowych „ineksprimabli“ stwarza rodzaj krawata. (Widocznie kmiotek ów nie należy do obozu pana Witosła — nie podzielając „abominacji“ do tego szczegółu męskiej toalety).

Uzbrojenie miejscowych naganiaczy stanowią długie sosnowe drągi, służące do wypłaszania ptactwa z przytulnych trzcin i „oczeretów“.

Zasiadam ze swym myśliwskim stołkiem na mostku. Moi towarzysze zajmują prawy i lewy brzeg moczaru. Rozpoczyna się naganka. Bekasy rwą się co chwila z pod jej nóg. Niektóre z nich ciągną nad samym mostkiem. Bardzo ładnym strzałem strącam jednego z nich z „poważnej“ wysokości, Podhorski zabija krzyżówkę — młody pan Jerzy aż „dwie“ cyranki. Gracko! — i to wszystko w parę minut czasu. Bekasy tymczasem sypią się na wszystkie strony, jak z rogu obfitości!... Tylko słychać dookoła „kszl! kszl! kszl!“! Rozkosz prawdziwa! Krótko mówiąc — naganka na bekasy! — Nowa „kreacja“ łowiecka.

¹⁾ Panie! całe gniazdo kaczek koło mostka — chodźmy natychmiast, gdyż przez noc mogą powędrować do kanału — a wtedy przepadną dla nas!

Ponieważ trzęsawisko leży na „wielkim“ trakcie do Dąbrowicy, więc na mostku formuje się tłum ostrożnych, lecz bardzo ciekawych „dziadków“¹⁾, bab i dzieciaków. Za sto złotych nie polizby w take bagno — potopiatisia chyba liudy! — rzuca swą uwagę stateczny stary „pniak-poleszuk“²⁾.

— „Zwistnoje diło! — ochota! — hirsze newoli! — Hliady Wasyl! opiat! ptaszka upała (bekas) — i do takich worobiew pany pro też strelajut“ — łowko, — jakę małe! — naboju ne żalijat — i taki traflajut“³⁾.

— „Panel ostrożno! czereda ide!“⁴⁾ — woła pastuszek-obdartus — i całe stado typowej, poleskiej nierogacizny — szarżuje wprost na mnie — zbijając się w zwartą, kotłującą masę w przejściu swem przez mostek!

...Kolbą oddalam od siebie napierające, sympatyczne świnki... Błogosławiona cisza naokół! Ścielące się opary z dymów wioskowych. Bocian melancholijnie wylawiający żaby po drugiej stronie bagienka. Powietrze, to „nasze“ jedyne „poleskie“ powietrze rozgrzane słońcem dnia upalnego... wonią błotnych korzeni przepojone, aż do głębi płuc przenikające rozkosznie! Nastrój ciszy i ukojenia w spracowanej tak bardzo życiem biednej duszy...

„Paff“ szukaj! — cherche — aport!

Dobrze lotnych kaczek w „jeziorku“ już niema — odleciały na większe wody — lecz poczynających się pod-

1) Po miejscowemu włościanin.

2) Za sto złotych, nie polazł bym w podobne błota, potopié się mogą!

3) Wiadoma rzecz — amatorstwo — gorsze od niewoli — patrz, wtył, znowu ptaszek upadł! — i do podobnych „wróbli“ — panowie strzelają — gracko! takie to małe — ładunków nie żałują — a trafiają.

4) Ostrożnie! — trzoda idzie!

rywać „klapaczy“ jeszcze znaczna ilość w trawach i tajemniczych „korczkach!“

Pocziwy piesek pracuje wyśmienicie! — dobrze wystawia — aportuje — lecz ma wielki, ogromny feler!

Najwidoczniej został przez jakiegoś przygodnego myśliwca gruntownie „zdegustowany“ — do aktu „oddawania zwierzyny“.

Napewno, przyzwyczajony do wręczania takowej li tylko swemu panu, pod pręgierzem przemocy jedynie odstępował trofeum „intruzowi“ — według jego psiej, zresztą zupełnie słusznej etyki łowieckiej, to też po każdym podobnym „teterunku“ lub dubelcie, towarzyszący mi gajowy staczał formalne walki, zanim Paff „wypuścił“ ofiarę, ze swego kurczowo ściśniętego uzębienia. Zaczynało się „rzetelne“ targanie za uszy, któremu z trudnością nieraz kres dawałem... Próbowałem najrozmaitszych sposobów! — niestety — groch o ścianę!... Jeszcze jeden dobitny dowód, że żony, psa, konia, strzelby nigdy! nikomu „niepewnemu“ pożyczać nie należy! „Spaskudzi ci je tak! — że aż „hadko“ patrzeć będzie jak mawiał ś. p. pan Longinus Podbipięta. Owa właściwość, dobrego zresztą wyżła — zatruwała nieco urok polowania... Lecz cóż robić? „à la guerre, comme à la guerre“ — a szczególnie gdy wojną jest polowanie! — Czegóż więcej trzeba dla całkowitej, „grzesznej delicji!“ śmiertelnika?... Klapacze snują się, jak węże w trawach i oczeretach! „Stefan! — hliady! na prawo pod nogi! — pizła cholera! — ne puszczaj! — perenymaj!“ „Paff! szukaj! — podrywa się ciężko — młoda krzyżówka!... strzał p. Podhorskiego — pada! — chwila bobrowania psa i widzimy go płynącego ku nam.¹⁾

¹⁾ Stefanie patrz! — na prawo pod nogami! — poszła cholera! — nie puszczaj! przecinaj jej drogę!

„Dobrze, dobrze piesku — aporte — aporte — daj tu!“... Gdzieżtam! ani rusz! „No, wiecie co panowie — niech nie sie kaczkę — póki sam jej nie położy. Zobaczymy, co z tego wyniknie“ — rzuca myśl gospodarz domu... Wybornie!... moment i... widzimy Paffa jak po strunie walącego galopem z kaczką w pysku prościuteńko ku dworowi... „Bacz — ce rozumnyj sobaka! — sam do chaty zwerynu nese! ne but uczonyj!“ — cmokają z zachwytem poleszuki... Na drodze przy stodole maszyna młóci żyto. Widzimy, jak Paff zauważywszy nieoczekiwaną przeszkodę w postaci ekonomia, parobków, dziewcząt, hurmem przecinających mu drogę z krzykami! „Trymaj! — odbyraj kaczkę!“ — czworonożny, zmyślny mój przyjaciel łowiecki zatrzymuje się. Minuta jakby skupionej refleksji, raptem, energiczne kopanie jamy i staranne ułożenie w niej „klapacza“. Tableau! Obok „sobaki“ formuje się małe piekiełko! — harmider! przekleństwa! dziwowania się! — zachwyty młodych lato-rośli — na alarm ze dworu wybiegłych! „tu okazja! — ktoby podumał“ — rozlega się w tłumie.

Spełniwszy swą czynność „oszczędnościowo-kapitalistyczną“ — zacny nasz „kompan“ podbiega do nas. Z wywalonym ozorem, ze skrą szyderczego nieco triumfu w poczciwych ślepiach zdaje się patrzeć na nas przebiegła psina. „A co, nieprawdaż? — oszwabiłam was wszystkich? — Ponieważ odbierają zawsze odemnie rezultaty mej pracy, — a nie lubię zabiegów „pour le roi de Prusse“ — (choć Niemcem jestem!) — więc na czarną godzinę postanowiłem „chowac“ padłą zwierzynę! — Czem gorszy jestem od każdego małego rentjera francuskiego? — albowiem oszczędność to grunt wszelkiej ekonomiki! Zdałbym się nawet na Dyrektora Banku Państwa, ba! ministra Skarbu nawet i to nie w jednym kraju! — odrazu by dolar w dół poleciał przy takich kaczko-złotyach ukrytych zapa-

sach!“... Tak zapewne rozumował dobroduszny nasz pies, podczas gdy ja, co chwila gubiąc swe pantofle w głębokich piaskach traktu oraz moi najmilszy towarzysze wracaliśmy do domu, w którym oczekiwała na nas urocza gospodyni oraz delicje przewybornych pierogów ze śmietaną i „skwarkami“, jakim podobnych nigdzie nie jadalem. Cicha pogawędka i sen głęboki do zorzy nowej...

MOJE PIERWSZE GŁUSZCE

(Tragedja zarania wspomnień łowieckich).

Dawno to już było!... Nie mało wody i lez ludzkich upłynęło od tego czasu!... Przeżyłem od tej zamierchłej epoki nie jedno podniosłe wrażenie podczas poważnych, czarów pełnych „podchodach“ głuszca na tokach wiosennych nie w jednym zakątku kraju naszego, jak długi i szeroki, lecz nie zapomnę nigdy oszałamiającego wrażenia, kiedy to dwa nieznanne mi dotąd ogromne ptaki — padły ofiarą mej młodocianej namiętności łowieckiej!... Dlaczegoż to, pierwsze chwile ekstazy myśliwskiej tak obrazowo pozostają na zawsze w pamięci naszej!?... Dlaczego... pierwszy rozkwit uczucia w ukochanych oczach kobiety zrodzony!... nie da się już przenigdy porównać wszechmocą swego czaru — z późniejszymi — chociażby najgorętszymi promieniami — miłosnej potęgi!... Chilosa?... Lecz słusznie mówi poeta: „i nie zawsze Wiosna bywa... i nie zawsze słowik śpiewa“... Na pociechę Braci Myśliwskiej zaznaczyć jednak muszę, że pośród wszelkich namiętności ludzkich — bodaj li tylko „pasja“ łowiecka nie „blakuje“ z biegiem czasu, nie zatacza mocy swych upojen!...

— Zaiste, porównać ją można chyba do wielkiego uczucia — „Amorów Niezlomnych“, które opanowują duszę życiem ciężko spracowaną — na smutnym schyłku dni naszych... w pewnych, wyjątkowych wypadkach!...

Takiemi były zachwyty oczarowań Petrarki do swej Laury! — Honorjusza Balzac'a stryja mego, względem Pani Hańskiej!... Sylwetka doktora Pascal'a z powieści Zola — jest prototypem podobnych nastrojów!... Natomiast prawie zawsze w duszy myśliwskiej — ten święty Znicz przywiązania do łowiectwa tak ściśle związany z Matką Przyrodą — nie zmienia się i nie gaśnie nigdy!... Trudne to do zbadania zagadnienie — potwierdzić może dobitnie paradoks, że jeśliby łowiectwo nie istniało — to trzebaby je wymyślić i... stworzyć... Lecz, nawet i w tej dziedzinie także, pomimo całej swej „nieśmiertelności“, z mgły złotej przeszłości wyłonione fragmenty — posiadać będą zawsze — pewną, że tak powiem „potencjalną dziewiczość do słodkiego uroku, której w szarych, martwych godzinach, później sercem i myślą z wdzięcznością młodocianego kochanka — z utęsknieniem się powraca!...

Jeden z tych epizodów obecnie nawija się, pod me słabe pióro!...

* * *

Miałem lat piętnaście, byłem uczniem jednej ze szkół wojskowych, i już od lat kilku poczytywałem siebie za skończonego Nemroda! Albowiem, każdorocznie podczas wakacyj, w towarzystwie mego pierwszego mentora łowieckiego, nieodżałowanego ś. p. Bronisława Dymnicza, „per modum“ u nas w majątku, pełniącego funkcję leśniczego, pszczelarza, rybaka, a przede wszystkim strzelca nadwornego i szczerego przyjaciela — całej naszej rodziny, wtajemniczałem się we wszystkie arkana sztuki ś-go Huberta!

Padło już z mej ręki kilkanaście kaczek, dzikich gęsi, skromnych kuropatw, nie jedną też „wytrąciłem“ ze stada „przepióreczek z prosa“ — nieraz „boso“ nawet. Nie brakowało też i przedstawicieli sławetnego rodu „scolopak-

sów“¹⁾), szaraków, nie jeden lis przebiegły, ba! nawet rzetelnie „naszpikowany“ łofkami wilczek! Aktywa więc były już poważne. O nieprzeliczonych ilościach szpaków, drozdów, trznadli, wron i srok nie wspominam, jako też przez skromność o astronomicznych cyfrach „wypuszczonych“ ładunków! Moja doskonale bijąca staroświecka „Bäckerówka“ — „grzmociła“ wyśmienicie, nie jej wina, że „sztuki“ nie zawsze „padały“!... Aż „hadko“ było patrzeć na takie strzelanie! — niezawodnie powiedziałby ś. p. pan Longinus Podbięta i miałyby zupełną rację!

Otóż takiego kalibru poważny już myśliwiec zaproszony został przez starego druha ś. p. rodziców gen. Julj. Lubowidzkiego najzacniejszego w świecie człowieka i Polaka-patrjotę — w całym słowa tego znaczeniu — do letniej jego siedziby wśród jezior i skał Finlandji. Było to letnisko dość odległe od Petersburga. Pamiętam, jak dzisiaj, głębokie wrażenie z powodu kultury tego kraju, we wzorowym porządku utrzymanych dróg, rzetelności jego mieszkańców, osiadłych w schludnych z brewion sosnowych — rzekłbyś zabawki norymberskie — domkach, t. zw. „myzach“. Osada generalska leżała nad brzegiem czystego, głębokiego jeziora. Zostałem kordjalnie przyjęty przez generałostwo, rozlokowałem się w gościnnym „homie“. Pierwsze moje pytanie dotyczyło, oczywiście, możliwości dostania jakiegokolwiek bądź broni myśliwskiej. Wierna „bäckerówka“ niestety, pozostała w Wierzchowni! — nie jestem myśliwym, mój chłopcze — odpowiedział generał — lecz podobno mój ordynans posiada przerobioną z „berdanki“²⁾ śrutówkę i nawet sporo ładunków do niej, gdyż od czasu do czasu chodzi na polowanie i przynosi kaczki,

1) Ornitologiczna nazwa rodu „bekasiego“.

2) Dawny karabin wojsk rosyjskich.

możesz więc umówić się z nim i jutro o świcie hajda! — na łowy!... Uprzedzam cię tylko, że według praw fińskich — nic, prócz kaczek i ptactwa błotnego strzelać przed pierwszym września nie wolno. Jesteśmy w sierpniu, więc wara od zajęcy, pardw i cietrzewi.

Skakałem z radości z powodu tych miłych informacji. Krótkie, przyjacielskie „colloquium“ z typowym „dzięszczykiem“ dawnego autoramentu. Gorączkowo, źle przespianych kilka godzin i w szarugach przedświt, mając po funcie chleba i kawałku słoniny w kieszeniach, już byliśmy z zycznym giermkim na drodze do szeroko otwartych drzwi Sezamu rozkoszy łowieckich! Mieliśmy jeden tylko stary, zdezelowany „samopał“. Lecz powiadają: „gdy Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści“!... Tak też się i okazało... i to najfatalniej w świecie!...

* * *

Bezpośrednio za oparkaniem willi rozpoczął się gęsty, podszyty las świerkowo-sosnowy z całym szeregiem strumyków, małych mokradel, zarosłych łożą, pełnych „koczek“ o bufiastej trawie. Nie spodziewając się żadnej zwierzyny na tak bliskich od domu terenach, szliśmy bezpiecznie, spokojnie, rozmawiając ze Stepanem. Opowiadania myśliwskie ordynansa w gorący „trans“ oczekiwania rzuciły moją indywidualność. Cały drżący od wzruszenia, z bijącym sercem, ostrożnie podchodziłem do każdego bagienka. Raptem!... łomot piekielny i jakaś ciemna masa, nieznany ptak ogromnej rozpiętości skrzydeł, o kilka kroków podrywa się przedemną. Atawizm epok jaskiniowych przemówił we mnie... Nie zdając sobie sprawy ze swego uczynku — rzucam strzał. Stara „berdanka“ niemiłosiernie uderzając w moją prawą skroń, spełnia rzetelnie swój

obowiązek. Tajemniczy, czarny „pterodaktyl“¹⁾ wali się w ogień we wrzosi. Błyskawicznie wciskam nowy ładunek w lufę karabinu. Zaledwie sekund kilka i druga sztuka, tym razem brunatno- żółta, znowu „oszalamia“ całe me jestestwo. „Barin, nie strzelajcie! „głuchari“!... Ale gdzież tam, nie słyszę nic — groch o ścianę! bac! — i drugie trofeum — gotów... leży u nóg!... A tu, jak nie poczną się odzywać „łopoty“ trzeciego, czwartego. Nie widać wszystkich w gęstwinie, lecz mimo to rzucam na odgłos podrywu jeszcze dwa moje ładunki. Ucicha nareszcie wszystko. Potem obłany, trzęsącemi się rękami podejmuje starą „głuszycę“ i wypióra koguta!... Piękna historia! Nie rozumiem jeszcze całego tragizmu sytuacji, fala triumfu zalewa mnie całkowicie!... To nie szpaki, przepiórki lub kaczki nawet! Nie wiem nawet, jak się podobne „monstra“ nazywają!...

— Oj, barin! bieda nam... co generał powiedzą?! Tak nakazywali nie strzelać! Trzeba ptaki pochować, nocą do domu odniesiemy, żeby jaki policjant nie zauważył, bo sztraf sto fińskich marek pewny od każdej sztuki... Głupi kraj!... U nas w Kostromskiej gubernji strzelać możesz sobie co, kiedy i jak zechcesz... nikt słowa nie powie! las — Boży, zwierzyna — Boża!...

Ze spuszczonego na kwintę nosem, nie miałem już żadnego animuszu po podobnej konfuzji do dalszego polowania. Wróciliśmy jak niepyszni do rezydencji czcigodnego generała. Można sobie wyobrazić, jaką dostałem burę pierwszej klasy, na którą tak bardzo zasłużyłem. Zagrożono mi nawet pozbawieniem chodzenia na kaczki.

W kilka dni później pocziwy generał udobruchał swój gniew, i, folgując mej pasji łowieckiej, zezwolił polować,

¹⁾ Latający płaz przedpotopowy.

ale na „legalne“ tylko rozkłady. Lecz gdy podano na obiad smakowite w śmietanie, słoninką szpikowane, należycie skruszale „urogallusy“¹⁾, wyśmienitym krymskim, czerwonym do tego oblane, nie mogłem się ich dotknąć. Sumienie zagryzało, no i wstyd niemal! Nauka na życie całe pozostała!

Dawno to już było!... nie mało wody i łez ludzkich upłynęło od tego czasu!...

¹⁾ Ornitologiczna nazwa głuszca.

WIOSENNE TOKI GŁUSZCZÓW

I.

Już dzięki Bogu wstąpiła w pełne swe prawa kwiecista, czarodziejska roku pora!... Już królewski głuszc, w zmierzchu wieczorów, śpiewnym swym lotem ciągnie, do aeroplanu podobny, na swe nocne „zapędy“!... W gwarze myśliwskiej tak nazywa się przylot tych wspaniałych ptaków, na zgóry obrany teren — zazwyczaj — „ostrówek“ wśród błot poleskich rozległych — przed laty jeszcze, niewiadomo z jakich przyczyn ufaworyzowany rodem „urogallus’ów“ (zoologiczna nazwa głuszców) — jako teren ich miłosnych turniejów!... Dlaczego mianowicie ten zakątek, a nie inny, identycznie do niego podobny... „chilosa“?... Ongiś, w czasach zamierzchłych, protoplastom podobiała się odpowiednia miejscowość!... zaczęli zlatywać się na gody weselne czarni rycerze i ich skromne, szare bohdarki i, dopóki nie nastąpi gruntowna katastrofa, to jest rzetelne rozpedzenie tokowiska przez niewstrzeźliwych łowców — dopóty nie opuszczą miłego sercu ich rewiru!... Nic to, że po każdym wiosny okresie — brak zagadkowy zauważyć się daje tego lub owego rozspiewanego „trubadura“!... Nowe pokolenie śpiewaków, jak nazywają ich tu tejsi gajowi — hoduje się i podrasta „na zmianę“!... Matka przyroda żywo luki zapelni, zaleczy rany przeszłości — opiekuje się szeregiem nowych pieśniarzy-bojowników!... Jeszcze na parę godzin przed słońca zachodem, usadawia

się w zacisznym kąciку myśliwy — czyhając na „przy-
lot“ głuszców!... Szarzeń, coraz więcej, poczynają!... Rap-
tem!... słychać „prucie“ powietrza puszystym lotem po-
tężnych skrzydeł!... chwila!... i z głośnym „łomotem“ „za-
pada“ (usadawia się) na drzewo stary, czarny „tokowik“!
Nieco dalej „zapada“ drugi... kilka innych okazji też
nadlatuje, ciągnąc po nad mrokami zasypiającej puszczy!...
Rozpoczyna się wybór „najwygodniejszej“ gałęzi... rozlega
się charakterystyczne „skrzekotanie“ — później nieco „kla-
panie“... pieśń jedną, drugą nieraz się usłyszy... Pomalu
zamilka wszystko!... Myśliwy należycie „uświadomiony“
o rejonie pobytu głuszców, jak wąż, z chytrą Irokeza
„wyslizguje się“, „wykrada“ z pod drzew zajętych przez
ptaki!... „Osadziwszy“ kilka, z sercem przepelnionem ra-
dością powraca przez błota grzązkie, „kładki“ zdradziec-
kie! — aż tam, gdzie przy ognisku oczekują nań leśnicy!...

„Zdrzemnąć się“ też należy godzin parę. Przebudze-
nie nastąpi, kiedy zórawie drugi sygnał swój przed brza-
skiem melodyjnie odśpiewają!... Wtedy, wypadnie na
nowo wrócić do tych samych miejsc, dla akordu ostatecz-
nego — odbywającej się... tradycji łowieckiej — radosnego
przeżycia dla duszy myśliwca!

Wstęp symfonji zakończony!... Ogromne ptaki, z gło-
wami pod skrzydłem... usnęły twardo!... nie świadome
o *ostatniej* dla niektórych, być może, Nocy Wiosennej!...
Pierwszy akt rozegrany!...

II.

„Panoczku! — panoczku, zórawli hołos dajut! pora!...
wstawajcie! (panoczku, zórawie już się odzywają...) Pora!...
Tradycyjne te słowa... budzą Myśliwego!... Z płucami
aż pławiącymi się w ozonie rzeźwiącym igliwa drzew so-

snowych — co za radosne, błogie przebudzenie się, tchnieniem lasów przepojone!...

Rycerzy w pochód idących — melodja najśłodsza duszę lowca „srodze raduje“ jak mawiali przodkowie! Naprędcę wypita szklanka gorącej herbaty. Opierając się na długich kijach poleskich „ad hoc“ dla podobnych „peregrynacyj“ przysposobionych, hajda! w drogę. Wśród ciemni okrutnych, pod welonem rozgwieżdżonym rozkosznej nocy wiosennej!... Przez brody!... przez „zawały“, „nakatniki“ i rojsty w pogoni nie za zaczarowaną królewną legend zamaryłych — nie za snem złotym młodości — — lecz za głuszcem tylko... to daleko lepiej i zdrowiej, chociaż dalipan! nieraz też djabelnie trudnem bywa. Tam, gdzie się go wczoraj na drzewie „osadziło“, gdzie „on“ drzemie słodko — nieświadom niebezpieczeństwa!

Już się jest o kilkaset kroków od tego miejsca tylko! Trzeba uzbroić się w cierpliwość i „wyczekiwać“ pierwszego ich odezwania się, czyli „klapania“... Pogrąża się więc adept św. Huberta wraz z towarzyszącym mu leśnikiem w absolutny spokój!... Przykucnął na ziemi lub na kłodzie zwalonej, na pieńku przygodnym!... Cisza!... z doskonałych najdoskonalsza, pieściwie otula obie te istoty ludzkie — jedynem pragnieniem tylko, obecnie żyjące!... Wtem, ptaszyna jakaś, żadnemu ornitologowi nie znana — gdzieś w krzakach zakwilila!...

Rozlega się słonki tajemniczej chrajanie w szarzyznach przedświtu!... Żadnej uwagi się jednak nie zwraca na te tak miłe w innem otoczeniu i porze dźwięki!... Para kaczek-krzyżówek — z głośnem, lubieżnem kwakaniem kaczora, tuż nad głową przeciągnęła!... „Przecierać się“ coraz bardziej poczyna!... Jak mistycyzmu pełne „pilastry“ gotyku katedry średniowiecza „profilują się“ pnie sosen, naj-

blizszych w poświęceniu dnia... Spazmatyczny, dławiony szept głosu leśnika „wykrztusza się“ za plecami.

„Panoczku, czujecie? — Klapajel!...“ (Panoczku, czy słyszycie?... klapie). Nic jeszcze właściwie myśliwy nie słyszy... lecz ponieważ przygodny Wasyl czy Hryhor twierdzi, że „klapie“... to *niezawodnie tak być powinno!*... „Piejel“ (śpiewa)... „Wpered!“ (naprzód!)... I „pod pieśń“, dwie szare postacie, wśród szarego tła mchów i roślinności — dają dwa kroki, raczej dwa susy potężne!... Tak jest! — teraz usłyszał „pieśń“ też i myśliwy... Rozkazującym gestem przykuwa gajowego do miejsca i zaczyna „podchód“ regularny, w takt pieśni — inaczej „podskakiwanie głuszcza“... Żadna już siła w świecie go nie zatrzyma — kiedy to „grę“ na *pewno* określił... Kulminacyjny moment dramatu się zbliża!... rozwiązanie tajemnicy łowieckiej — pod sklepieniem jeszcze uspionej puszczy!...

III.

Nie łatwo usłyszeć pieśń głuszcza! Słyszycie ją, jakby przyćmioną walkę budzącego się zarania, z czarnotą zamierającej nocy.

Ma ona w sobie coś z dziedziny mar i gorączkowych złudzeń głęboko uspionego człowieka!... Coś z chaosu pierwszych dni Kosmosu, kiedy to pod Twórcy Wolą — krystalizowało się Wszechstworze na poszczególne swe elementa!... Przyćmione, głuche „staccato“ kłapanie. Później rozlega się właściwa pieśń, czyli „szlifowanie“!... Ma się wrażenie, że już „gdzieś“, „kiedyś“ słyszało się ją w innych zaświatach — kaskadę tych, do żadnych *innych* niepodobnych dźwięków!... Lecz, jeśli trudnym jest zadanie to dla słuchu — nie łatwiejsze jest ono też dla wzroku!... Trzeba go zobaczyć!... Ileż to razy „obskakuje“ myśliwy drzewo, a głuszcza jednak, żadną miarą, zobaczyć nie może.

Złudne fale śpiewu mają właściwość „trudności określenia“ punktu, skąd rozperlają się naokół... Nieraz strzela się w kupy igliwia, jako do ptaka sylwetki, a tymczasem z innej zupełnie sosny z łopotem zrywa się „on“ i momentalnie „zanika, spływając“ we mgły przedświtów!... Umie tak zręcznie przytem „lawirować“, że rzadko którego uda się z „podrywu“ zdobyć rzutowym strzałem!... Nareszcie!... o radości!... widzi się go, już napewno!...

Długi ciała kontur, zakończony wyciągniętą, jak u żmiji szyją, z pękiem piór, rzekłbyś brodą pod dziobem — na wpół rozwany wachlarz!... Drga cały!... w upojeniu miłosnego szału... Widać dobitnie — biel czystą podskrzydli... Wspaniały zaiste natenczas obraz „głuszcza na grze“! Taka moc estetycznego piękna go otacza natenczas, że doprawdy! — aż boli serce na samą myśl „koniecznego epilogu“ przerwania na wieki niezrównanej ekstazy — brutalnego strzału jako krwawe rozwiązanie!... Napoiwszy się do syta rozkoszą „wzrokową“, czarem obrazu jedyngo... bierze się kilka razy „na cel“ ciemną, ogromną masę... Na koniec następuje tragiczny odruch „decyzji“ i pod „pieśń głuchą“ naciska się na cyngiel!... Stokrotnem echem, śród rannych oparów puszczy rozlega się huk wystrzału... chwila!... i łamiąc choinę sosny... po krótkim momencie, jakby, „wahania się na gałęzi“... zaczyna spadać! — wali się ciężka masa na mchy i wrzosa miękkie a głębokie... na tę ziemię rodzinną, która mu tyle napięcia sił żywotnych dawała. Rozlega się krótkie, spazmatyczne „bicie skrzydeł“ w wagoni ostatecznej!...

Skra triumfu!... dzika radość pierwotna duszę myśliwego zalewa!... A puszcza ściele się na okrąg milcząca — jakby zgrozą tego gwałtu przejęta!...

JAK SPOTKAŁEM SIĘ Z DJABŁEM NA POLOWANIU

Pamiętam, jak dziś, przed trzydziestu laty mój pierwszy wyjazd na gluszcę. Zostałem podówczas najuprzejmiej zaproszony do dóbr Petrykowskich pana Dominika Dowgiałły „srodze przyjaznego“ i najmiłszego gospodarza, laskawym względem którego zawdzięczam tyle rzetelnych rozkoszy i radości łowieckich w przeciągu niezapomnianych lat szeregu!

W samym sercu Mozyrskiego powiatu Mińszczyzny leżały owe tak drogie memu sercu tereny Kurytycz, Jamicy, Pohibelki, na których to z mej ręki padło multum „błotnych arystokratów“ — dubeltów w „czarnych frakach“ teteruków — murzynów, kaczek, bekasów, no i nie jeden też pieśniarz wiosny — gluszec królewski!

Młody, poczynający podówczas myśliwy — tyle czytałem już i słyszałem od wytrawniejszych „matadorów“ i kolegów konfraternij o tych cudnych łowach — że oczywiście łatwo wyobrazić sobie mój stan podniecenia i nastroje psychiki jestestwa całego w oczekiwaniu zupełnie nowych i nieznanych przeżyć myśliwskich!

Wyjechawszy z mej ukochanej Wierzchowni, w Kijowie wsiadłem na statek Żeglugi Dnieprowskiej, noszący imię pieśniarza poezji rosyjskiej Lermontowa.

Zadecydowałem, zdaje mi się, bardzo słusznie, pierwszy raz jadąc wgląd Polesia, zamiast dusznego wagonu

mieć niejako przedsmak ogólnego kolorytu wiosennych widoków Prypeci.

Zresztą, podróż wygodnym parowcem, notabene, z wysmienitym bufetem, któremu sterletów, jesiotrów i innych smakolyków nigdy nie brakło! — po oceanie wód błękitu na dziesiątki kilometrów rozlanych, sama przez się stanowiła prawdziwe źródło piękna i chwil czarownych — dla „otrzaskanego“ nawet osobnika, a cóż dopiero dla nowicjusza! — jakim byłem podówczas! Towarzyszył mi, jak zawsze w wyprawach myśliwskich, mój strzelec Adam Dymnicz, niezrównany typ, łączący tupet fenomenalny z dyscyplinarną służbiistością! Zdaje mi się, że otoczenie monarchów, prezydentów i dyplomatów świata całego wytrącić go z równowagi i zaimponować mu nigdy i nigdzie nie mogło! „Tak, do cholery! to prawda, że u tego angielskiego Edwarda — polowania na bażanty lepsze nawet, jak u Branickiej i Potockiego, ale „teteruków“ to napewno niema tyle, co u Radziwiłła, albo u Horwatta w Narowli! — Podobno Humbert włoski ma dużo tych kóz górskich, lecz daleko mu do rogaczy Sanguszki! Albo stary Franz ze swemi głuszcami!? — pożał się Boże! co za „komparacja“ do Kieniewicza i Dowgiałły!“

Zdawało się, gdy mówił o szeregu tych, bądź co bądź, niezłe sytuowanych obywateli, że pozostawał ze wszystkimi na stopie niemal przyjacielskiej zażyłości i towarzyskiego współzycia.

Nie przeszkadzało mu to bynajmniej przestrzegania zupełnego taktu, należącego każdemu „respektu“, lecz zawsze z pewną domieszką indywidualnego „sans-facon“ względem mnie i innych gospodarzy łowisk i towarzyszy wypraw.

Nie polujących nie uważał wogóle za godnych nosić

miano człowieka, — zapatrując się na nich z pogardliwą litością.

Rzecz dziwna i ciekawa bardzo. — Będąc z powołania kuchmistrem i to nie byle jakim — nienawidził swego fachu, atoli jako „possessionatus“ dworku i kawałka ziemi w Wierzchowni, wymówił się od trzysturublowej posady, osiadł w swem „dominium“ i począł od świtu do nocy włącznie raubszycować na moich terenach!

Volens-nolens, zmuszony byłem zaproponować mu funkcję strzelca u siebie! Od tej chwili nie tylko zaprzestał uprawiać kłusownictwa lecz począł zapatrywać się na zwierzostan wierzchowieński, jako na swój własny, stając się biczem niemal dla wszystkich okolicznych „brakonjerów“. Zaiste, dziwna psychologia prawdziwego, urodzonego z Bożej łaski przy rondlach i patelniach, miłośnika przyrody i rzetelnego myśliwca!

Padł biedaczysko ofiarą owych hybrydów, „oranganów“ z ludożercami co to się „bolszewikami“ — u ogółu, lub nawet „sowieckimi poddanymi“ — w delikatnej gwarze dyplomatycznej — przezywają. Cześć Jego pamięci!

Drugim współtowarzyszem mej podróży był wierny długoletni służący, Maksym Demczuk, typowy zaporozeczkozak, o sumiastych blond węsach, których nikt w żadnych okolicznościach w nieporządku nigdy nie widział. Katastrofa okrętowa, trzęsienie ziemi mogły nastąpić, Maksym z pod wody i ogni wulkanów wszelkich — ukażałby się ze zwycięsko do góry podkreconą twarzą ozdobą — siedliska bożka miłości — jak twierdzi staroświecki — poeta... „Ujmując wtedy serca kobiety — bożek miłości na węsach siadał“... Zgrane więc „trio“ z moją włącznie osobą, podróżując na „Lermontowie“, posuwało się

zwolna, zdążając do sezamu wiośnianych łowów zachwyków.

Pałac swe cygaro na „kapitańskim“ mostku statku, z ciekawością i rozkoszą prawdziwą, delektowałem się pierwszy raz w życiu widzianym obrazem szerokiego rozlewu Prypeci w niektórych miejscach aż do wiorst kilkadziesiątu sięgającego!

Nie byłem nigdy na rzekach Ameryki, lecz zdaje mi się, że żadna chyba Delewara lub Missisipi nie mogą przewyższać potęgą masy wodnej, grą kolorów swojskiego piękna rozlewu wielkiej arterji poleskiej.

Owe stare dęby po łąkach nadrzecznych, tragicznie rozpościerające swe olbrzymie rozgałęzienia, gdzie niegdzie czarna „kurna“ chatynka w wodzie zatopiona — piaszczyste ostrówki — licznych i barwnych „bataljonów“ przytulisko — przestrzenie ogromne łóz, olszniaków i wierzby, błękitem tafel wodnych okolone — podczas gdy tam, w niebios obszarach, nieprzeliczone stada sławetnego kaczego rodu z lubieżnym kwakaniem szybowały zalotnie, radując swą obfitością — duszę myśliwską.

A wszystkie te „śliczności“ zalane szkarłatami zórz rannych i wieczornych, różowo-opalowymi tonami podczas walk dnia z nocą, pastelowym kolorytem agonji i odrodzenia — światła i linii.

Biedne zaś płuca ludzkie literalnie „zjadały“ — to, jedyne w świecie „poleskie“ powietrze — fale ozonu w zapachach rzeźwiących mas śnieżnych zimy, tylko w roztopionych — „humusem“ z zwiędłych, zeszlórocznych traw błotnych, igliwia i liści przepojone! Dusza rozmodlona dziękowała Bogu, że jest kraina podobna na tym też padole, że tworząc wszechświat — jak z piany fal Wenerę — tak z głębin morskich niegdyś — Polesi stary — wywołał.

Na trzeci dzień dopiero minąwszy Czarnobyl, Barbarów

i Narowłę — Horwattów mieliśmy o 11-tej w nocy dosięgnąć przystani Pietrykowskiej — celu naszej podróży.

Pod wieczór — czarne chmury pierwszej burzy roku zarania zaciągnęły groźnie horyzont. Nie było widać nic, choć oko wykol. „Oto cholera! a nie pogoda! — jak dobierzemy się do dworu, woda ogromna, chyba łódkami wypadnie do brzegu dojechać, bo „parochód“ napewno o parę wiorst się zatrzyma — burczał, wielce nie zadowolony głos strzelca Dymnicza.

— A tak moi panowie — pocieszał nas „kapitan“ statku — typowy stary wyga, wilk wód Dniepru i Prypeci — nie o dwie, lecz o całych cztery wiorsty przeniesioną jest obecnie „przystań“ w Petrykowie od brzegu, lecz zawsze oczekują na nas „czajki“, które przez zatopioną dzielnicę żydowską dostawiają panów za rubelka, aż pod samą górę dworską, stamtąd zaś tylko paręset kroków do rezydencji „pomieszczyka“ — pana Dowgialły“.

— A ja „howorył“ zawsze, że „czort znajet“ — na co te polowania wiosną, mało to u nas w Wierzchowni „fazanów“ i „zajęców“ na miejscu „skilki duszi uhodno“ — strelać można! — Ja „howorył“ nie potribno było ichaty — lecz pan każe, słuha musyt“, — „howorju“ — to i „poichaly“ — wpłatał swe trzy grosze, nieustannie przeplataną konjugacją ulubionego wyrazu „howorył“ — mój poczciwy kozak Maksym — w zwycięskich wąsach Don Juana ukraińskiego.

Śród huku piorunów, błysków i ciemności egipskich dotarliśmy nareszcie do przystani „na barce“ pływającej. Po wylądowaniu plebsu kolegów podróży „artieli“ — cieśli, stolarzy z ich instrumentami, oraz motlochu trzecioklasowego wśród specyficznych przekleństw, zwrotów i koloraturze iście moskiewskiej, następnie tak zwanej „inteligentnoj publiki“ — przeróżnych miejscowych „czynow-

ników“ — popów, oficjalistów, drobnych dzierżawców, dążących do takiego „centrum“, jakim jest Petryków — zbliżyła się do nas para mościpanów w furazerkach o zielonych otokach szarych kurtach z blachami „leśny strażnik“. Za panoczkami Pan Wersocki „uprawiajuszczyj“ łódkę wielką, dworską przysłali. Gdzie są bagaże panów, zaraz naładujemy! siadajmy i jedźmy! tylko ostrożnie bardzo! bo noc wielmi ciemna!“ — brzmiał meldunek dwóch do pniaków podobnych oczywiście cerberów leśnych, ucałowaniem uniżonym rąk mych przeplatane.

...Powiedziano, — zrobiono! Chwila zamętu — potoki elokwencji na temat „howorył“, jako „lejt-motyw“ mego Maksyma, kilka energicznych „do cholery“ Dymnicza i jedziemy nareszcie. Ustaje kanonada piorunów i błyskawic — od czego noc jeszcze staje się beznadziejnie czarniejszą!

Dwaj gajowi energicznie wiosłują. „A czy głuszców dużo?“ „A czamu im panoczek nie byt.“ Siedzę na przedniej ławeczce obszernej, wygodnej łodzi, za mną na drugiej Dymnicz z Maksymem, pomiędzy nami zawałona góra naszych mantelzaków, wiosłujący poleszuki-pniaki zawzięcie pracują na tyle arcyniewygodnie skurczeniu.

Po opuszczeniu sfery światła elektrycznych z parowca ciemność nas otaczająca jeszcze gęstnieje.

W oddali majaczą ognie miasteczka Petrykowa na górze, u stóp której zarysowują się kadłuby siedzib żydowskich obecnie, jako pałace „Venezia la bella“, w wodach rozlewu pływających.

Niewyraźnie jakoś staje się na duszy... Plusk monotony wiosła, — od czasu do czasu okrzyk: „hliady, Hryhor!“ derży na prawo“... „poworot w wulycju“... dobre!... od doma Moszka Krywoho trzymaj ostrożno w lewo! aż do Sruła Fetóra!“...

Raptownie jakiś karcz zdradziecki — wszyscyśmy nosami mało dna łódki nie dotknęli.

Znów energiczne „cholery“ — „ja howorył“ moich towarzyszcy.

— Powoli Wasyl! powoli! — hlady wpered.

Ja zaś zamyśliłem się. Obrazy dotychczasowych przeżyć mych łowieckich, od pierwszego trznadla, szpaka z mej ręki padłych, do poważnych emocji „zrulowanego“ rogaacza, zająca, kaczora, kuropatwy, bystrolotnych bekasów i tajemniczych słonek nareszcie, cały ten aparat atawizmu, pociąg do obcowania nieprzewyciężony z naturą, od przodków oddziedziczony, rozkosze łowieckie, odczute już... a których zawsze za mało! — zawsze się pragnie, jak pocałunków ust kobiety ukochanej.

Dziwna, zaiste psychologja duszy myśliwskiej!... W tem staje się rzecz straszna!... mgnienie koszmarowe! — ze snów gorączkowych widziadło!... Odczuwam boleśnie uderzenie w głowę, od którego, zda się, czaszka mało mi nie pęka, — jednocześnie widzę, — jasno przed sobą widzę ukazujące się oblicze trupio blade, rogate, z długą bródką, złowrogo szyderskimi ślepiami o fosforycznem blasku — na struchlałą moją osobę patrzące!

Z krzykiem zgrozy o ratunek na ustach zamarłym padam na wznak na kupę naszych bagaży! Mój strzelec i służący ze mną — w tem samem położeniu szamocą się bezwładnie! Jeden z gajusów zrzucony w wodę od tajemniczego uderzenia chwytą za brzeg łodzi, — o włos jeden mało jej nie przewracając. Do tego deszcz ulewny lunął, jak z cebra, — całą sytuację jeszcze podkreślając.

...Pojawienie się djabła — omal nie zatopienie, ból wściekły w głowie, przekleństwa, „cholery“ bez liku, zupełnie zresztą tym razem zrozumiałe... krótko mówiąc — piekło — tu na ziemi...

Zamroczyło mnie cokolwiek!...

Kiedy się ocknąłem, staliśmy już przy brzegu! Pocziwie oczy ś. p. zarządzającego dobrami Petryków, Wersociego, troskliwie ku mnie były zwrócone. „Co się stało?! — mówcie że durnie!“ — trwożliwie groźno leśników zapytał.

„Tak, że panoczek! ot okazja „zabuli predupredit paniw, że od chaty Srula Hycła do Mordki Szweintacha dla przejścia zalaną ulicą, którą jechaliśmy, szelmy parchy przerzucili szerokie kładki, trzeba było w tem miejscu nachylić się — i wszystko byłoby „fein“.

Na nieszczęście jeszcze dziś szabas i jak raz, kiedy to za przeproszeniem głowa Pana Grafa z całego „rozmachu“ o mostek się stuknęła, licho przyniosło białego żydowskiego kozła po kładkach, na drugą stronę idącego, od szabaso-wych świec aż czerwony cały wyglądał — sowsim „czort“ naturalny taj! hodi! Graf, już i tak wielmi uderzony jak zobaczyli taką „nieczyst“ pereliakalisi sowsim“ no i upadli na dno „plaskodonki“ i w głowie mu się zamroczyło! Oto i vse! Winowaty my z Wasylem panoczek! — ale da Bóg na „hłuszcach“ za to poszancuje uż ot! jak budem' staratysia!

...I postarali się naprawdę, — gdyż zabiłem pierwszego w mem życiu wspaniałego koguta w rewirze Żerdziach! Wszystko dobrze, co się dobrze kończy!...

Spotkanie się z pseudo duchem Ciemności i Zła, związanem zostało z pierwiastkami Dobra i rozkoszy Duszy, — jakimi były i pozostaną na wieki — niezapomniane chwile spadnięcia od celnego strzału królewskiego wiosny trubadura we wrzosa i mchy głębokie ostępu kochanego Polesia!...

Ale pietra miałem rzetelnego!!!

„Do cholery z takim polowaniem“ strzelca Dymnicza!

„Ja howorył“, „ja howorył“ mego Maksyma — do dzisiaj w uszach mi dźwięczą!...

Staromodna kolacja, gościnność ś. p. Wersockiego z wyśmienitą „stareczką“, kwaszonemi ogórkami, jakich nigdy i nigdzie nie jadałem — odrazu nas wyleczyły i poprawiły humory!...

Z POLESIA

I.

Żyjąc już sześćdziesiąt lat na tym bożym świecie, z których około czterdziestu poluję na Polesiu, nie pamiętam, żeby kiedykolwiek 16 kwietnia wypadło mi jechać saniami, po wyśmienitej sannej drodze. A miało to miejsce podczas drugiego mego przyjazdu do najgościnniejszego domu pp. Stanisławowstwa Szyczewskich w Tomaszgrodzie, pod Sarnami. Jednym słowem, oczywiście „bolszewizmu atak“ nawet w apolitycznej zwykle naturze! Pierwszy zaś mój rozkoszny okres łowów wiosennych rozpoczęty w ostatnich dniach marca tembardziej zapowiadał się dość smutnie. Kompletna martwota naokół. Nietylko nie słyhać śpiewu zwiastuna ciągu słońek i gry głuszców, drozda, lecz nawet trznadla niewinnej zwrotki i wogóle odezwania się jakiegokolwiek ptaszyny: sikory bogatki, ba, pisku myszki szarej. Lód murem jeszcze opancerzał rzeki, podkładem iście żelaznym betonując zmarznięte bagna, co poniekąd ułatwia chodzenie na tak trudnym terenie, jakim niezawodnie jest słyny rewir „Pohoni“ — nieprzebyte moczary, zarosłe karłowatą brzezina i sosną, a ciągnące się dziesiątkami kilometrów aż het tam, ku granicom Józefina i Perebrodów Dawidgródeckiej ordynacji ks. Karola Radziwiłła, świętego myśliwego i niezrównanego hodowcy. Próbuje więc szczęścia, lecz głuszcze, których jest multum (na zapadach

bowiem nierzadkością jest „zasadzić“ 20—30 kogutów) — klapią tylko, parę pieśni „odśpiewawszy“ w kompletnych mrokach na ziemię zlatują. Powabne guszyce milczą, jak zakłète. Coś ponurego jest w tej niesamowitej martwocie i ciszy. Ani kaczor lubieżny nie kwaknie, ani tak miłego „chrapnięcia długodziobej“ nie słyhać — ani beczenia bekasa. Jednym słowem, rozpacz i czarna melancholja. Stan ten trwa dni kilka z pogorszeniem jednak stopniowem wskutek rozmiękczenia się błota sławetnej „Pohoni“.

Do miejsca toków 2 i pół kilometrów od brzegu po „trybie“ mierzonych, prócz tego jeszcze jeden „z hakiem“ do samych guszców. Weszło, co? Lecz nigdy nie należy tracić nadziei; korzystam z łaskawego zezwolenia właściciela Miedzyna, nieobecnego natenczas w swych polejskich majątnościach p. Michała Peretjatkowicza i na „Prima Aprilis“ w towarzystwie typowego gajowego „głucharza amatora“, Imć Pawła Błażeńca, udaję się na te piękne łowiska, na których roku zeszłego padło aż 16 śpiewaków. Osadzone tego wieczoru zostały cztery pewne „hluszczi“, z których dwa na brzegu błota na „suchoputji“, jak mawiają poleszuki a dwa w głębi trzęsawiska. Pogoda pod zdechłym psem! Wiatr wyje, jak stara wiedźma, obdzierana ze skóry. Z huraganową siłą naginają się zadumane brzozy i wysmukłe sosny. Pod krzakiem „chwojki“ przy ognisku roznoszonem wściekłymi podmuchami, oczekujemy, przykucnięci z Pawłem, godziny drugiej po północy, kiedy to ruszyć z miejsca wypadnie. Śnieg zaczyna prószyc, jak z rogu obfitości. Posilamy się gorącą herbatą. Boże mój miły, jakże smakuje nam ów nektar błogosławiony, albo bajeczne domowe wyroby kunsztu masarskiego z gościnnej szpizarni Tomaszogrodzkiej obficie zaczerpnięte. Kolejka „wudjoli“ nie mało też dodaje nam animuszu. Z delcją słucham opowiadań i bajań starego

poleszuka o czasach zamierzchłych, o dziesiątkach łosi, padłych z jego, niegdyś kłusowniczej ręki, o „huku“ ptactwa i zwierza na tych zapadłych łowiskach w mrokach lat ubiegłych, kiedy to najbliższą stacją było Równe, odległe o dwieście kilometrów. Później o rzeziach podczas tak zwanej „swobody“ (miodowe miesiące bezkrwawej (?) rewolucji rosyjskiej) kiedy to rabowało się pańskie dwory i wybijało w pień wszystką zwierzynę. Piękna „swoboda“ — niema co mówić!

Reflektując kłusownika-emeryta, tłumaczę mu całą ohydę i głupotę podobnego postępowania. „Tak co, panoczku, ciamnota naroda wszystkiemu winna, ciepier polskaja wlast' zaprowadza poriadok, już i hłuszciw i zwiera wszelkiego coraz więcej staje, rozmnaża się łosi nie mało, na kniażeskom (Dawidgródecka ordynacja), bobrów para niejedna na Zariszczu się zaprowadziła, a ja niegdyś ostatnią samkę zabiłem, żyd dał mi osiem rubli natenczas, a dziś? gdyby jeszcze żyły u nas! Wielmi też żałuję tego! ileby to złotych za szkurkę dali!...“

„A widzi Paweł, jak źle postąpiliście natenczas“.

„Prawda, panoczku, ale nikt nie wrozumiał (nikt nie tłumaczył).“ — Dusza i serce rosło, gdy z rozhovorów podobnych się przekonywało, na ile wśród dzikiej ludności miejscowej przenika jednak poczucie państwowości polskiej, pomimo błędów wielu, pomimo elementów często nieodpowiednich wśród administracji lokalnej, nie zawsze uświadomionej co do tutejszych warunków! Duma narodowa przepelniała całą istotę, i skrzydła Orła Białego zda się poświata jasną nad uspioną puszcza tak kochająco rozpościerały się... A tymczasem, pod trzask palących się smolaków „balakaliśmy“ (gawędziliśmy) dalej.

Stary wyga szeroko się rozwodził o tajemnicach głębin leśnych, o czarach, djablach i dziwach mszarników niedo-

stępnych, o arkanach i chytrościach sztuki myśliwskiej, o podpatrzonych zwyczajach dziczyzny i zjawiskach przyrody, o których się żadnemu uczonemu nie śniło nawet nigdy. A wiatr ciągle wyl, jak wiedźma stara. I dobrze nam było przy tem trzaskającym ognisku, w roztocy światła czarnotą nocy tak szczelnie zamkniętego — ze słabą nawet nadzieją usłyszenia królewskiej pieśni w sercach pełnych zwątpienia!

II.

„Wesęlyki wtoroj hołos dajut' — pora“ (zórawie drugi raz śpiewają, już czas). „Chadzim, panoczku“. Za pół godziny jesteśmy już nad brzegiem moczaru z osadzonymi gluszcami. Zatapiamy się więc w słuchanie z doskonałych najdoskonalsze! Absolutnie nic, oprócz podrywów wściekłego wiatru, nie nie słyhać, — rwie on z błota na suchą „griadkę“ coprawda z małemi przerwami. Śnieg sypie coraz lepszy. Wyświetla się i szarzeje, widać już kontury pni i zarysy krzaków. „Panoczku, treba, szob uże grał“... Raptem o sto kroków głośny łopot, najbliższy kogut zlatuje. Chwila, i drugi „spływa“ też w błotną dal. „Lasciate ogni speranza“. Paweł zaczyna już nawet rozmawiać głośno. Wtem z głębin mszaru słyszę, gra!... „Mołczy, hraje spiwak!“ Stary aż przysiadł, z emocji rzucił czapkę nawet, żeby lepiej słyszeć. Obaj w słuch się obracamy. „Prawda, poje, panoczku z Bohom!“ Walę dużymi susami, bo już późno, podczas gdy pieśń płynie jedna za drugą prawie bez przerwy. Słyhać ją dobrze, tylko gdy wiatrzysko ustaje nieco. Już jestem blisko. Rozkazujący gest. Paweł zapada pomiędzy dwiema kępami prosto w wodę lodową, używając „bain de siege“ metodą księdza Kneippa. Jestem nareszcie pod gluszcem. Ależ śpiewak! precz z Caruso, Masinim, Kiepurą! Spokrewniony z nimi jest ów „urogallus“ chyba. Ponieważ wiatr dmie od niego, więc nie słyszał

zrywających się rywali, dlatego też rżnie pieśń po pieśni. Napróżno staram się go wypatrzeć wśród gęstych, niskich chojaków. „Panoczku, a! panoczku“ — wrzeszczy Paweł podczas „szlifowania“, ręką wskazując kierunek. Groch o ścianę, nie widzę go. Wtem, jak zjawę snów gorączkowych zoczyłem sylwetkę ogromnego ptaka.

Zakryty jest gęstem gniazdem splecionego igliwia. Strzał przez nie jest bardzo ryzykowny. Pod pieśń obskakuje raz, drugi, jeszcze gorsza tego rodzaju przeszkoda. „Panoczku, jak wół sydyt' na wietwi“ (jak wół siedzi na gałęzi) — ryczy mój towarzysz — w lewo, beryt' w lewo!“ Przekleństwo! głuszcę widocznie zauważył Pawła, gdyż już widno zupełnie. Zamilka. Wszystkie krew przyplywa do serca. Przed oczyma idą ciemne kręgi. Zapomina się o świecie całym. Widzę przez „chwoję“, że wachlarz poczyną się powoli przemykać, szyja, o zgrozo, jak u żmiji ponizać, — źle panie Adamie, moment i „finita la comedia“. A spudłować na 5 kroków lub zepsuć głuszca, sprawa „hadka“ i konfuzja niemała. Ufny jednak w swój stary wierny „dryling“ Heyma, przez Lisowskiego złożony, rzuca strzał. O radości, jak snop wali się w ogniu po zwykłej chwili wahania na gałęzi, wspaniały, mój największy z 73 padłych już okazów, prawie trzynasto funtowy pieśniarz w śniegi, lód i wodę rodzimej puszczy. Ona go wyhodowała, tyle sił żywotnych i napięcia miłości obficie dając. „Sława Bohu, panoczku!“ aż dusi się z zachwytu Pawło, namiętnie mnie po rękach całując — „ce sztuka, w taku pohodu i takom miści ubyć' hłuszca“... Rzeczywiście, w podobnych warunkach upolowane trofeum warte jest strzału i oblicza Pańskiego — jak niezawodnie wykrzyknąłby ksiązę na Nieświeżu, Karol Radziwiłł Panie Kochanku, prawdziwy „de re et nomine“ myśliwiec na Litwie dawnego autoramentu. Z duszą mdlejącą od szczę-

ścia i nadmiaru ekstazy łowieckiej, wracaliśmy do gościnnego dworu pp. Szyczewskich. I niczem nam była śnieżycza i niczem wiedzimowe wycie wiatru!

III.

Czas mego drugiego okresu łowów wiosennych wypadł też podczas cyklonu kwietniowego. Lecz później pogoda się nieco ustaliła. Małe, biedne ptaszki, których niemało padło podczas tej katastrofy, rozpoczęły nareszcie swą hosannę pieśni wiosennej. Cietrzewie belkotwały, głuszce jednak grały dość marnie. Słonek było bardzo mało. Niewątpliwie duża ilość padła ofiarą chciwości kulturalnych Europejczyków podczas ciężkiej zimy tegorocznej we Włoszech, Hiszpanji, Francji, na Kaukazie, a także ponieważ czas powrotu był bezksiężycowy w nocie ciemne, więc w projektorach elektrycznych współczesnych latarni morskich śmierć okrutną znalazły. Miejmy nadzieję, że ręka Matki-Przyrody powetuje te straty bolesne i lęgi będą dobre, wracając etatową równowagę w zdziesiątkowane szeregi tych ślicznych ptaków. Kaczek krzyżówek było bardzo dużo, cyranek obu gatunków daleko mniej niż w roku ubiegłym. Gęsi walny swój przelot miały jeszcze aż do połowy kwietnia. Pokrewnych odmian gągółów, kaczek i nurów było dość, lecz widocznie śpieszyło się biedactwo do miejsc lęgowych — na krótko tylko u nas się zatrzymując.

Ś-ty Hubert darował mi kilka ładnych strzałów do cietrzewi, delektowałem się kaczorami w olchowych mrokach rzeki Lwy — zdobyłem parę długodziobych na ciągu, padł jeszcze jeden głuszcak na niedostępnej Pohoni, drugi z ręki mego najmilszego kompana Wierzchowieńskich jeszcze polowań, hr. Józefa Steckiego. Cześć więc i dziękczynienie świętemu naszemu Patronowi!

**SYLWETKI MYŚLIWYCH DAWNEGO
AUTORAMENTU**

DUC DE RICHELIEU Z MOZYSKIEGO POWIATU

Oczywiście, ani on, ani nikt z jego protoplastów nigdy nie był i być nie mógł purpuratem — wogóle nawet osobą duchowną. Był to sobie „szlachcic na zagrodzie“, w dzisiejszych czasach stanowczo nie równy wojewodzie — nazywał się Paweł Baranowski. Dygnitarz poniekąd wśród konfraterni poleskich gajusów, ponieważ pełnił funkcje objazdowego w Petrykowskich dobrach pp. Dominikostwa Dowgiałłów wśród mszarów, lasów i błot ziemi Mińskiej położonych. Zawdzięczając ujmującej gościnności właścicieli — latami całymi delektowałem się na tych ogromnych natenczas obszarach całą prymitywnością łowów Polesia starego... Z mgły przeszłości wstaje jak żywa przedemną sylwetka poczciwego Baranowskiego, dziwnym zbiegiem okoliczności, jak dwie krople wody podobna do przebiegłego dyplomaty i wszechpotężnego niegdyś męża stanu. Z pod poleskiego kaszkietu, tak zwanego kartuza, patrzyły na świat szerokie oczy dawno już w grobie będącego księcia kościoła, jego charakterystyczna bródka, cała postać, rzekłbyś ze starego malowidła zdjęta. Jednym słowem „Richelieu“ wykapany i kwita! Inaczej też nie nazywalismy go. Pomimo, że odziany był w świtkę z miejscowego samodziła, w zgrzebne hajdawery z nogami w łapcie obutymi. Nie zważając na to, posiadał wielką wrodzoną

dystynkcję, takt życiowy i niesamowity polor w obcowaniu bądź to z „panami“, bądź z „ludźmi“ nawet.

Nigdy nie usłyszałeś od niego zwrotów istinnoruskiej koloratury o najfantastyczniejszych kombinacjach miłosnych przodków lub innych ordynarnych wyrazów. Chociaż posiadał wybornie gwarę lokalną — nie lubił inaczej dyszkuirować — jak tylko zawsze po polsku. — Pochodził z zagonowej szlachty aż ze Słuczczyzny — jak lubił mawiać, nieustannie to podkreślając. „O, ja, panie, nie „tutejszy“, ja z daleka, bo aż z pod Słucka. Coprawda już blisko pięćdziesiąt lat siedzę tu w Korytyczach jako starszy leśnik, lecz ja jednak zawsze „cudzy człowiek“.

Gdy wspomniał o swych rodzinnych (tak bliskich w rzeczywistości stronach), rzekłbyś, że przybył tu, co najmniej z Anglii, Honolulu lub Patagonji; że owa Słuczczyzna — to daleki, bardzo daleki kraj, o zupełnie odmiennych ludziach, warunkach i kulturze, po za morzami i górami leżący. Z pietyzmem też trzymał się metody porównawczej, zawsze jednak na korzyść sławetnej Słuczczyzny. „Tak, niezawodnie panie, dużo jest i dubeltów i ciecieruków na tutejszych Korytyckich błotach, lecz to nie to, co u nas w Słuczczyźnie! ...Obrodziły dzięki Bogu w tym roku nieźle i kartofle i gryki, chleb święty nawet, lecz imaginuję sobie, co za urodzaj musi być w Słuczczyźnie... a co tam za dwory, jacy panowie, jaka szlachta po okolicach, a mostki po drogach, żadnego nawet objeżdżać nie przychodzi się, wal napramiki bracie... a jacy u nas rozumni księża, co za organiści po kościołach, czy da wiary panie, popi nawet nie zdzierają z parafjan. Ludzie tu biedują i nigdy tak pięknie żyć nie będą, jak tam, w Słuczczyźnie!...“ I tak w kółko: Słuck, w Słuckiem, w Słuczczyźnie!

Podobnie zakorzenionego, dzielnicowego patryjotyzmu

trudno było spotkać. Co do wytrzymałości w polu, znajomości najskrytszych tajników zwierzta i ptactwa wszelkiego, miłości przyrody, nie ustępował żadnemu z rodowitych tutejszych poleszuków ów domorosły kardynał Richelieu. Prześniłem nie jedną z nim noc czarowną w kuraniu podczas toków wiosennych, nie mało wymierzaliśmy kilometrów w skwarach dni sierpniowych w pogoni za młodzieżą już dobrze latającą. Nie jedną zadymkę śniegową przemarzliśmy, oczekując wyjścia brunatnego odyńca lub saneczkami objeżdżając brodatego łosia. Miło było wysłuchiwać wtedy jego filozoficzny *sui generis* światopogląd o ludziach, wypadkach i zawilych kwestjach socjalnych. Zawsze jednak po staroświecku chrześcijański i poczciwy, rzekłbyś, jeden z tych podłowczych księcia „Panie Kochanku“, co to siedział ongiś w Nalibokach, Lachwie i ze zwierzyny nie zdawał ścisłego rachunku — jak mistrzowsko opisuje typy podobne utalentowany pisarz dawnego autoramentu — Ignacy Chodźko.

II.

Śród ludności cieszył się Baranowski ogromnym szacunkiem i autorytetem. Strój był chłopski, jednak i ze wszystkimi — lecz głowa fajn nie dla proporcji. „Ce panoczku, sam Baranowski tak skazał (powiedział), treba szczob tak buło (musi tak być), treba dowiedać sia (dowiedzieć się) u Baranowskaho, a hłuszcza sam Baranowski zasydyw (obsadził), dyka obrizal też win (on objechał)“. Zawsze wszędzie jeden niezmienny „leit-motiv“.

Uplastycznia się ta miła sylwetka, jako też wielu innych z mroków lat ubiegłych, w warunkach pierwotności, serdecznością nacechowanych, a których nie masz w neurastenicznych otoczeniach miasta złego. Ci ludzie prości są jednak często bardzo rzetelnemi duszami myśliwskimi,

które w czarnych godzinach zwątpień, zmagañ i trosk zaczarowanym rojem ze skarbcza wspomnień, cichem latem nadiągając — koją razy kolców przeszłości. I u każdego z nas znajdzie się rój klejnotów podobnych, jak perły drogocennych i jak lzy szczęścia czystych.

III.

Nieskończona przestrzeń błot Korytyckich, ciągnąca się na kilkadziesiąt kilometrów aż tam ku Ptyczy brzegu, wita nas kwieciami swych łąk trawiastych, ozonem orzeźwiająjącym swego poleskiego powietrza, balsamem rozpalonej słońcem roślinności. Szukamy koczkwatych wyzarów, błotnych arystokratów, opastych dubeltów siedliska, jakoteż rokitników, kędy to teteruk w czarnym fraku przebywa. Kilka dziesiątków już długodziobych belta się przy torbie Baranowskiego, widnieje też para druga cietrzewi. Kolega jego, zwykły leśnik, Sytnica, dźwiga aż dwie torby, od prowiantów rzetelnie napęczniałe. Butelki bowiem z piwem, kwasem i nawet (co za luksus) pewna ilość półbutelek najprawdziwszego szampańskiego jeszcze w wigilję należycie lodem obłożona w workach rozwieszona przez gajowych i co parę wiorst pod stogami siana umieszczona — gwoli przyszłym delicjom.

Gros flakonów w miejscu odpoczynku dla śniadania i sjęsty przeznaczonem, oczekuje spragnionych nemrodów!

Chociaż wczesna jeszcze godzina — lecz, już niebiosa żar sypią! Pot gradem splywa z jestestwa całego, komary i muszki tną pomimo nawet aromatycznego wielce mego cygara z gatunku „cinkadores dellos infernos“. Poczciwy piesek z wywalonym ozorem robiąc ciężko bokami, nie odchodzi już daleko, za nogą niemal się wlecze. Lecz, gdy dubelcie, subtelne emanacje rozkosznie przepoją ciągnący na nas wiatr, zapomina o wszystkim. Jak struna wycią-

gnięty, aż drga cały od nerwowej namiętności. Tchnące
pożądaniem oczy aż ciągną się za tym wiatrem, tam —
gdzie wśród traw wilgoci słodkiego wczasu używa sławet-
ny „scolopax major!“ Precz wszelkie wyroby Cotty’ego
wobec przedziwnych, dubelcich aromatów. Wskrze-
szają się w Hektorze wszelkie atawistyczne nastroje sze-
regu dzielnych protoplastów. Wystawiali oni, wystawiać
też ad aeternam będą dalsze pokolenia. „Pójdź dalej, pójdź
dalej!“ Aż kładzie się psina, na brzuchu niemal pełzając.
„Pill!“ i z pod nosa legawca z charakterystycznym furk-
nięciem, chrapnąwszy, podrywa się ciężko opasły arysto-
krata. Widnieją białe piórka rozwartego ogonka-wachla-
rzyka. Strzał... jest, naturalnie... wtem jednocześnie podej-
muje się drugi... gracko! i ten leży. Chwila, i obydwie za-
aportowane ofiary już w ręku. „Prawdziwie pańska to
zwierzyna, paniczu, bo kaczki, to, pożał się Boże, kuchar-
ska! Ot, taki funtowy piekur (dubelt po polesku), trzeba
wiedzieć, że nieraz tak obłany sadłem bywa, że padając na
ziemię, brzusek mu jak dojrzała śliwka na dwoje pęka.
Sama słonina znaczy!“ Ależ mój Baranowski, nigdy nic
podobnego w mojej praktyce nie było. „Bo panoczek jesz-
cze młody (było to lat czterdzieści temu), ale my ze Słucz-
czyzny kuźden sekret znamy, i właściwości traw wszelkich
na leczenie bólów rozmaitych i nalewki na mrówkach ze
spirytusu, które krew czyszczą i ocet na pijawkach z ba-
hunem, po którym to ciągnie człowieka do bab, jak głuszca
do głuszycy na wiosnę, czego tylko u nas w Słucku nie
wiedzą!“ No dobrze, ale teraz hajda! — czy daleko jeszcze
do pierwszego słoгу z butelkami?“ „A wiorsta z hakiem
jeszcze paniczu!“ Ciągniemy się noga za nogą, lecz podry-
wające się dubelty coraz nowy animusz w dusze myśliw-
skie wlewają! Z krzaku łożyny rwie się rakieta kogut cie-
trzew, przez Hektora nareszcie z trudem „wypruty“. Opi-

sawszy lirą swą luk paraboliczny w powietrzu, już leży po strzale wśród kaczek czarniejąc wspaniały, wiośniany ry-cerz. Nie będziesz już bałbotał na rok przyszły... szkoda, że dożyć nie wypadło!... żal zawsze każdego ptaszka, gdy już upadnie, ale zawsze strzela się, cóż robić?, sam Bóg tak chciał, bo stworzył myśliwych! Lecz co za ładna sztuka! bo trzeba wiedzieć paniczu, że stary kogut, cyranka, dubelt to sztuka, a naprzykład krzyżówka, zajęc, nawet cieciorka to już tylko pół sztuki... tak jest... i tak mówią u nas w Słuczczyźnie z dziada pradziada... ależ gorąco! No chwalić Boga — doszliśmy — już i stóg siana z „kwasami“. Padając na aromatyczne siano, dorywamy się do butelek. Błyskawiczne odkorkowanie paru, dla mych towarzyszów, butelek, zamrożonego jak lód Roederera, dla mnie... Boże! co za delicje. Krew do głowy uderza, błogość niezmierna ogarnia całe jestestwo! ...A no Baranowski — kardynał i ty Sytnica skosztujcie i wy stare grzyby! — nalewam też im szklaneczkę. „Ważnyj cej kwas zagranicznij“ — pokornie w rękę mnie całując mruczy gajowy. Dobry! — lecz nasz żórawinowy nie mniej w nos uderza, gdy się należycie wystoi i taką samą macerancję w żołądku robi akurat, rychtyk jak ten francuski a kosztuje prawie że nic i zdrowszy jest“ — tak dorzuca kardynał. Chwila, i w dalszą drogę, aż do śniadania, po którym kąpiel w zimnych nurtach Korytczanki z pewną ilością coppersu (lecz któż zwraca uwagę na podobne bagatele), słodki trzechgodzinny odpoczynek aż do piątej po południu w cieniu gęstej olszyny nadrzecznej.

BRONISŁAW DYMNICZ

Niepowrotnie ubiegłe lata mych pierwszych, dziecięcych i młodocianych poczynań myśliwskich — pierwszych bezpośrednich kontaktów z świętą Matką-Przyrodą, związane są ze wspomnieniami o tym poczciwym, skromnym, a jednak tyle gorącym czcicielu Ś-go Huberta!

W zaraniu życia łowieckiego — strzały oddane do ptaszków — przeróżnych — następnie poważne momenty zrulowanego szaraka, „wytrąconej“ ze stada kuropatewki, wstrzymanego, bystrolotnego bekasa, aż do „epokowych“ chwil podjęcia „nie spudłowanego“ rogacza, lisa, wilka nareszcie — wszystko jednym słowem.

Działo się to pod kierownictwem zacnej postaci, prosto jakby, ze szkiców Fałata zdjętej, popularnie tak zwanego Bronia Dymnicza!

Nieraz już, w niejednym artykule wspominałem o tym prototypie — prawdziwie oddanego starego sługi! Był to „per modum“ pomocnik leśniczego, zawiadowca pszczelnictwem, w stepowych naszych „pasiekach“ — rybak, strzelec nadworny — w rzeczywistości urzędnik „do zleceń“ szczególnych — a przede wszystkim szczerzy przyjaciel całej rodziny!

Jak dziś widzę jego sylwetkę na wykoszlawionych w kablak nogach — charakterystyczną siwą bródkę „a la Napoleon III“ — wyblakłe szare, a tak bardzo rzetelne

oczy — z miłością wielką na cuda Natury naszych niezrównanych „Dzikich Pól“ patrzące! — na cały ten świat Boży szeroki — rozmodlony śpiewem i kipiący tętnem życia ówczesnych, bardzo jeszcze dobrych „naturalnych“ zwierzostanów.

...Które później, w groźnych momentach, bezmyślnej, bolszewickiej, „bezkrwawej“ rewolucji — do szczętu wytępione zostały niestety! Olbrzymia połać kraju naszego zohydzona na długo pozostała niszczytelstwem hord Wandali, — wobec których „mołojcy“ Chmiela, Krzywonosy i Żeleźniaka, byli niewinnymi barankami!

Czingiz-Chan, Tamerlan, czambuły tatarskie — w paragon konkurencyjny niezawodnie iść mogą z ową Hydrą mordy i pożogi!...

W chwilach ukojenia wspominam także odwieczną, „szwedzką“, skórzaną kurtkę serdecznego mego druha Bronia, na tyle wytartą, „przepojoną“, zda się wszelkimi atmosferycznymi i życiowymi „emanacjami“ do tego stopnia że napewno, nawet smoła kotła piekielnego niewieleby jej zaszkodziła! Kto wie? — rondle djabelskie może być na zdrowie poszłyby „szatkom“ Bronia kochanego!? — jako środek „dezynfekcyjny“.

Jako żywa, stoi przedemną, jego wychudła, nędzna, siwa szkapina „Perełka“ zwana — która, pomimo, że nigdy oprócz „sieczi“ — garnca owsa nie otrzymała, ciągle pod siodłem będąc, w dzień i w nocy dźwigała „donkiszotowską“, nieco wychudłą od promieni i wiatrów stepowych, postać swego jeźdźca i pana.

Jego wyżeł pokurcz „Trezor“, dzielny „wypruwacz“ przepiórek z pod „pokosów“ prosa, wyśmienicie także „goniący“ zające, wielki technik w sprawie „łapania“ na „kuchnię“ — uciekłych z kurników kurcząt i zawsze bardzo mile i uprzejmie „uśmiechający“ się przy przywitaniu

z myśliwcem. ...Mając do pomocy tych swoich współpracowników — Bronio Dymnicz otrzymywał „skarbowy” proch i śrut na ładunki i w czasie bytności w naszej Wierzchowni ś. p. Rodziców moich — głównem jego zadaniem było latem dostarczanie na pański stół zwierzyny, dubeltów, kaczek, bekasów, przepiórek — zimą i jesienią zaś, jedną, drugą parę zajęcy (rogacz podówczas stanowił rzadkość na Wierzchowieńskich terenach, dopiero później, dzięki hodowli, doszedł do poważnego etatu) — zresztą, mógł się pozatem zajmować — czem chciał i jak chciał.

Kiedy to, atawistycznie widać, po dziadku, Kasztelanie Witebskim ¹⁾ myśliwym „de re et nomine”, poczułem żyłkę łowiecką i pociąg do radości „senatorskich” — oczywiście, nie kto inny a tylko Bronio objął „kustodja” nad całą sprawą, jako mój Mentor na tem polu.

Okazał się mistrzem! — albowiem zdołał tak gruntownie zaszcześcić namiętność kultu Ś-go Huberta w słudze najmilszych czytelników, że pomimo przejść tragizmu pełnych chwil, że tak powiem „histerji” — historycznej, pomimo grozy ruiny materialnej — srogich dalszych zmagañ z życiem — jednakże dzięki Bogu, „delektowanie” się myślistwem szło — i idzie ciągle „crescendo”, nigdy „diminuendo”!... Kto wie? czy tylko nie dzięki temu, zawdzięczam ową „pogodę ducha” — tę „trzeźwość i rzeźwość” Praojców — rzadką dziś, jak orchidea w cieplicy bogacza, w neurastenicznych sarabandach warunków współczesnych...

¹⁾ Ś. p. Ojciec mój, gorący zwolennik i znawca przyrody — nie był jednak myśliwym — w życiu swem upolował li tylko 12 niedźwiedzi na północy Rosji — jeden z tych olbrzymów — wypłowiwały, cały przez mole objedzony — był grozą mego dzieciństwa na swym posterunku w pałacowym przedpokoju Wierzchowni.

Rzecz dziwna i godna uwagi!... Tak! Bronio Dymnicz, pochodzący z dobrej, lecz zaściankowej, szlacheckiej rodziny (ojciec jego, stary Daniel, brał udział w powstaniu 1863 r.) — ciągle obracający się przeważnie w środowisku chłopskiem, jako oficjalista, „minorum gentium“ — stanowił jednak uosobienie wysokiego taktu życiowego, najwznioślejszych uczuć narodowych i religijnych! — lecz, co dziwniejsze — wysoko pojętej etyki myśliwskiej!

...Pamiętam doskonale, jego ustawiczne „mitygowanie“ mojej krwi gorącej, nowicjusza, przy porywaniu się do strzału.

Nieraz zmarznięta kupka biednych kuropatek zimą — słonki, ofiary raptownej nawałnicy śniegowej, podczas ich przelotów — bezowocnie szukające żeru u podnóża dębów, na czarnych płatkach ziemi, dzięki jego „per-swazjom“, salwowały się życiem!

„A pfe! — paniczu! wstyd byłoby „zabić“ takiego zamarzonego ptaszka! — bidnieńki to taki! — oto, da Bóg później, przy dobrej „planecie“ (pogodzie) — panicz strzeli i „preste“ — po myśliwsku prawdziwie „upoluje“!

Albo, kiedy to, nieszczęsny zajęczek miał nieostrożność dać się podejść w kotlinie na legowisku!... a ja już... co-prędzej... celowałem, naturalnie!... raptem rozległo się: „a pidesz do czorta cholero“... głośnie klaśnięcie w dłonie i... kot wrywał, jak szalony!... padał strzał do pomykającego, z „mojej“ lufy coprawda, nie zawsze „koziolkował“, lecz, gdy to miało czasami miejsce, pocciwy Bronio nie szczędził pochwał!... Oto! to gracko, paniczu! — chociaż trochę za bliska meta! — trzeba było „wypuścić“ tak stupaków (kroków) ze czterdziest!... lecz nic to!... wstydu niema! do biegnącego! lecz do świętej ziemi, jak grudka przytulonego strzelić kotka!... o to brzydka, bardzo „trefna“ rzecz!... Paniczu serce! bić zwierzynę można. lecz żałować

tez trzeba! Gdy się „zbarczy“ — zaraz dobić — nigdy „na-
boju“ drugiego, dla „poprawienia“ męczącej się sztuki
w dubeltówce nie zatrzymywać!... Bo to choć zwierz, czy
ptak wszelki przez Boga nam na „pożytek“ dany — lecz
„kuźden“ czuje, co to ból! — tak trzeba nie sprawiać mu
nigdy niepotrzebnego „ból“.

Albo to! — u nas po świętym Pietrze pozwolono po-
lować — a ja paniczowi powiadam — grzech jeden wielki
z takiego polowania... małe kacząta, żółte, jak kanarki je-
szcze „som“ — inna matka na „jajkach“ siedzi jeszcze...
A pamięta panicz, jak to w „Julu“ (lipcu) miesiącu panicz
kota zabił — a później jak kucharz Nikifor sześć całych
zajaczków „z wypatroszenia“ pokazał, to panicz aż płakał,
prawda?... i dobrze się stało — bo już napewno drugi raz
panicz „kotnej“ samicy nie zabije — gdyż strzelać latem
do szaraków nie będzie!... Naprzykład ja, nigdy do tur-
kawki nie strzele!... taki to łagodny gołąbek... tak to sobie
ładnie patrzy... ot „grzywacz“ to co innego!... Albo, kiedy
to „słonka spuszczone“; w ręku, jeszcze żywa; „docho-
dzi“... to przysięgam, że się odwracam!... patrzeć nie
mogę! — na te jej oczęta, takie duże i wilgotne, jakby
płakać chciały, kiedy to „na wieki“ — jakby mgłą zacho-
dzą“... toż samo i z kozłem „podbitem“... odwracam się
„sacro sancto taj hodi“... A odrazu, gdy „trupem“ spada,
to lubię, bądź to „sztuka“, czy „pół sztuki“ — bo trzeba
paniczowi wiedzieć, że naprzykład cyranka, to cała sztuka.
a krzyżówka, chociaż większa będzie, tylko pół sztuki!
Tak samo dubelt i bekas — lis i zajac — dla „kuźdego“
jest swoja „ranga“ — może być człowiek duży a łuřeń,
nie zważając na bogactwo! — a mały i goły, rozumniej-
szym od Biskupa Sufragana! Ot! co jest paniczu!...

Dyskutowanie podobne, wśród tchnień lasów, zagaj-
ników, pól szerokich — na wodach sitowiem zarosłych,

blotach stepowych, ze starym sługą, bezwiednie może głębokiego „humanisty“ — zapadały w duszę młodocianą — fundament światopoglądu na całą dalszą, ciernistą drogę życia, później, niestety, wśród Miasta Złego — jednym ze wspomnień otuchy i pociechy pozostając!

...Miłyż mój Boże! — gdzież się to wszystko podziało!? Gdzie ta poczciwość — gdzie ta prostota dawnego Ojców Życia?

ADAM DYMNICZ

Kunszt Valet'a zdawaloby się nie ma nic wspólnego z szlachetną pasją łowiecką!... Atoli rodzony brat, tak często wspomnianego mentora mych pierwszych kroków na polu chwały św. Huberta, Bronisława Dymnicza — ś. p. pan Adam stanowił dobitne zaprzeczenie podobnemu twierdzeniu.

Z zawodu kuchmistrz, i to nie byle jaki, gdyż osiągnął już najwyższe szczeble sławetnej konfraternji — piastując urząd „szefa“ kulinarnego w pierwszorzędnym, kijowskich restauracjach, z pensją trzysturublową miesięcznie — nienawidził swój fach z serca całego!... Ponieważ jednakże był „per modum“ obszarnikiem, posiadając w mej Wierzchowni kilkunasto-hektarową posiadłość z sadybą — jak na złość przylegającą do mych najlepszych rewirów, rojących się od sarn, zajęcy i bażantów — prawdziwą rozpacz i klęskę stanowił każdorazowy jego przyjazd na „wywczasy“ — do domu... Raubszcycował najlegalniej w świecie — odstrzeliwując na „wychodnego i zasadkach“ na własnych terenach — oprócz tego, bez litości bijąc wszystko — gdzie i kiedy „popadło“ cichaczem... Kordjalne stosunki z personelem gajowym — parantela tak bliska z wszechwładnym przyjacielem naszym — Broniem kochanym! — dawały mu pełną gwarancję — karygodnych machinacyj... Cóż dopiero, kiedy

to dowiedziałem się, że Imé pan Adam, uciulawszy przy rondlach i patelniach odpowiedni kapitalik — zrezygnował ostatecznie z laurów kuchennych i na stałe już, niestety!... powrócił i osiadł w rodzinnych Penatach!...

Zmuszony okolicznościami — zawezwałem go do siebie i w poufnej konferencji — zaproponowałem mu „gosińne występy“ — na wszelkiego rodzaju gremjalnych polowaniach, lub „we dwójkę“ — ze mną!... „Panie Hrabio — mnie bynajmniej nie chodzi o zwierzynę, której nie jadam nawet nigdy — lecz doprawdy „wytrzymać“ nie mogę, gdy widzę „na oczy“ — „kota“, kozła, bażanta lub kaczkę!... Jeśli będziemy razem „chodzili“ — to daję słowo nietylko nigdy do niczego nie będę strzelał w naszej Wierchowni ¹⁾ — lecz jak „oka“ w głowie — „sacro sancto“ — pilnował od „hadów“, chłopów i kontrolować nawet „pobereźników“ ²⁾!... A co do pensji? — ponieważ dzięki Bogu jestem zamożnym człowiekiem — to Hrabia będzie mi wypłacał po rubelku dziennie tylko podczas „wyjazdów“ z domu na Polesie lub do cudzych majątków — oraz opłaci kosztą podróży!...“ „Doskonale!“ — zawyrokowałem... Powiedziano!... zrobiono! I od tej chwili miałem najwierniejszego współuczestnika wypraw myśliwskich, rzetelnie oddanego „ochraniacza“ mych terenów łowieckich... Rzecz dziwna i godna uwagi!... Na ile silną była jego „abominacja“ do kunsztu kucharskiego, za najlepszy dowód służył fakt, że nigdy nie zgadzał się osobiście, on, któremu znane były wszelkie „arkana“ najzawilszych „smakołyków“ — zgotować mi talerz buljonu lub parę jaj na miękko!... „On devient cuisinier — mais

¹⁾ Majątek mój na Ukrainie.

²⁾ Leśników po miejscowemu.

on nait rotisseur“ — mówią francuzi¹⁾). Ileż to razy prawie błagałem go na letnich, „dubelcio-cietrzewiowych“ ekspedycjach poleskich!... „Adamie mój! — proszę ze słoninką na krutonach“ — tak, jak to tylko Adam jeden robić potrafi — upiec parę dubeltów — przyrządzonych jak te w „Grand-Hotelu!“... Groch o ścianę!

...Wpadał natychmiast w fatalny humor i zgryźliwie rzucał!... Ja polować z Hrabią przyjechałem! — dość już „napiekłem“ się przy „plytach“ — wołę zjeść talerz uczciwego krupniku lub barszczu — który zgotuje nam żona leśnika!... albowiem barszcz przez babę wiejską zrobiony to jak wino!... żaden szef w Paryżu takiego nie zgotuje!...“ Cóż było robić!?... Strzelcem zaś oraz znawcą zwierza i ptactwa wszelkiego był wyśmienitym!... Z nowymi dla niego „objektami“ łowów, jako głuszce, łosie, cietrzewie — zapoznawał się bardzo prędko — dorównywując niemal starym „wygom“, praktykom błot poleskich. Jednym słowem, bohater sosów „cumberland“ i majonezów przeróżnych — homarów po „amerykańsku“ i kaczek Roańskich — okazał się z Bożej łaski myśliwym „de re et nomine“ — miłośnikiem i niemal poetą Przyrody!. Oczywiście potencjalnie — ów atawistyczny instynkt łowiecki Praojców — drzemal w nim od urodzenia i żadne ognie „płyt kuchennych“ wypalić go z Duszy Myśliwskiej nie zdołały!... Bywają rzeczy jeszcze dziwniejsze na świecie! — nieprawdaż czytelnicy najmilsi?

...Szeroko też popularną była sylwetka Imć Pana Adama w kołach moich znajomych z sfer świętego naszego Patrona!...

Gdy się tylko spostrzegło na peronie stacyjnym — cha-

¹⁾ Można się wyrobić na kucharza — atoli trzeba się urodzić mistrzem różna.

rakterystyczną postać mego poczciwego strzelca lub sumiaste, zaporoskie wąsy długoletniego służącego Maksyma¹⁾ — „Oto już niezawodnie hrabia Adam jedzie gdzieś na polowanie“ — jednogłośnie mówiono... I miano słuszną zupełną.

Ileż to „wydeptało“ się błot, lasów, moczarów, krzaków kraju całego — jak długi i szeroki w towarzystwie mych poczciwych satelitów — ile nocy przy ogniskach „kurzeni“ — na tokach — rozkosznie prześnionych!... Lecz „nie zawsze Wiosna bywa — i nie zawsze słowik śpiewa!“ — minęło wszystko, jak mija tęcza złotych snów dalekiej młodości! — niech przynajmniej hołdem będzie dla Nich ta wiązanka wspomnień wzruszonych — biednym mym przyjaciółom!... nieudolny „szkic węglem“ zacnych sylwetek wyrwanych z mar niepowrotnej Przeszłości!...

Będąc z natury, w gruncie rzeczy bardzo taktownym osobnikiem — z należytych „respektem“ dla mężów wyższych od niego w hierarchji społecznej — miewał jednocześnie oryginalny sposób „sans façon“ (w dziedzinie łowieckiej oczywiście) traktowania i szczególnie wyrażania się o właścicielach, chociażby najobszerniejszych terenów!

...Owi zkądinąd nieraz bardzo *nieźle* sytuowani obszarnicy — absolutnie mu nie „imponowali“!... „To prawda! że do cholery tych cietrzewi u Kieniewicza — lecz u Horwatta w Narowli — daleko więcej!

...A co do bażantów to niema jak *nasza* Wierzchownia i Biała-Cerkiew Branickiej! Podobno też u Potockiego w Antoninach — *nieźle!* — gorzej u Jaroszyńskich! Łosie tylko naprawdę u Radziwiłłów, szaraków nigdzie niema tyle, jak u Jurjewiczów na Podolu!... Albo ten stary

¹⁾ Gdzieś się bez śladu „zaprzepaścił“ podczas zawieruchy „bezkrwawego“ przewrotu — Adam zaś padł podobno ofiarą „rezunów“ bolszewickich razem z bratem Bronisławem.

Frantz cesarz z „bakenbardami“ — chyba dadzą się porównać jego głuszcze nawet do Dowgiellowskich z Petrykowa! — lub te, tak zwane kozice, sarny górskie Wiktorika Włoskiego! — do kozłów Sławuckich Sanguszki!... Nigdy w świecie!...“ Oprócz tego, jestem przekonany, że gdyby mego Adama Dymnicza wprowadzić nawet w grono Edwardów, Wilusiów, Habsburgów przeróżnych, z ich korpusem dyplomatycznym oraz „konstelacją“ całkowitą „arcy“, „wielkich“ i innego kalibru książąt świata całego — nie straciłby przenigdy „fantazji i rezonu“!... Napewno z jednaką swadą wyluszczałby swe „naracje“ — o „podchodach — czatach“ — „wydeptywaniu“ dubeltów — oraz uwagi życiowo-łowiecko-towarzyskie. Nie zważając na swe „zapanbractwo“ — nie pozwalał sobie na żadne uchybienie dyscyplinarno-obyczajowe... Nie mogłem tylko żadną miarą — oduczyć go od nałogowego „do cholery“!... Jak dzisiaj widzę przed sobą jego „ineksprimable“ — z jakiejś wiecznej, niezużytej materji skrojone! — marynarkę brązową — kapelusz „panama“ słomkowy, barwy myszatej, latem zajęczą, „nansenowską“ czapkę — zimą!... Strzępiasta, żółto izabelowa broda — długie wąsy a la Vercingitorix“ nadawały mu pozór Celtyckiego Wodza Starożytnej Galji!... Poczciwe zaś, prawdziwe „polskie“, nasze oczy — aż śmiały się z uciechy, kiedy to bywało zimą, znosił mi „gościnnie“ pęki całe kwiczołów strzelanych na jarzębinie rosnącej przed oknem jego domostwa — które stanowiły „delicje“ i przysmak dla mej małżonki!...“ Najlepszy z nich, to „chaudfroids“ — a do tego „majonez“ łagodny — przyczem obowiązkowo farsz winien być tylko z „truffles de Perigord“ — ale nigdy Nikifor „nasz“ nie potrafi tego zrobić!...“ „To możeby Adam?...“ „Za nic w świecie!... oto jeszcze co?!“ Zresztą i na „krutonach“ wcale nieźle, „majoranu“ tylko szczyptę

dodać dla „smaku“ trzeba i na wolnym ogniu przypiekać — do tego buteleczka dobrego „Nuits“ — albo „Volney“ temperatura pokoju, broń Boże nie podgrzewać na piecu! — to „rychtyk“ — „presse“ też dobre bardzo będzie!...“ „To proszę objaśnić i pokazać Nikiforowi!“ „Ale czasu niema! — zaraz trzeba jechać na staw „Horyczny“ podobno w nocy naleciało moc kaczek „hoholi“ — nawet gęsi do cholery!... Stary Androń z łódką już czeka!... Jedźmy panie Hrabio! coprędzej do cholery!“.

Jak sen! w Nirwany mgłę — gdzieś się to wszystko rozpyliło!... nektarem ukojenia w czarnych godzinach darząc... Minęło i nie powróci! — lecz skarbu błogich chwil przeszłości nikt nigdy nie wyrwie!... Śpij, odpoczywaj stary Przyjacielu! Myśliwy rzetelny... dawnego autoramentu!

„KINDRAD“

Z mgły przeszłości — na zawsze w Letę zapadłych, wskrzeszam szereg postaci wybitnie charakterystycznych. Nie zważając na kompletną zmianę warunków i otoczenia, ten sam święty ogień miłości ku przyrodzie i łowiectwu, da się jednak zauważyć w niejednym bracie z pod zielonego sztandaru św. Huberta, w dobie obecnej żyjących. Szczególnie wśród myśliwych „minorum gentium“. Coprawda, czasy się gruntownie zmieniły, lecz pomimo to, niejeden, często klusownik nawet — poleszuk Hryhor lub Wasyl — identycznie nieraz podobnym bywa do typów tych wiernych sług lat dawno zamarłych... W bardziej kulturalnych kraju połaciach: w Wielkopolsce, Kongresówce, już nie masz i mieć nie będziesz owych osobników, pierwotności pełnych... „à la Tourgienjeff“... Nie jedna sylwetka podobna istnieć mogła tam, wśród szerokich horyzontów Dzikich Pól, jeszcze jakby rozśpiewanych łopotem skrzydeł bohaterskiej husarji. Tam, w otoczeniu patryjarchalnym życia ówczesnych ziemian. Wtedy to wyradzała się najserdeczniejsza łączność między dworem szlacheckim i zagrodą włościańską... Tak dalece, że ludność miejscowa zawsze „za panów“ — właścicieli ziemskich — polskiej narodowości li tylko uważała — innych „rusyfikatorów - przybłądów“ — za intruzów poczytując... Dowodem czego nawet przysłowie rusińskie:

„Nykoły w swicie — z Iwana ne zdobysz pana!“... Później dopiero zażartą propagandą bolszewicko-komunistyczną, której podwaliną niezawodnie była długoletnia polityka rządów carskich czynowników, stale dążąca do wywoływania rozdzwięków między dworem a chatą chłopską, ów idealny stosunek zepsuty został, co zresztą „bokiem wylazło“ zarówno i rosyjskim „pomieszczykom“ w okresie „bezkrwawej rewolucji“... Lecz w ósmym 10-leciu ubiegłego stulecia panowała całkowita harmonja pomiędzy „hadami“ (tak zwano popularnie chłopów ukraińskich — bez cienia złośliwości jednak), i ośrodkami kultury, jakimi były, tak gęsto natenczas rozsiane śród jarów i stepów — siedziby szlacheckie... Zdarzały się wyjątki, lecz niesłychanie rzadko... Prawie że nigdy, — tam, gdzie na roli ojców osiadły dziedzic, zamieszkiwał stale — na kijowskie kontrakty się wychylając tylko — i nie opuszczając zagonów dla przeróżnych Nizz i Paryżów!... Wówczas możliwy był rozkwit osobników, jak sławetny „Kindrad“ z Turbijówki i inni podobni mu, o których mowa będzie...

* * *

Nikt właściwie nie wiedział brzmienia „paszportowego“ nazwiska słynnego „Myśliwca-dojeżdźacza“. Mówiono: Kindrad — basta... Gdy się wspomina o Napoleonie — wysoce zbędnem dodawać „Bonaparte“. Wielcy ludzie nie potrzebują „metrycznych“ zaświadczeń — nieprawdaż!... Jako żywa przedemną stoi barczysta figura owej znakomitości... Nic wspólnego zresztą nie mająca z dzisiejszym eleganckim strzelcem w wiedeńskim uniformie, dźwigającym parę „Hollandów lub Purdey'ów“ za swym nie mniej szykownym pryncypałem — podczas rzezi zajęczo-bażancich „kulturalnych“ łowisk!...

„Kindrad“ był to typowy, tak zwany „diad’ko“, czyli zamożny gospodarz ukraiński. Dziwnym zbiegiem okoliczności jak dwie krople wody podobny był do... greckiego filozofa Sokratesa... Gospodarka osobista nie interesowała go wcale, i w domu własnym nie bywał prawie nigdy. Sprawował jakieś arcy-problematyczne funkcje gumienego w gościnnym Turbijowskim dworze zacnego, czci-godnego sąsiada naszego, ś. p. Franciszka Potockiego — faktycznie obchodziły go tylko sprawy z myślistwem związane... Dniem i nocą, w pogodę wszelką, mając już siódmy krzyżyk, z nieodmiennym harapem za cholewą — na swym poczciwym koniku — harował nasz Kindrad, doglądając dobra swych panów, szczególnie zaś, dobytku lowieckiego... Nie mało mitręgi miał z tem wszystkim... Trzeba było wczesną wiosną już „dopatrzeć“ i dopilnować lęgu kaczek, skontrolować „wywódki“ ich na słynnych jeziorach turbijowskich, gwoli solennej inauguracji sezonu na podloty w dniu św. Piotra, czyli 29 czerwca. Później latem „wypatrzeć“ nalot bekasów i dubeltów na błota. Następnie złotą, cudną, ukraińską jesienią rozpoczynał się okres poważnej pracy... „Podwabianie“ gniazd wilczych, obławy kniejowe na nich, jakoteż na lisy i szaraki podczas walnych zjazdów nieomal sąsiedztwa całego... Gdy dodamy do tego „wyjazdy“ z chartami, lub też kombinowane lowy charcio-gończe, kiedy to z morza trzeć i oczeretów, z jeziorok zarosłych na dnie jarów, cicho drzemiących, „wypruwało“ się niejednego, chytrego „lisowina“ na konny posterunek, ze smyczą na wzgórku stojący... Zaśnieżoną zimą znowu szereg ekspedycji z kwiczącym prosiakiem... Szereg czatów przy padlinie... w noce rozgwieżdżone...

We wszystkich sprawach podobnych Kindrad stanowił wyrocznie... „Kindrad tak powiedział“ — „Kin-

drada trzeba posłać dla zbadania, czy warto zapolować, jak? i kiedy? w Leszczyńcach u Abramowiczów, czy w Wierzchowni u Rzewuskich?“ — „Na obławie myśliwych osobiście sam Kindrad rozstawiać będzie“. — „Kindrad donosi, że na Rudzie w Wasylówce multum dubeltów“. — „Kindrad mówił, że nowo wypisana zagraniczna „dziwerówka“ przez pana Zapolskiego, źle bije i zwierzyne „żywił“

Leitmotywym jednym słowem rozmów ziemiańskich było imię Kindrada we wszystkich formach i przypadkach... Zaiste, wart był tego zaszczytu i względów barczysty, krępy dojeżdżacz, kiedy to, mocno siedząc na swej kozackiej kulbace z pod brwi krzaczastych wzrokiem wodza „konfigurację“ terenu zbadawszy i wskazując harapem w jakimś kierunku, statecznie rzucał: „Styjte tuteczku, pane, z chortami — waga zwira na Rużyńskuju dubynu — wouk bezpremenno bude“ — (Proszę stać tutaj, panie, z chartami — kierunek zwierza będzie na Różyńską dębinę — wilk napewno przesmyknie się w tem miejscu); można było być pewnym, że szary przyjaciel przedefiluje, jak po strunie... Albo w lesie szepnął do swego patrona: „Pana Marszałka tra postawyt' koło „brodka“ — za krywoj berezoi — treba szczoby buł lys, a może i kozell — streljat' na pewno budut“ — (Pana Marszałka trzeba ulokować niedaleko brodu — za krzywą brzożą — powinien być lis, a może i rogacz — strzelać mu napewno wypadnie); spełniało się zawsze wszystko — po nutach rzekłbyś!... Będąc jednocześnie nadzwyczaj dyscyplinowanym, jednakże jeśli ktoś z myśliwych fuszerów wyrwał się jak Filip z konopi ze swem zdaniem — wtedy, nie zważając na żadne rodowe lub hierarchiczne stanowisko, Kindrad podchodził i całując w rękę z taktem, stanowczo wyjaśniał bezpodstawność twierdzenia. „Ależ

mój panie dobrodzieju, kiedy już „Kindrad“ tak dowodzi, to „presse“ tak być powinno! — tak jest!...” Do swych panów i całej ich licznej rodziny niezmiernie był przywiązany. Szczęście też, że nie doczekał się widoku bolszewickiej ruiny i zniszczenia pięknego turbijowieckiego i innych okolicznych dworów. Nigdyby nie przeżył tego zacy ten czerstwy staruszek, którego widzę smutnym takim w kredensie podczas zawiei zimowych ze szklanką herbaty, bo wódki nie używał wcale! „Oj niehoda! niehoda! — a bude wesna na dwori! — dożywem taki!“ (Oj! nieszczęście! nieszczęście! — a wiosna nadejdzie! — dożyjemy i do niej jednak!). Gdzie się to wszystko podziało!? Gdzie są owi starzy, przywiązani słudzy!? — gdzie ta obfitość chleba powszedniego!? — gdzie ta falanga pocziwych próżniaków-rezydentów przeróżnych, jak ów daleki nasz kuzyn na parę dni niby to przybyły, który potem latami całemi przesiadywał!? — Gdzie te serca i dusze naścieżaj otwarte!? — Wiele, wiele przeżyć rozkosznych posiadaliśmy — jedynej świętości nam brakowało... Ojczyzny!... — przenigdy w sercach... bo tam wiecznie żywa była... Dożyliśmy do wymarzonej nareszcie!... Więc bądźmy szczęśliwi!!!

ANTONI ZAPOLSKI

Sądę, że w wirze przeżyć chwil bieżących nader ciekawą rzeczą będzie rzucić okiem wstecz, na szereg postaci poprzedzających pokoleń, wśród których nie jedna odzwierciedlała w całej pełni, ową tężyznę kresową, dla której to, wobec czarnej nocy ówczesnych warunków politycznych, jedynym polem działalności pozostawała li tylko żmudna praca na roli zagonów ojczystych oraz w charakterze powiedziałbym kultu, a nie rozrywki, z taką miłością przez czcigodnych antenatów naszych uprawiane Myślistwo!

Niektóre z tych sylwetek promieniały rubasznym humorem.

Często nawet spotykałem osoby z konfraterni „minorum gentium“ łowców, co to „platonicznie“ nieraz aż „trzęśły“ się do polowania! — nie zważając, że im się zabiegi redukowały do zera, bądź z powodów fatalnych gatunków posiadanych, sznurkami i drutem podreparowanych, odwiecznych „kapiszonówek“, bądź, nieodpowiednich warunków posiadanego wzroku, nareszcie z tej prostej przyczyny że bywali na terenach tylko, jako „towarzyszący“ polującym w rolach wioślarzy na łódkach, „dojeżdżaczy“ — przy chartach, kucharzy, giermków przybocznych i t. d...

Lecz i ci nawet, zasługiwali na miano „myśliwców“,

gdyż obznajmieni byli gruntownie „aż do jądra gęstwiny“ z błotnemi przestrzeniami „oczeretów“ — „ostrówków“ leśnych, z których to „wypruwało“ się chytrze lisy, z bezgranicznymi stepami „dzikich pól“, na których stare „gracze“ szaraki tak często z najgorszych opresyj — fortelami, salwowały swe zajęcze skórki! Tak samo zarośnięte trzciną i łozami „helawy“¹⁾ stawów — przytuliska barwnych kaczek i gęsi! — „rudy“²⁾ — na dnie, cichych jarów drzemiące, a pełne bekasów, dubeltów! Wszelkie tajniki rodzimych łowisk, jako też „arkana“, zwyczaję zwierza i płaćwa Bożego — wyśmienicie wiadome były z krwi i kości nemrodom wołyńsko-ukraińskim! Gorąco miłowali Naturę — pościg, zdobycie zwierzyny — nawet przez innego — to była dla nich rozkosz ich życia — niezrównana, jedyna!

* * *

...Z mgły lat ubiegłych, jak żywa, wskrzesza szlachetna postać, jednego z naszych najbliższych sąsiadów ś. p. Antoniego Zapolskiego — niby ze śpiżu odlana sylwetka Mistrza kunsztu łowieckiego — „venatora de re et nomine!“

Cudem jakimś, uniknąwszy deportowania „na Sybir“ za udział w powstaniu 63-go roku — po katujących tułaczkach w całym szeregu „tiurem“, tak zwanego przez Moskali „południowo-zachodniego“ kraju, osiadł pan Antoni w rodzinnej Wasylówce o kilka wiorst od naszej Wierzchowni! Trzecia część tylko tego kilkuset-morgowego majątku stanowiła własność czcigodnego adepta Ś-go Huberta, wraz ze skromnym staroświeckim dwor-

1) Jeziorka wodne, czyste przestrzenie na stawach, wśród roślinności akwaticznej.

2) Błota, wśród stepów.

kiem praorców jako siedzibą. ...I od tej chwili oddał się tylko i wyłącznie ukochanemu Łowiectwu! ...I od tej chwili na małym swym zagonie był szczęśliwym i uszczęśliwiał otoczenie!... Co za los!... zaiste, godzien pozazdroszczenia! ...Dobrą sąsiedzką radą, skromnym datkiem, przychodził zawsze odtąd każdemu z pomocą!... Czy to, Jaśnie Panu Dziedzicowi z okolicy — czy „gromadzie“ albo „diadkowi“ — chłopu (przesłemu i... przyszłemu niestety! „rezunowi“!) z wioski, bądź „kahalowi“ starozakonnych z pobliskiego miasteczka... Serce i kieszeń ś. p. Pana Antoniego dla wszystkich, na ścieżaj — otwarte zawsze były...

Dla nas młodych czcicieli świętego Patrona był on wyrocznią bezapelacyjną i wzorem do naśladowania. ...Pouczał całe pokolenia podrastającej braci myśliwskiej swemi głęboko fachowemi opowiadaniem i wskazówkami z dziedziny swojskich, naszych ukraińskich rewirów, — zwierzostanów obecnych i dawnych, sposobów i metod polowania... Każde słowo jego nacechowane było bezgranicznem umiłowaniem Ojczyzny, a zwłaszcza naszych Kresów, krwią pokoleń ojców przepojonych, nawet miejscowej ludności „rezuńskiej“ — z otoczeniem tak zrosniętej, że pomimo wszystko była nam bliską!

Tchnęło to taką poezją i prostotą bezgraniczną jak prostem było przodków naszych życie... W dworku swym mieszkał samotnie, — lecz zawsze ktoś był u niego w gościnie, lub sam pan „didycz“¹⁾ — wybierał się na wyprawę latem na kaczki, kszyki, przepiórki — jesienią na „oblawy“ w sąsiedztwie na wilki, lisy, zające, niekiedy na sarny (podówczas nie wiele ich posiadały nasze „dzikopolańskie“ knieje), zimą — zaś na „czaty“ i „objazdy“

¹⁾ Dziedzic po rusińsku.

z kwiczącym prosiakiem, w mroźne, wygwiażdżone noce za „rozamorowanymi“ lupusami! A wiosną czarowną hajda! coprędeż do krewniaków na rojsty Polesia staro- go, dla spotkania się z głuszcem królewskim, lubieżnym trubadurem, cietrzewiem, tajemniczą słonką!... W przerwach? — szykowanie ładunków, broni, przyrządów myśliwskich, — obmyślanie planów przyszłych wyjazdów, oraz czytanie kronik przy kominku i opisów łowieckich, rozkoszowanie się opowiadaniem przeżytych już ongiś wrażeń na tle obfitości homerycznej ówczesnego zwierza i wszelkiego ptactwa!... Jednym słowem, po załatwieniu niezbędnych spraw majątkowych — nic! absolutnie nic więcej na świecie go nie interesowało i nie obchodziło zacnego naszego sąsiada... Raz na zawsze nawet, wytworzył był sobie, odpowiednie dla swoich potrzeb i wymagań miejscowych, strój — uniform myśliwski — z którym nigdy i nigdzie się nie rozłączał... Pamiętam dobrze wysokie buty juchtowe, z jakiejś specjalnie „wiecznej“ materji „hajdawery“ barwy myszatej — kurtkę łosiową z palonej skóry — misterny kaszkiecik z daszkiem z otworami „wentylacyjnymi“ — z nieodłącznym „haramem“ zawsze przy boku!...

Po nad tem wszystkim „burka sławucka“, lecz specjalnego, „kaukazkiego“ kroju, w którą szczelnie owinałszy się, nie zważając na swój siedemdziesięcioletni wiek — na myśliwskim drabiniastym wozie lub „linijce“ omnibusie, z kłatką dla psów pod siedzeniem — najdłuższe zawsze odbywał po kraju „peregrynacje“ — nie zważając na żadne śnieżno-stepowe zawieje zimy, listopadowe szarugi, lepkie, jesienne błota, ani wiosenne roztopy... Z nieodłączną fajeczką w zębach.

Pod sumiastym, białym wąsem, uwydatniał się orli, zacny, prawdziwie staropolski profil! Rzekłbyś, jeden

z tych staroświeckich łowczych w Nalibokach, Łachwie lub innej puszczy Radziwiłłowskiej przed laty osiadłych... Te same, co u antenatów z zamierzchłej przeszłości poczciwe, jasne, jakby wyblakłe oczy z pod brwi krzaczastych z ufnością i dobrocią na świat Boży spoglądały...

„Najsolenniejsze zebrania, „assamble“ — ba! bale ziemiańskie nie mogły nigdy wymusić zmiany, lub „zmodyfikowania“ raz na zawsze przyjętego kostjumu!... Było to „à predre ou à laisser“, — pogodzone się z tem narzecie i ze szczerą, kresową „kordjalnością“ w dworkach szlacheckich, czy siedzibach magnackich kochany pan Antoni był zawsze i wszędzie radośnie witany!...

Otoczenie balowych strojów pań — fraki elity obywatelskiej jako tło tak odmienne — nie raziło nikogo natenczas!... Coprawda „snobizm“ nie był jeszcze wówczas panem wszechwładnym!...

Dziwnem by wydało się nawet, niemal że katastrofą — ukazanie się jego w innym przebraniu...

Z jakąż to radością, my dzieci, a później już pseudomyśliwi, poczynający „polować“ z fuzyjką na trznadle, szpaki, wróble, a potem nawet na tak grubą zwierzynę, jak sójki i sroki — oczekiwaliśmy na zapowiedziany przyjazd do nas kochanego pana Antoniego... A lubił on dźwięk i młodzież okrutnie! ...To też podczas gdy orkiestra wędrujących, tak zwanych „Czechów“¹⁾ rznąła w przedpokoju eleganckiego „kontredansa“ lub skonwokowana ze Skwiry lub innej Taraszczy kapela mistrza rudego Abramka grała dziarskiego mazura, przy dźwiękach którego rażno hasały młode i stare pary — starszyczyna powa-

¹⁾ Były to, doskonałe zespoły dymisjonowanych żołnierzy muzykantów armji austriackiej — różnych narodowości, które wędrowały po Ukrainie, Wołyniu i Podolu, przygrywając na festywnach ziemiańskich lub „tak sobie“ od dworu do dworu!

żna zaś i matrony zasiadały do „bezika“, „preferka“ — my młode latorośle — godzinami obsiadłszy starego Nemroda przy kominku, na którym „buzował“ rzetelny ogień ze szczap i karczy dębiny — z zapartym oddechem delektowaliśmy się jego „naracjami“ o nadzwyczajnych wypadkach i przygodach łowieckich — bajkach o „wilkołakach“ opisach wyjazdów nocnych z prosięciem i tyłu, ciekawych lub arcyzabawnych historii i epizodów.

...Później, kiedy to niejeden z nas już „spuścił“ swoją „pierwszą“ przepiórkę, kaczkę, kuropatwę lub nawet zrułował zająca — z jakim to animuszem opowiadano każdy szczegół „wstrząsającego“ dramatu! — niemal epokę życiową — naszemu kochanemu przyjacielowi!... Jeszcze później — kiedy do tych trofeów zaczynało się mieć w swych „aktywach“ bystrołotne bekasy, dubelty, lisy — nawet wilczka należycie loftkami „naszpikowanego“ nieraz — o! wtedy to dopiero rozjaśniały się zacne oczy, pełne tężyzny stepowej, czcigodnemu starcowi! Udzielał on nam rad, wskazówek — rozmaitych sposobów nauczał — walk ze zwierzęcą przebiegłością, ze zmiennością aury i klimatycznych warunków — płochych nieraz, jak piękna kobieta.

...„Pamiętajcie zawsze moje dziatki „na chytróść, jest mudość“ — powiedział, nieraz z ukraińska zarywając!

...Tak to „dyszkurowaliśmy“ długie wieczory zimowe z ukochanym Mentorem i Nestorem naszym ówczesnego Łowiectwa!... Miłyż mój Boże! gdzież się to wszystko podziało?... Gdzież są owe przezacne postacie staroświeckie, pełne pocziwości i pogody życia!

Gdzież myśliwcy dawnego autoramentu?

Cześć Ich wiecznie żywej Pamięci!

„ANDRÓN“

Strzelby zapewne nigdy w rękę bohater mych wspomnień nie trzymał — a jednak był to myśliwy, w całkowitem tego słowa znaczeniu!... Z zawodu pełnił funkcje rybaka na naszych obszernych Wierzchowieńskich ¹⁾ stawach... i oczywiście na skutek tego przeznaczony został na wożenie łódką adeptów Ś-tego Huberta na kaczki, gęsi i błotne ptactwo wszelkie... Mistrzem też był w swoim kunszcie!... A rzecz to była nie łatwa!... Labirynt albowiem, tak zwanych „halaw“ — zatok — rzeczulek i kanałów zarośniętych zmieniał rok rocznie swą „konfigurację“ stosownie do stanu pogody, poziomu wód, kierunku wiatrów nawet!... Komu są znane owe sztuczne wodozbiory stepów Wschodnich Kresów „stawami“ zwane — ten należycie potrafi ocenić niezrównaną wartość współudziału podobnego „artysty“ w dodatnim łowów wyniku!... Taki, na przykład staw jak nasz Wierzchowieński „Horyczny“ o sześćdziesięciu hektarach „czystej“, to jest niezarośniętej wody, a około dwustu pięćdziesięciu „wierzchowy“ pokrytej morzem trzciny, oczeretów, łoży na bezdennych topieliskach nieraz rosnących — niełatwym był do zbadania! — tembardziej do przeniknięcia łódką „płoskodką“ — w zakamarków swych mroczne tajniki!... Sta-

¹⁾ Majątek nasz na Ukrainie.

nowiło to poniekąd cały „swój“ świat odrębny... żyjący „swoim“ właściwym trybem!...

Mocarstwa i trony mogły się w gruzy walić — pokolenia ludzkie wzajemnie mordować!... kataklizmy pełne tragizmu „Królami Przyrody“ miotać! nie jednak nie mogło zmienić odwiecznych warunków *stawowego* bytowania!... Dlatego też czar i urok „zatapiania“ się jestestwa całego w bajeczny spokój drzemiących moczarów — lub w obserwacji nurtujących to środowisko ciągłych walk życia roślinno-owado-ptasio-zwierzęcego — stanowiły rozkosz prawdziwą!... Jeśli nauczył się tak gorąco kochać i odczuwać całe piękno naszej polskiej przyrody — w znacznej mierze zawdzięczam to pierwszym, dziecięcym „ekspedycjom“ na kaczki łódką z poczciwym Androniem!... Nasz staw ukraiński! — zdradziecki, tajemniczy! — pieśczoć i estetyki jednak pełny! — to jak psychika i serce pewnych kobiet wybranych — których potęga czarów na zawsze niewolnikami czyni tylko szczęśliwców, którzy przeniknąć umieli w skarbiec ich dusz niewieścich — starannie przed banalnym wzrokiem ukrywanych!... Przeciętną kobietę się kocha! — podobną — raz na zawsze ubóstwia!...

* * *

Cała sylwetka mego pierwszego i długoletniego mentora *stawowego*, zarysem swym oraz barwą twarzy przypominała raczej wodza jakiegoś szczepu indjan, z powieści Fenimora Coopera lub Gustawa Aimard'a... Spalona od słońc i wiatrów na miedziano-czerwony kolor, skóra — wybitna małomówność z ludźmi mało mu znajomymi — rzeczowość telegraficznego stylu zdań. Milczący, rzekłbyś w samym sobie stłumiony śmiech — jeszcze wyraźniej podkreślał to podobieństwo!... „Paniczu, dziś na „długiej“

będą „krzyżowe“ — na ¹⁾ „Telegramie“ — cyranki, a dopiero na „rozlewie“ — podgorzałki. „A dlaczego, Androniu, wczoraj było inaczej?“ „Bo był wiatr“. „A polowanie uda się?“, „Kaczki „som“ — i dużo! — lecz czy „trupy“ będą? — strzelanie panicza pokazel!“ A ten Pan co to z Kijowa przyjechał i jeździł z Androniem, dlaczego tak mało zabił?“ „Miastowy“ człowiek! — stawu, łódki i kaczek „nie rozumie“ — bo „każdą“ rzecz trzeba paniczu „spraktykować“ — ot nawet zachód słońca! i ten trzeba *rozumieć!* — „iński“ patrzy, patrzy jak baran i nic niewidzi!“ Ja, zatrzymam sobie łódkę, „nie dycham“ prawie i godzinę patrzeć będę jak niebo czerwonom się robi rankiem albo „gaśnie“ wieczorem — bo ja „rozumiem“. „Ja szczęśliwy jestem jak rybka „wypluśnie“ się z wody, jak kaczka z oczereta poderwie się — albo tak ładnie po strzale „chlupnie“ aż bryzgi polecą! — gdy żuczek wodny „śmiesznie“ tak po „rosce“ łapkami przebierać zacznie — skrzydłata, panienska“ przeleci! kulon czy czajka się odezwie! — żabki zarekoczą — a do tego słowiki w maju, ptaszki przeróżne po łożinach zaszczębioczą — o wtedy żyć i nie umierać nigdy!... „Paniczu serdenko! nieszczęśliwy ten człowiek, co bez stawu, bez łódki, bez ryb i kaczek żyje — „miastowe“ życie! — to gorzej piekła! — światła niema słoneczka — latarnie tylko! — złość ludzka! — smród! — śmiechu warto!“ Tu, następował zgrzyt zduszonej w gardzieli wesołości u sławetnego filozofa — estety. Co to za radość bywała, kiedy w szarugach listopadowego wieczoru meldowano „Androń z Horycznego przyszedł, chce się

¹⁾ Nazwa pewnego wąskiego przepływu, w którym ustanawiała się sieć „żakiem“ zwana, u nas wężerzem! Gdy ryba z dolnych części stawu poczyniała iść przeciw prądowi — trafiała w matnię, mówiono „daje telegrammę“, że czas już stawić wężerze. Co za wyrafinowana obserwacja i znajomość rybiej psychologii!

z paniczem rozmówić“... Wychodziło się wtedy do oczekującej w przedpokoju, nieco zgarbionej postaci, o cerze maura z Wenecji — w kubrak z brązowego samodziału z zielonym pasem przyodzianej... Oczy, aż skrzą się od rzetelnej uciechy ...rzeźwość bije od ukraińskiego gondoljera!. W rękę ucałowawszy, z godnością wielką, bez cienia serwilizmu, — ot tak! „odserca“ calego! „Paniczu! — jak mrowia naleciało wczoraj „hoholi“ — a tych „szerokonózek, świstunów „długoszyjek“, — gęsi, „sybiraki“ też „som“ — łabędzi widziałem! — a co naszych „krzyżowych i cyranek“ — nie naliczyć się! — lecz i tych „zagranicznych“¹⁾ — to chmury cale paniczu! Trzeba o piątej rano już być na Długim jeziorze na „przelocie“ — przy dniu objedziemy wszystkie zakamarki — dobrze, że jeszcze woda dotąd się nie ścina — nie zamrznięta, to po brzegach pojedyncze kaczory „porywać“ się będą! Później po odkrytych halawach „stadowe“ łapić będziemy! Bronio jedną łódką pod groble stanie — Adaś od Bystrówki patrzeć się będzie — a my na ostrówku dopiero „fernapiksu“ im zadamy! — z kopę nazbieramy paniczu. — Doskonale! — dziękuję Androniowi! — może kieliszeczek wódki na rozgrzewkę i coś zakąsić!“ „Dziękuję paniczu! — wódka, a jeszcze z pieprzem wodnemu człowiekowi zawsze rychtyk potrzebna jest! — nigdy nie zaszkodzi. Rozpoczęła się nieskończona konwersacja o najdrobniejszych szczegółach nadleciałych, kaczyczych zwierzostanów! Krótkie relacje ogorzałego Otella i nareszcie rozstanie się z akwaticznym przyjacielem!... „Tylko paniczu! — broń Boże nie później piątej rano już być na stawie; nakazywałem Maksymowi „budilnika“ postawić! Nikiforowi¹⁾ przyszy-

¹⁾ Tak nazywał Androń wszelkie gatunki przelotu — nie lęgowe u nas.

¹⁾ Kucharz nasz ówczesny.

kować „zakuski, horyłkę“ — bo do późnego wieczoru na wodzie przysiedziemy — „bawajta zdroweńki paniczku!...“ Cmok w rękę i niema go już... a mną ogarnia radość i... nadzieja złotych snów!...

* * *

Poświsty smutnych dni jesiennych, pierwsze tchnienia wiosny-czarodziejki — złote, żarem ziejące dni letnie — wszystkie te chwile spędzone na toniach wód stawów rodzimych w potokach przepychu koloryzacji barw, lub pastelowych półcieniach — wśród woni rozgrzanej roślinności i ścielących się nad głową trzcini i oczeretów — przeżyłem cały ten błogosławiony okres dzieciństwa i pierwszej młodości i zawsze razem z wiernym moim Androniem!... Nadleciał duch zła!... Demon bolszewizmu, kamienia na kamieniu nie pozostawił z tak pięknej niegdyś Wierzchowni!... Czy egzystuje jeszcze nasz staw Horyczny?... Jeśli tak — to napewno żdźbło błotnej trawki każdej z moczaru wyrosłej, pięknem jest jak niegdyś! Estetyka lotu cyranki ta sama, co ongiś przed laty!... Ahaswer piekielny — niszcząc do szczętu wszystko — bezsilny jednak wyrwać z duszy naszej klejnot najdroższy! — wspomnienia! — z których też nieraz powstaje nadzieja odrodzenia... Jakoteż pierwiastek piękna natury!... Zohydzić wszystko można! — lecz promień gry słonecznej jednakim blaskiem pięści kwiat rosą poranku operlony i robaka w zgniliznie duszącego się!... Przyroda „semper vincit“! Dzięki Jej! Dzięki Ci, przyjacielu prosty — jak prostym jest każdy odruch miłości prawdziwej! — Kierowniku mych pierwszych poczynań myśliwskich — z którym tyle „dyskursów“ nad powierzchnią o barwach stali i błękitu odbyłem! — tyle godzin błogosławionych w mrokach wilgotnych rozkosznie prześniłem — tyle nauk

Twego doświadczenia zapożyczyłem na zawsze!... Nie darmo żyłeś na świecie Bożym szerokim rybaku prosty! Napatrzyłeś się na tyle śliczności — zawsze je rozumiejąc i drugim je zachować przekazałeś!... Spełniam nakaz!... Śpij!... Odpoczywaj przyjacielu lat mej młodości złotej!... Strzelby w rękę bodaj nie miałeś nigdy w życiu, lecz duszą myśliwską byłeś w całkowitem słowa tego znaczeniu!...

NIKIFOR CZERNIUK

Jeszcze jeden typ — absolutnie zdawałoby się nic wspólnego z łowiectwem niemający, a jednakże przedziwna Dusza Myśliwska. Podobnie do Adama Dymnicza już przezemnie opisanego — żar płyt kuchennych — cień rondli i patelni — wyhodowały i tego też z Bożej łaski Nemroda... Czyżby, doprawdy kunszt „Vatella“, działał o tyle pedagogicznie pod względem miłości przyrody i atawistycznej chęci do polowania?... Rzecz dziwna i godna uwagi... Lecz zdarzają się pod słońcem — stokroć dziwniejsze rzeczy. Ów kuchcik, klasyczne „popychadło“ został późniejszym naszym wybornym artystą kulinarnym, Wierzchowieńskim. Zaprawdę nigdy i nigdzie nie jadalem takich arcydzieł, jak „wytworzone“ przez niego „dubelty na grzankach“, „chłodnik z rakami“, „punch z rumem“ oraz zupełnie zagadkowa, „création“ nazwę nosząca „kurczęta z kuropatwianym smakiem“... Od lat najmłodszych rwał się poprostu nasz Nikifor do lasów, stawów, bagien i... strzelby... A była to miłość do flinty — więcej niż platoniczna, gdyż podobnego kalibru pudlarza — nie zdarzyło się nigdy w życiu spotkać. Absolutnie nie pamiętam prawie, żeby jaka sztuka z jego ręki padła. „Dostała — „we środek“ paniczu i dlatego „sztuka“ poleciała — lecz „kiedy, gdzieś“ — napewno spadnie“. Ów niezbity „aksjomat“ — zupełnie zadawał niesfortunnego strzel-

ca, tak bezinteresownie i bezkrwawo uprawiającego łowiectwo. Lecz za to, co to za radość bywała, gdy czasami „dziwnym trafem“ o „samobójczych“ inkliwiczach obiekt — łaskawie rzeczywiście „padal“ — lub poprawiony“ przez kogo innego „dochodził“ od Nikiforowskiego śrutu. Błogość niezmierna — iskra triumfu zalewała wtedy całą ospowatą twarz o zezujących oczach poczciwca — naszego kuchennego bohatera. „Bo to paniczu, każda strzelba bić dobrze nie może, ot, naprzykład paniczowska bije przednio — a moja pozał się Boże“. „To niech Nikifor z mojej poprobuje“. Nie zgadzał się nigdy na taką kombinację... „Ja, do swojej pistonówki „ułożony“ — a z tych pańskich „patronówek“ — boję się nawet, djabeł wie... co tam w tej gilzie siedzi — ot, jak „nasypię“ sam nabój na oczach, przebiję pakułami, założę piston na kominek, to już jestem pewien, że żadna „cholera nie zdarzy się“ „No, to niech Nikifor sam ładunki dla siebie zrobi“. „Et! nie mam czasu na to — to z obiadem, to z kolacją trza się „rychtować“ — to lepiej z paniczem na staw Horyczny pojedziemy — panicz bić będzie a ja „poprawiać“. Istotnie, po każdym mym strzale rozlegał się donośny „dublet“ samopału mego towarzysza, sztuka padała, lub nie — radość Nikifora była zawsze jednaka. Dlatego też „pasjami“ lubił „wozić łódką na kaczki“. Do chytróści godnych Irokezów uciekał się, żeby tylko „zamienić“ zwykłego „gondoljera“ — słynnego mistrza tej sztuki — rybaka Andronia. Uprawiał też kunszt dojeżdżacza-amatora bez liku, ciągle z konia, dobrodusznego „liczykopy“, spadając haniebnie. Pomimo jednak nieustannych „szwanków“ z lubością towarzyszył z „chartami“ i na „oblawach“, nie mówiąc już o czatach“. Nocami całymi, po zmudnej pracy, gotów był „wysiadywać“, po pas nieraz głęboko jesienią w wodzie połowych jezio-

rek, oczekując „zapadu“ kaczek, do których naturalnie „walil w kupe“, tylko do „siedzących“... na „kapustnikach“; zimą mając nadzieję spotkania szaraka na „wychodnego“..., dobami też przy norach lisich i borsucznych. Do tego był ostrożny i przezorny wielce. W owe zamierzchłe czasy u nas, na Ukrainie, zajęc leśny stanowił rzadkość niemal, natomiast aż się „roilo“ od lisów i wilków. Jeździło się podówczas na nie w mroźne, rozgwiażdżone noce lutowe z archaicznym już dziś prosiakiem. Doszło pewnego czasu do uszu Nikifora, że przy leżącej na jednej z dróg padlinie końskiej zbiera się na gody gastronomiczne po kilka sztuk wilków w nocy. Oczywiście, żyłka myśliwska wzięła górę i nic nie mówiąc nikomu, „solo“ zasiadł o zmroku w przydrożnym rowie nasz Nemrod zajadły. Cicho i pięknie było naokół. Mróz siarczysty niemilosierdzie szczypał nie bardzo pewnego siebie bohatera. Każde wycie psa z pobliskiej wioski potęgowało niesamowite dreszcze. Trapiły „refleksje“ — jeżeli kaczka we „środek trafiona“ nie każda zawsze „spada“ — to jeszcze biedy wielkiej niema, lecz „hadka“ będzie sprawa, gdy kilka wilczków z mroków „wylezie“, a prawie pewna „ewentualność strzałowa“ nastąpi. „Lepiej wrócić do domu, na swój przytulny „zapiecek“ w piekarnianej kuchni — a jutro „machnąć na koty“... Stanowczo bezpieczniej i zdrowiej, lecz, pomimo głosu rozsądku — „ochota myśliwska“ wzięła górę. Wilki na szczęście nie „połakomiły się“ tej nocy na oczekujący już znajomy „specjał“. Nikifor zaś, nad ranem na wpół zamarzły, poznany został przez przechodzącego na stację kolejową, miejscowego chłopadiad'ka. „Czy ne baczył wołkiw?“... (czy nie widziałeś wilków?) — rzucił trwożliwe zapytanie. „Ani żadnoho“ (nie widziałem żadnego) — była odpowiedź. „No, to jakby spotkał, to mołczy! ne każy im, szczo ja tuteczka w rowie siżu i na nich czekaju“. (No to

jakbyś spotkał — to milcz! i nie mów im, że ja tu w ro-
wie na nie oczekuję)... „Dobre pane kuchar, budu moł-
czat“... Rozbębnił jednak chłopisko cały ten komiczny epi-
zod. Spowodowało to całą ulewę kpin i żartów odnośnie
do tak głupio tchórzliwego łowca. Osobiście jestem prze-
konany, że gdyby natenczas całe stado nawet „lupusów“
okrążyło samotnego Nikifora, nie wytrzymałaby żyłka my-
śliwska i nawet pewnym będąc „klapy“, nie zawahałby
się „palnąć w środek“, nie zastanawiając się nad możli-
wymi konsekwencjami.

* * *

W kilka dni później zato poszedł znowu na „za-
siadkę“ — lecz, już w towarzystwie naszego przyjaciela,
pierwszego mego mentora na polu łowieckim, kochanego
Bronia Dymnicza. Tym razem poszło wyśmienicie! Od
celnego bowiem strzału Bronia „zrulowała w ogniu“
ogromna, stara wilczyca i „zdublowanym“ został drugi,
ładny też bardzo „zmykający“ okaz. A było tego robac-
twa — jak określił Bronio — coś ze dwadzieścia sztuk.
Oczywiście, że waleczny Nikifor też „poprawiał“ leżące
już, szamoczące się w agonji na śniegu, okazałe sztuki.
Co to za radość! jakie szczegółowe „naracje“, później dłu-
gimi wieczorami zimowymi, kiedy to w białej kurtce, far-
tuchu, profesjonalnej szlafmocy na głowie przychodził do
kredensu na „dyspozycję“ zacny ten adept Św. Huberta.
Lecz, pomimo tych triumfów, już nigdy więcej nie sły-
szałem, żeby „samotnie“ na czaty wilcze chadzał.

* * *

Obserwatorem zwierzyny i ptactwa wszelkiego, znawcą
ich obyczajów i nawyknień był też doskonałym. Bywało,
my, dziatwa, spacerując po parku wiosną i latem w go-

dzinach wolnych od nauk, zastawaliśmy „in flagranti“ naszego „officier de bouche“ leżącego nieruchomo w trawach gazonów, lub zaczajonego wśród kwiatów rozkosznej flory leśnej. „Cicho, cicho, na miły Bóg, paniczu! bo spłoszył się!“. „Kto taki?“. „A no słowik!... tak ślicznie „żałobnie“ śpiwa! aż trzęsie mu się całe gardziółko plakać chyba tylko... Niedawno też na tej suchej brzozie siedziała siwowronka (kraska) — ślicznie błękitna taka, tam dalej „sorokoput“ chrząszcze na cierń głogowy „nasadza“. Co to za ptak mądry! zapasy sobie, jak do spiżarni, robi, a tych szczygłów, zięb, drozdów i kosów zatrzesienie całe, raj, jednym słowem paniczu!! „prosto“ raj! co za szczęście, że na naukę oddali mnie państwo do starego Szymona w Hajworonie (majątek ś. p. matki mojej) a nie do jakiegoś Francuza czy Niemca do Kijowa, jabym zdechł tam ze zgryzoty, bo tam paniczu za żadne pieniądze tych śliczności nie zobaczysz, lecz za to tu człowiek kiedy przy „płytach“ za cały dzień „namorduje się“, lecz później „wynosi się“ czy z fuzją, czy tak nawet do lasu, w pole, na staw, „każda zgryzota minie, czegoż więcej do szczęścia potrzeba! paniczu, żyć i nie umierać nigdy..., a kiedy jeszcze „palnie się“ do kaczora, zająca, no, niech sztuka nie spadnie nawet, ale serce aż skacze z radości! wszystkie „kiepskości do cholery“ idą!...“

* * *

W owe czasy polowano jeszcze u nas z gończymi (ogarami). Kilka smyczy tych pocziwych piesków znajdowało się pod wyłączną „kustodją“ Nikifora. On też je „nataskiwał“ w pogodne, majowe ranki na „rosę“, później, jesienią i zimą. uczestniczył w koncertach wokalnych kilku „sfor“ podczas polowań „na obławach“. Zaiste, że podobnej koloratury przeróżnych „kot! kot! kot! —

szpory! szpory! — nie daj! nie daj! hudźgo! hudźgo!“ — nie posiadała żadna „gwiazda“ włoska! Precz z Sembrich, Battistinim, Boronat! Co za bicie serca, gdy, bywało, stojąc na swoim stanowisku pod tradycyjnym „dębem starym“ lub na „górcie“ pod lipniakiem, skąd widok rozlegał się na zarośnięte brzeźniakami błoto, „delektowało się gonem“, oczekując lisa lub jednego marnego szaraka! Raptem: „aj, jaj, jaj, jaj“ „gon“ piesków na „oko“ i wali zajaczek prosto pod nogi „na sztych!“ Strzał! jest! jest! jest! Nikifor! Nikifor! bywaj! bywaj!“... W kilkanaście lat później w tych samych miotach padało na walnych, dorocznych polowaniach 300 — 400 zajęcy, lisów naturalnie prawie że „vacat“. Serce myśliwego-hodowcy „srodze“ radowało się od widoku, jak z rogu obfitości „sypiących się leporydów“ od celnych „recordowych“ strzałów zaproszonych, klasowych strzelb! lecz dusza myśliwca-przyrodnika cicho z żalu płakała, za tym jedynym, biednym, struchlałym z trwogi szarakiem — tyle napięcia dającym ongiś — w mgłę złotych lat pierwszej młodości. Serce bolało myśląc o poczciwych, oddanych istotach, które były pierwszymi towarzyszami sławetnych ucich łowieckich w wiosnie życia! Dziś nędza i rozpacz panują na tych niegdyś błogosławionych terenach. A tymczasem cudny kwiat miłości do przyrody i łowiectwa rozkwita, jako przed laty, w duszy dzisiaj już, dzięki Bogu, „sześćdziesięcioletniego panicza“.

Zacny mój Nikiforze! Wiązanekę tych skromnych, błękitem upojeń i marzeń przeszłości przepojonych kwiatków, z wdzięcznością Twej pamięci składam!

**KRONIKA ŁOWIECKA.
WSPOMNIENIA. NOTATKI**

PRZEDWIOŚNIE

Minęły już pastelowe tony szarug jesiennych, mrozy zimy lutej w bieli swych śniegów puszystych dogorywają też powoli, rzekłbyś serce ludzkie w przeddzień rozkwitu nowego uczucia!... Hejnał radosny wiosny czarownej objawia się jeszcze li tylko w nieśmiałej trznadli piosence, wróbelków poczciwych zajadłem ćwierkaniem, w pierwszych dźwiękach skromnych skowronków, rolników przyjaciół, Najświętszej Matki Bożej wiosnianych pieśniarzy!...

Wskrzési się w krótkce symfonia odrodzonego piękna i nadziei nowych, zawsze jednakich, upragnionych przeżyć łowieckich w duszach myśliwskich!... Budzą one, wraz ze wspomnieniami lat ubiegłych, pragnienia nowych obcować z matką naszą przyrodą.

Zaiste, biedne, spracowane tak bardzo istoty ludzkie — jak chleba powszedniego, łakną ukojenia po ciężkich roku walkach o byt swój życiowy!...

Miraże zmartwychwstałego szczęścia, rozkwitu, złudy, spokoju tak pieściwie otulają przemęczone srodze nerwy...

Wiosna-Czarodziejka idzie i w lasach odludnych, w mrocznych świerczynach, ogromny czarny ptak — głuszc królewski pod wpływem tchnień ciepła, rozkosznie „puszy się“ i po rozmiękłych od odwilży płatach śniegu poważnie krocząc, wachlarz swój roztacza. To początek

triumfalnej pieśni wiosny, pieśni miłości — jak wszechstworze wiecznej!...

Cietrzewie, owi ciemni rycerze — trubadurzy, o białych przepaskach i brwiach koralowych, wylatują na brzeźniaki, bełkocząc zawzięcie!... Uroczy ptak szarej godziny, słonka długodzioba, już jest w drodze do ojczyzny ukochanej, droższej od wszystkich widzianych „sliczności“ zamorskich dalekich krajów... Z delty Nilu, od stóp piramid faraonów, pierzastych palmowych gajów przepychu, całej tej egzotyki tropikalnej, śpieszy biedactwo do olszniaków, rojstów i smug Polesia starego!...

Przychodzą na myśl mimowoli słowa starej poezji XVIII wieku, epoki, kiedy to wszystko tak subtelnie odczuć umiano, epoki wykwintu, wytworności strojów, dowcipu, pastelowego piękna w życiu!...

„Salut, trois fois salut, Dame aux sombres couleurs:
Voyageuse automnale à la robe frileuse!
D’ou nous viens tu — répons, sombre voyageuse!“
Do’u nous viens tu — répons, sombre voyageuse!“

O kim tu mowa?... Dama o ciemnych szatach, zapewne oblubienica błędnego rycerza, pazika uroczego? Czy swemu Panu i Władcy na wieki oddana i wierna do grobu?... nieprawdaż!?... Przenigdy!... nasza li tylko pocziwa słonka natchnęła nieznanego wieszca... Dzięki mu!...

Welon niebios gwiazdzistych, majestatu nocy pełny, rozmodlony odgwarem poświstu stad dzikich gęsi, barwnych kaczek przeróżnych w swych szatach lęgowych na Gody wiośniane śpieszących!... Drozd śpiewak odezwie się wkrótce — gry głuszców, ciągu słońek zwiastun nieomylny!... Roje ptasząt Bożych, w mnogich odmianach, szybując w przestworzach, dźwięczne swe melodje nad Polską naszą szczerze rozwodzić będą! A nieco później słowik,

pieśniarz nocy majowych, ukoronuje symfonią swych tre-
łów cały ten przepych nieskończonej dobroci Boga!... Po-
wróci też stary nas wszystkich przyjaciół — bocięk naj-
milszy, tradycyjnie ściśle z Polską strzechą związany!...

Wszystko wokół śpieszyć się będzie, lecąc ku przy-
szłości słonecznej, zapominając o bólach zimy srogiej!

* * *

...Podobnie, jak wino szlachetne, upaja nas owo przed-
wiośnie odrodzeniem swem, będąc negacją samej nawet
możliwości powrotu wczorajszych cierpień.

Często jest to tylko iluzją... urojeniem niestety przed-
wczesnem...

Lecz pomimo wszystko, mimo pewności, że wrócą
jeszcze czarne godziny, dzięki ci o poro roku błogosła-
wiona.

Z powodzią kwiecica... w barwach złotych kaczeńców,
w fioletach pierwiosnków, maków polnych purpurze śpie-
szysz już i będziesz wkrótce na progu ziemi naszej otu-
lać nas ciepłem twych promieni życiodajnych!...

Przybywaj jak najrychlej! Cześć Ci składamy!...
Chwała Bogu Wszchemogącemu żeśmy raz jeszcze docze-
kali twego powrotu.

Wczoraj jeszcze, w ciężkich roku okresach, żyliśmy li
tylko nadzieją twęj wszechpotężnej zjawy!... Dziś wracasz
do nas: przeto żadna walka straszną już nie jest i żyć
warto i jeszcze raz warto!... Precz znoje, trudy, rozczaro-
wania długiej, ponurej jesieni i zimy, śniegiem i lodem
opancerzonej!... Dla młodych, jakoteż i dla tych, co po-
woli, nieublaganie ku zachodowi życia się skłaniają, mat-
czyną niesiesz pociechę i radość zawsze jednaką!... „*O Pri-
mavera, gioventù dell'anno!*“

NA WIOSENNYCH ROZLEWACH

I.

Po powrotnej fali iście syberyjskich śniegów, zawiei i mrozów, nareszcie Bóg wszechmocny darował nam wiosną rzetelną w całej swej pełni i krasie. Na gościnnych terenach państwa Stan. Szczywskich, na rozlewach polskiej rzeki Lwą zwanej, przeżyłem kilka dni rozkosznych w pogoni nie za Loreley strzegącej skarby w Renu nurtach ukryte — lecz za poczciwymi kaczorami li tylko. Kto nie widział i nie zna tych rzek Polesia starego, wyobrazić sobie nie może, ile piękna, ile cudnych fragmentów natury dzikiej, pierwotnej może zaobserwować miłośnik przyrody, płynąc płaskodenką lub dubem (nazwa łódek podobnych po miejscowemu) na nurtach tych poleskich Missisipi i Delawary. Taka rzeka Lwa n. p. przepływająca przez obszary tomaszgrodzkich dóbr, przez lasy, łąki i błota, aż hen ku tak zwanym Rostokom — później za „Mosijewa wyspami“ wkracza na dawidgródeckie łowiska ordynacji Karola ks. Radziwiłła, mimo Józefina i Perebrodów. Jest ona typową pod względem owej prymitywności i niezawodnie najładniejszą wodną wstęgą, przecinającą owe Mickiewiczowskie „mateczniki“. Olszyny niebotyczne, gęstołożami podszyte, o tajemniczych, rdzawych jeziorkach, wśród których, powiedziałbyś, nocami czarownice i djabły trupy grzeszników warzą. orgje swe z Brokenu legend ger-

mańskich do topielisk poleskich przenosząc... Wije się więc kręte koryto bystrego wiosną potoku pośród gotyku dni drzewnych, wśród moknących kęp i zawałów, wykrotów, paproci zwiędłych, zeszłorocznych. Od czasu do czasu złota główka „kaczeńca“ nieśmiało się ku słońcu uśmiecha. Po kilku kilometrach znowu wynurza się na obszary łąk latem trawiastych, bagien nieprzebranych, obecnie bez wyjątku wodą zalanych. Aż do horyzontu, ciemną linią lasów puszczańskich okolonego widzi się tylko szafirową tafelę wód, bezgraniczne zwierciadło Matki Przyrody, w którym się odbijają dobrego słońca promienie i niebios błękity. A tam na wysokościach pierzaste, białe „na pogodę“ chmurki siriusów stadka całe spokojnie wędrują w przestworzach eteru. Pierś z rozkoszą wchłania masy ozonu, tego specyficznego błotnego powietrza z humusu przegniłych roślin i traw od działania promieni dziennych powstałego, a któregobyś darmo szukał czytelniku najmilszy, poza granicami tej dziewiczej krainy. Biedne, tak bardzo spracowane płuca miastowego skazańca, zatrute wyziewami benzyny samochodowej, trującymi emanacjami bruków warszawskich — delektują się, nareszcie odpoczywają rzetelnie od piekielnych warunków wielkomiejskich; słuch też, gdyż zamiast ryku, aut, czkawki pijaków, sprośnych wykrzykników mętów społecznych, napawa się rozmodleniem rzeszy drobnych ptaszec bożych. Skromne trele rudzików, błękitno-piersich podróżniczków, skowronków leśnych, zięb i drozdów bez liku, stadka których pieczęcią swemi melodjami tak gwałcone wrzaskiem i karkofonją brukową uszy przemęczone. Podobna do meteora, od czasu do czasu strzałą ukaże się, niktąc — do marzenia duszy podobna, sylwetka w szmaragdy i rubiny odzianego zimorodka. Nisko przemknął nad wodą, pisnął razy parę... zwrot błyskawiczny w krzaki i... już go niema. Lecz

natychmiast nowe refleksy piękna odwiecznego absorbują wzrok myśliwego-przyrodnika. Nie trzeba szukać daleko, gdyż każda drzewa sylwetka, każdego krzaku zarys łożyny ciemnej, cienie i tonacje kolorytów bajecznych w odchłaniach głębin wodnych, mroki splecionych gałęzi, grona zwieszających się rozbuchniętych pączków leszczynowych i olch nadbrzeżnych — zawierają taką moc etyki, że wiekami byś się w nie wpatrywał i to dziękując Panu Bogu, żeś dożył w możebności oglądania skarbów podobnych śliczności w źródłach przezczystych wszechstworza zrodzonych.

II.

Polowanie na rozlewach wiosennych, podobnie do jesiennych odstrzałów przelotnych dzikich kaczek i gęsi na wielkich wód zbiorowiskach Wołynia, Podola i Ukrainy, zawierają w sobie pewien czar niespodziewanych spotkań z rzadkimi osobnikami tych gatunków, które li tylko w tych okresach u nas spotkać można. Wielkim plusem, egzemplarze tych cennych dla ornitologa-kolekcjonera, wiosny jest jednak okoliczność, że zdobyte w tym czasie okazy znajdują się w całej pełni i krasie swego godowego upierzenia. Taki n. p. łyżkodziób (*spatula clypeata*), skromna, szara jesienią kaczusia, w kwietniu przedstawia sobą lśniącego cudnemi barwami ptaka. Zresztą, wszystkie prawie odmiany, oprócz kaczora krzyżowego, który już nabiera świetnych swych szat jeszcze goszcząc u nas do późnej jesieni — stroją się jaskrawo dopiero po nowym roku w krajach zamorskich. Otóż dlatego łowy wiosenne i jesienne na akwaticzną zwierzynę mają ten specyficzny czar i urok tajemniczych, wypadkowych spotkań. Kiedy kto poluje na zające, rogacze, kuropatwy lub bażanty, śmiało może być przekonany, że nic więcej ponad oczeki-

wane objekty, zamieszkując dane rewiry, nie spotka. Zaden nieprzewidziany rajski ptak nie pojawi się przed jego legawcem, lub dziarską nagonką. Natomiast w szarugach jesieni lub światłościach wiosny każdej chwili można się spodziewać zjawy najprawdziwszego, bo w tęczę kolorową odzianego „oiseau-bleu“ ptaka rzadkiego, którego widok później w formie już wypchanej będzie li przypominał zawsze okoliczności zdobycia tyle pięknego trofeum. A zapominać nie należy, że oprócz lęgowych kilku u nas gatunków rodu kaczego, na przelotach spotyka się ich kilkanaście, nie mówiąc już o labędziach białych jak śnieg, różowych flamingach, pelikanach, przeróżnych odmian kulików i brodców oraz wielu innych cennych zdobyczach. To też żadne rodzaje lowów nie wywierają na myśliwego podobnego swą intensywnością napięcia oczekiwania. Nadzieja, nawet nie ziszczona, jest ogromnym bodźcem psychiki ludzkiej w wszelkich życia dążnościach, a nie tylko ze strzelbą na ramieniu. Przecież ostatecznie wygrać można los szczęścia i powrócić do domu z muzealnym nieraz egzemplarzem. Zależy to zwykle od atmosferycznych warunków, kierunku i siły wiatrów, temperatury nareszcie. Bogu jednemu wiadomo, dlaczego ten lub inny o setki mil od naszej Polski gnieźdzący się ptak pojawia się raptem u nas jako błędny rycerz-tułacz, losem okrutnym zarzucony w tak niesamowite dla niego otoczenie. Jego niedola staje się natenczas wygraną grubą stawką dla szczęśliwego adepta Św. Huberta. Lecz nawet pomijając nadzwyczajne uśmiechy Fortuny — czyż i rodzime nasze wodne zwierzostany nie darzą nas delicjami bez liku? Wymarzenie pięknymi są niezawodnie kaczorki obu gatunków zamieszkujących Polskę cyranek, podgorzałek, wyżej wspomnianych szerokonosek (po polesku t. zw. bostyńców). A zwykły samiec krzyżówki — gdy się pod-

rywa w słońca promieniach, lśnić zielenią aksamitu głowy, błękitem przepasek skrzydłowych, bronzem piersi i perłowem upierzeniem grzbietu — wart chyba nie tylko strzału myśliwca, lecz także admiracji estety-przyrodnika. Muzykalność sluchu jest też mile lechtaną, całą symfonią dźwięków, kwakań pieśzcotliwych, nawoływań namiętnych pory wiosnianej. Jakto? więc i w kwakaniu kaczem może być piękno? W zwykłych, normalnych warunkach, powiem, że nie, na tle przyrody zaś — tak. Oczywiście, że przewalająca się na nóżkach tłusta domowa kaczka w cuchnącem podwórku drąca się do upadłego — ma wysoce prozaiczny widok, niezdolny wzbudzać żadnych estetycznych zachwyków. Lecz, w otoczeniu lazuru niebios i wód, wód upojnego powietrza kwietniowego, w blaskach koloryzacyj życiodajnych promieni — jakże inaczej odczuwają się niemal te same odgłosy! Tembardziej, że pochodzą od osobników dzikich, których karjera nie zaczyna się od kojca gospodyni, kończąc na nożu kucharskim. Wychodowała je szeroka pierś Matki-Przyrody — integralną też część wszechstworza stanowi każda żyjąca na jej łonie istota. Gdy się pomyśli tylko o przebytych peregrynacjach wędrujących stad tej dziczyzny ponad morzami, nocami ciemnymi szybujących nad uśpionymi krajami, pasmami gór skalistych — od przepychu ekwatorjalnej roślinności nieraz, do naszych skromnych rozlewów Poleskich dążąc — wtedy inaczej zapatruje się psychika duszy myśliwskiej na owe tak prozaiczne, zwykle kaczę kwakanie. Dodać należy, że uszlachetniający wpływ otoczenia, zachwyty pory amorów wiosennych oddziałują też na uszlachetnienie, że tak powiem, zwykłych tych wrzaskliwych głosów.

III.

Piękna jest szeroka Polska nasza. Nikt tak intensywnie, jak myśliwy, ocenić nie zdoła wszelkich jej skrytych przed oczyma zwykłych śmiertelników, pełnych potencjalnej estetyki, zakątków. Ładny zachód słońca oczarować każdego potrafi, — lecz schwycić i uplastyczyć w swem mózgowem odbiciu ten lub inny fragment wielkiego filmu, jakim jest Natura, zdaje mi się, że oprócz rzeszy konfraternij — rzadko innych może być udziałem. Bo gdzie są też i okazje ku temu? Któż zapędzi się w bagna na „dużyhubce“, nieraz niebezpieczną kąpiel ryzykując, li tylko dla czczych wrażeń wzrokowych? Któż po topieliskach godzinami brodzić i zapadać się będzie? Chyba jaki naturalista-uczony. A naszej Braci w to tylko i graj.

Ergo winniśmy zawsze i wszędzie składać dzięki św. Patronowi naszemu, że odkrywa nieustannie sezam rozkoszy podobnych — Pana Boga Wszechmogącego nieustannie zaś błagać doczekania niejednego jeszcze okresu polowań w naszej ojczyźnie umiłowanej, na wiosennych rozlewach rzek i rzeczek Polesia starego.

„DANZING“ DUBELTÓW!

Okazuje się, że nietylko dwunodzy śmiertelnicy ulegają wszechpotężnej sugestji „fox-trottów, shimmy i charlestonów!“... Co prawda, pod względem estetycznym oplakany, groteskowy widok niektórych dwunogich osobników płci brzydkiej — no niekiedy „horribile dictum nawet i pań“ — nie spotyka się nigdy dzięki Bogu na łonie Natury!... Podobnych niesamowitych, rzadkich przeżyć i obserwacyj byłem świadkiem, podczas tegorocznych moich wiosennych perygrynacyj tokowych. Skonstatowałem więc dobitnie, że bardzo często można widzieć damę nie posiadającą niestety! najmniejszych kwalifikacyj na Venus z Milosu! — mężczyznę na Apolina! — lecz przynigdy nikt jeszcze nie ubolewał nad humorystyczną postacią przeciętnego... *zwykłego* dubelta!... Wykluczone!... Pod tym względem świat zwierzęco-ptasi — ma gruntowną przewagę nad królem przyrody „vulgo“ człowiekiem zwany!...

Kilka razy w ciągu mej kariery łowieckiej byłem już świadkiem miłosnych ewolucyj „błotnych arystokratów“ do tak miłej rodziny „scolopaxów“ należących — lecz tego, co dane mi było zbadać w uroczej Chinoczy powiatu sarnieńskiego w gościnnem dominium pp. Podhorskich — nie widziałem jeszcze nigdy!... Zwykle kilkadziesiąt tylko

sztuk ¹⁾ „majorów“ wyprawiało swe erotyczno-dziwaczne zabiegi! Oczywiście że prawdziwemu myśliwemu do głowy nawet przyjść nie mogło „odszukiwanie“ podobnych „toków“!... Przypadek li tylko zdarzył wiosną bieżącą, że rejon „tokowy“, na którym wzniesione zostały budki na cietrzewie dla mnie — stanowił jednocześnie jedno z ogromnych „tokowisk-dancigów“ dubelcich na Polesiu. Śpieszę więc podzielić się z najmiłszymi czytelnikami wiązką oryginalnych wrażeń. Otóż rzecz miała się tak!...

Jak wiadomo, dubelt z przyczyn nieznanych w swych miejscach lęgowych — wybiera jakiś odcinek wśród łąk trawiastych rzadkimi zwykle krzaczkami porośłych, dla turniejów miłosnych. Dlaczego ten, a nie inny, absolutnie tak samo wyglądający?!... Bóg jeden raczy wiedzieć. Może to kwestja jakiegoś „snobizmu“ lub mody dubelciej. Na obok leżące inne atoli, upodobane przez nich — zlatują się nieraz z bardzo dalekich odległości. Otóż... miałem szczęście *wypadkowo* natrafić na teren podobnych „mityn-gów“. Krocząc w egipskich ciemnościach do „budek“, już zostałem zaciekawiony charakterystycznym szeregiem „furknień“ z pod nóg dubeltów — oraz tem, że błoto całe aż się trzęsło od „grzebieniowych“ toków rozśpiewanych amantów!... Gdy się usadowiłem w budce aż uszy bolały od tego klaskającego gwaru!... Szarzało na świecie szerokim — „strona silnie bieleć poczynala“, jak mówią Poleszuki — przedźwięczał trzeci hejnał surm bojowych zórawi — już i liroogoniaści, czarni trubadurzy Wiosny „czufykać“ zawzięcie poczęli na okół — z głuchym łopotem ciężko „zapadł“ stary „tokowik“ — śpiesznym, niskim łotem nadciągnęli jego liczni... rywale!... Zakotłowało się jak w garnku od „bulgotów“, bójek, podskoków!... Coraz

¹⁾ *Scelopax major* — ornitologiczna nazwa dubeltów.

widniej się staje!... Raptem! — widzę przez otwór budki — mrowisko!... literalnie mrowisko tokujących dubeltów!... Rzucam wzrok w przeciwległe „okienko“ — toż samo!... Jednym słowem, znajduję się w stanie formalnego obłączenia... Wiem, z doświadczenia jednak, że harce te nie będą mi przeszkodą w strzelaniu do „teteruków“! Tak, i tak, „szanujący się“ myśliwy strzela dopiero po „szabasiu“ — więc jestem spokojny, że „błotni arystokraci“ nie będą mi przeszkadzać w strzelaniu do „teteruków“! Tak się też stało! — jak z zegarkiem!... Gdy się już dobrze rozwidniło, pod wschód słońca szybko — rozpierchła się, dążąc w rozmaite strony cała ta masówka dubelcia! Nastąpił koniec „dancingu“ „in gratiam“ — godów weselnych — Wiosny Czarodziejki! Mogłem więc, swobodnie dojść do paru ładnych strzałów do kogutów!... Ciekawy ten objaw, żywcem wyrwany fragment z filmu dni Matki-Przyrody, tak mię zainteresował, że zdecydowałem się tegoż wieczora *specjalnie* zasiąść w budce dla upojenia się li tylko „bezkrwawym“ tokiem dubeltów!... Oczywiście! — gdyż, jeśliby nawet ustawa łowiecka nie wzbraniała strzałów — to elementarne poczucie humanitaryzmu nie pozwoliłoby przenigdy *jednym* strzałem „stuknąć“ — kilkanaście! tych, tyle nam w letnim sezonie dostarczających najmilszych wrażeń łowieckich — ptaszków!... Tembardziej, że nie sposób nawet odróżnić w liczbie ofiar samczyków!... Miejscowi „tychołazy“¹⁾ byli nieco *zgorszeni* moją wstrzeźliwością, twierdząc, że dawniej „*Iupiono* bez pardonu wiosną na tak zwanych bekasich tokowiskach“... Czy też za to, kto wie? — w dobie obecnej nie pokutujemy my współcześni myśliwi!? — za grzechy przeszłych pokoleń!... sławionych stołów Ojców! pod względem pierwotnych

¹⁾ Kłusownicy.

My, którzy zbieramy okruszyny zaledwo z tak bogatych zwierzostanów, naturalnie — a nie klinicznie hodowanych bażantów i zajęcy ślepo na rzeź „Purdey’ów“, idących!...

* * *

Zmrok zapada... Głuchy, szary — nieco wietrzny wieczór, jak wszystkie prawie niestety w bieżącym sezonie!... Z okalających ogrom błotnych przestrzeni lasów — rozlega się melodyjna pieśń drozda śpiewnego, „beczenie“ bekasów — poświsty przeciągających stad przelotnego ptactwa — lubieżne kwokania kaczorów — rozmodlenie harmonij dźwięków przeróżnych wśród Niebios i ziemi!.. Wtem! jako szrapnel bystry nad „otwartą“ budką moją przemknął dubelt jeden, drugi... i jak z rogu obfitości — z różnych kierunków „posypały“ się śliczne długodzioby!... Zapadały wszystkie na powierzchni może jakiegoś hektara na okół budki, notabene, której najbliższe tereny pokryte były „wydeptanemi“ ściekami „per modum“ kurytarzami, którymi snuli się, biegając „rozamorowani“ szermierze! Rozpoczęły się podskoki na metr wysokości! Kroczenia z opuszczonemi skrzydełkami i rozwiniętym wachlarzykiem o cudnych, tak dobrze nam znajomych, białych piórkach! — zaobserwować można było nawet chwile „intymności“ — ostatecznych!... A wszystko, pod akompanjament rytmu ustawicznych, kastanjetowych klaskań!... Do syta napawałem się tym przepięknym widokiem!... Ciemniało coraz bardziej! Ze wszystkich stron horyzontu ciągnęły i ciągnęły jednak... jak mary, jak duchy do Brokenu śpieszące — dubelty! bez końca!

Trudno określić — lecz sądzę, że zleciało się ich na owem tokowisku zapewne jakie kilkaset sztuk!... może i tysiąc i więcej... Ze znacznej części chyba Polesia najbliższego!... Do późnej nocy — wtedy, kiedy nie można

było „rozejrzeć“ bielejących w mrokach ogonków nawet siedziałem w swej budce, „delektując“ się chórem dźwięków w tem gremjalnem napięciu — tak rzadko słyszonym!... Nie bały się wcale prawie! Wyszedłszy z budki, stojąc za nędznym krzaczkiem loziny — prawie u nóg moich odbywał się dalszy „dancing“ w najlepsze! — precz z Oazą i Bristolem! Zaiste! — rzadko najlepszy tok cietrzewi — trofea z kilku kogutów sprawiły mi tyle rozkoszy, jak „platoniczna“ „niedyskrecja“ moja w tajemnicze zaścianki życia dubelciego! A gdy wracałem przez łąki do brzegu, rwały się i rwały roztokowane Romea wraz z płonąciami od żaru pożądań zmysłowych, rozkochanemi Julietkami!... Aż żal robiło się zakłócać podobne amory! — zapowiadające odrodzenie wieczyste wiosny i... rodu dubelciego!... Daj Boże, na długie lata jeszcze!... Był to skrawek zasłony podjętej nad jedną z tajemnych Misteryj Wszechstworza!... zlanie się, że tak powiem jestestwa całego z bezmiarem jego Potęgi bezgranicznej! — w którą myśliwy tylko i to nie każdy i to nie zawsze! — kornie, z sercem przepelnionem wdzięcznością — zatopić się może!... A teraz! „mea culpa“! Przepraszam najmocniej cały ród dubelci — że tak piękną ich ceremonję, pod welonem nocy z taką estetyką odbytą — prześnioną powiem! — tak bardzo brzydko zatytułowałem!... Kierowała mną wyłącznie żądza dodania chociażby iskierki poezji do naszych beznadziejnych tak smutnych „ludzkich“ dancingów! Wpleść chociażby kilka żywych kwiatów Piękna w ogólny, szary ton męskiej brzydoty i nieustannej sarabandy ruchów rozwiązanych!... Dalipan! życzę szczerze zebraniom naszym „dancingowym“ — cząstki, chociażby harmonji siły żywiołowej magji otoczenia pierwszej klasy! — która króluje na „dancingu dubeltów“!

Z WRAŻEŃ POMORSKICH

Noc głucha gwiazdzista... noc lipcowa, czarów pełna! Po za torfowiskami pogranicznej rzeki Piaśnicy — na tamtym niemieckim brzegu, ogromnego Żarnowieckiego Jeziora — ciągnie się pasmo lasami pokrytych, malowniczych wzgórz — łańcuch których charakterem swym Styrię nieco przypomina.

Majaczy to w oddali welonem nocy litościwie pokryte. Nie widzi się nic z krajobrazu w obecnej porze — odczuwa się jednakże przepiękność otoczenia!

Pod skrajem skarbowego leśnego masywu „Lubocin“ — czatuję na dziki — brutali! — istnych bolszewików! morgi całe kartofli i owsa z domeny mego zięcia, rotmistrza Uznańskiego do szczętu niszczących... zatopiony cały w szelesty i szepty Matki-Przyrody.. w ciszę bajeczną nocy zasluchany... siedząc na swym myśliwskim stołku... Jakże szczerze ubolewam nad losem tych biedaków, którzy o tej samej godzinie w smokingi i fraki przyodziani na przeróżnych „réunions mondaines“ w klubach, gabinetach restauracyjnych, dancinгах — życie marnują!

Nieszczęśliwi zaiste! Warszawiacy, Paryżanie, Londyńczycy...

Przeciera się nieco... gasną potrochu gwiazdy nocy... rój wspomnień zmartwychwstaje... przeżyć... cierpień zamarych już!... błędów osobistych lat minionych!... Wiel-

kiej Wojny krwawe oblicze!... koszmary wandalizmu nawały bolszewickiej!... wszystko roztapia się, rzekłbyś powoli... pokrowem przedświtu rozkosznie upieszczone!

Intensywność bólu zamiera... hypnozą uspokojenia ukołysana... cudna melodia motywu „ridona mi ti prego... ridona mi la calma“ — duszę całą usypia w myśli mimowoli dźwięcząc! Rozwidnia się coraz bardziej...

Opary i mgły gęste, jak mleko białą, mocną swą zasłoną dalekie horyzonty dolin i lasów kaszubskich pod potęgę tajemniczą biorą!

Jak na złość! — ani śladu dzików! „Lasciate ogni speranza“ — oczywiście!

Raptem, kiedy już to porannej, czystej jak łza zorzy letniej odbłask odcieniami pastelowymi fioletów wyblakłych, oparów dyskretnych mgły otaczające zabarwił, z żyta do lasu przyległego śliczna główka sarny o marzących oczach jak kwiat cudny kilkanaście kroków przedemną rozkwita! Trwożnie stojąc na swych elastycznych, foremnych nóżkach „wiatr zabrawszy“ nerwowo widocznie uspokojona najzupełniej (biedactwo! — a gdyby to był kłusownik — lub pokrewny konfraterni tej „sontags-jäger“ mięsno-kotletowy!?) — na dukt podleśny, trawiasty, wynurzywszy się z żyta wybierać poczęła smakowite trawki przeróżne kroplami rosy ubrylantowane obficie — delektując się ucztą!

Napawałem się do syta z po za zasłaniającego mię „chwojaku“ przecudnym widokiem tembardziej, że była to nie ta niemal klinicznie wyhodowana sarna parków i zagajników łowiecko pielęgnowanych — co to się lufom wycelowanych „expressów“ — z istic rozbijającą nieraz ufnością przygląda, lecz ta „dzika koza“ dolin i przełęczny Pomorskich co to przez okres wojny wszelkiej opieki ochron-

nej była pozbawiona — dzisiaj też jeszcze, niestety! — nie w wesolych warunkach żyjąc!

Wynagrodzony już się poczułem przez św. Huberta — za noc nieprzespaną na wylot — albowiem prześnioną już rozkosznie i bez tego widoku została!

Fawory św. Patrona naszego, jednak rogiem obfitości łask — w noc tę letnią — obdarzyć skromnego swego sługę raczyły! Rogacza pięknego profil o sto metrów cicho i nieoczekiwanie — jak szczęścia sen!... jak mara złota Nadziei — przedemną!

Parę kroków jeszcze! Śród rzadkich w tem miejscu źdźbeł żytnich — jak z brązu ulana sylwetka. Skamieniałem za swym krzakiem! Widzę, rogi ładne bardzo! Serce jak młotem walić zaczyna! Express niestety nie w rękę — wierny mój „dryling“ tylko — za daleka trochę meta! Lecz zwlekać niepodobna już. Coś podejrzanego, po dwóch, trzech susach musiał rogacz zauważyć — gdyż beknął parę razy już, już stalowe mięśnie w skok unieść go na zawsze być może miały! Suchy trzask zgwałcił echem dalekie, romantyzmu pełne doliny... ..i nigdy na 62 padłych z mej ręki na podjazdach i podchodach kozłów... nigdy nie widziałem susa podobnego! Pionowo, przez sekundę uniósł się fenomenalnym susem czterema kopytkami wykonawszy „salto mortale“ — runął przez głowę martwy na ziemię! Na tę ziemię, która go wyhodowała — dała mu tyle mocy!... sprężystości namiętnej... siły i szczęścia miłości... i zawód może niejeden śród uroczych, lecz nieraz płochych sarenek! Gdy tonąłem na wzgórzu zalany królewskimi snopami promieni wschodzącego słońca, obok zrulowanego w ogniu tak ładnie rogacza — w duszy myśliwego hejnał dziękczynny triumfu rogiem złotym grał, serce zaś przyrodnika i starego romantyka — nieco bolało! Oby więcej i długie lata bolów podobnych pod

gwiazdzistem sklepieniem nocy wiosennych, letnich, zimowych — na czatach dziczych, podjazdach na kozłów — w odzyskanej krainie Kaszubów kochanych!

Dzięki Ci, Córko moja! dzięki Ci, Panie Rotmistrzu! dzięki Ci, Imć Zięciu, Panie! — jak przodkowie mawiać zwykli!

A dziki jednak nadal w kolejce — w sezonie bieżącym!
„Qui vivra, verra“!

W TAJDZE OŁONIECKIEJ

(*Wspomnienia przedwojenne*)

Już prawie przygotowany byłem skwitować z misiów moich tegorocznych, gdyż nie mogłem żadną miarą wyruszyć z domu przed dniem 15 stycznia starego stylu... A gdym przyjechał do Petersburga po 15-ym, trafiłem na rzadki „pech“: — zastałem telegram od znanego pogromcy niedźwiedzi, z dalekiej północy, starego Martjanowa: „zwierci powstały z barlogów; ośm stopni ciepła...“ Ośm stopni ciepła w strefach prawie podbiegunowych, w czasie kiedy na południu Francji i w Neapolu mrozy i zawieje!... Świat do góry nogami przewrócony, aura jakby zakażona jakimś „tangizmem“!

Mój niejednokrotny towarzysz wypraw myśliwskich, pan Aleksy R., który o dziesięć dni przedtem, zaraz po polowaniach Wierzchowieńskich, wyruszył do lasów Ołonieckich, gdzie mieliśmy się zjechać i razem polować — powrócił właśnie w tym czasie do stolicy, zniewolony roztopami iście wiosennymi...

Przywiózł ze sobą siedem niedźwiedzi, z których jeden, wagi szesnastu pudów — wspaniały czarny okaz samca. Zdobycz ta omal katastrofą się nie zakończyła — i li tylko swej zimnej krwi mój przyjaciel zawdzięcza pomyslny obrót tej całej imprezy...

Oprócz trofeów, dzielny kolega przywiózł: wór cały

prawdziwie bajkowych opowiadań o drogach rozplawionych w śniegach, jak w syropie, o przeprawach przez jeziora z omal nie przelamującym się lodem, tragiczną relacją o spotkaniu się z potworem na barłogu... i silną influencję.

Zalawiając bieżące interesy w Petersburgu, wracam jak niepyszny do rodzinnej ukraińskiej siedziby, biorąc przyrzeczenie Martjanowa, że zawiadomi mnie telegraficznie o ewentualnych, choć bardzo problematycznych, barłogach niedźwiedzi.

Powiedział stary weteran, oszczepnik, po miejscowemu „rohaczek“, że w ciągu ośmdziesięciowuletniego żywota — raz jeden tylko, przed czterdziestu laty, widział coś podobnego. Słabe więc nadzieje!

Na Ukrainie coraz lepiej — już pierwsze gęsi i skowronki zawitały! już prędko i o tokach wiosennych myśleć wypadnie! Wrodzona jednak „trzeźwość“ praocjów nie każe tracić fantazji. Kto wie?

Raptem depeza stamtąd: — „Spadły wielkie śniegi; szukamy!“

W parę dni potem: „Jest jeden na barłogu, drugi „chodowoj“ (przechodni, osaczony). Proszę przyjeżdżać“.

Błyskawiczny odjazd z domu — komfort „Luxus-zugu“ Kijów-Petersburg — dusza myśliwego wśród lampionów elektrycznych w pociągu marząca o zielono-białych mrokach lasów północy — jeden dzień spędzony w stolicy dla niezbędnych zakupów, zupełnie „incognito“, zdala od neurastenicznych, chorych warunków jej życia... Wieczorem dworzec kolei Północnej, stara zdezolowana lokomotywa z czasów imć pana Stefensona, zapach dymu drzew brzozowych — trema oczekiwań myśliwskich, rój przeczuć w duszy i sercu, błogie ukojenie całego jestestwa, statecznie powolny bieg pociągu, jak mara sunącego śród

puchów ogromnych bieli śniegowych — i wreszcie wylądowanie na Zaborje, przy kilkustopniowym mrozie, o zorzy porannej...

Rącze koniki, po parze w orczyk zaprzężone, oczekują na mnie i na mego służącego, dzielnego i wiernego Maksyma. A teraz — sto pięćdziesiąt wiorst drogi do osady „Szym-Oziero“, powiatu Łodejnopolskiego, w której rezyduje sławetny ród Martjanowych, rohatników i niedźwiedziarzy *de re et nomine* z dziada pradziada!

* * *

Wyśmienita „ucha“ z nalimów, spożyta w gronie rodziny Martjanowych z doskonałym apetytem, znanym tylko nam, braciom Nemrodowym, cisza i spokój z brewion złożonej siedziby, opowiadania iście hometyczne o spotkaniach ze zwierzem i o polowaniach przeróżnych, szczególnie na niedźwiedzia...

Muszę zatrzymać się na opisie tych słynnych na dalekiej północy, rohatników. Należą oni do plemienia, zwanego Czud', inaczej „Czuhary“, mają swój zupełnie odrębny język, całkowicie odmienny od rosyjskiego. Są to mieszkańcy Finnów z Pomorzanami, którzy ongi, za czasów carów moskiewskich, szczególnie za Piotra Wielkiego, osiadłszy w Archangielsku, jako potomkowie dawnych Normandów — tych „ludziej targowych“, klusowników i kondotjerów morskich, galerami swemi z Europą prawie jedyne stosunki handlowe utrzymywali.

Z nimi to, w mrokach historycznych dawnej Moscovji, prowadził handel Nowogród, owa Rzeczpospolita, której wiecze, czyli parlament ówczesny, li tylko z ludzi „mądrych“ i „bywałych“ się składał. Car kołokoł nieraz i prajców Martjanowa na posiedzenia owe zwoływać musiał!... Mój Boże! i pomyśleć, że antenaci tych dzielnych

ludzi, co to dziś jedynie cieciorki i jarząbki sidelkami po lasach chwytają lub na barłogach niedźwiedzie biją — przed laty traktowali bezpośrednio z Radą Dziesięciu, z dożami królowej Adrjatyku, Wenecji, i nieraz konferować musieli wśród arcydzieł sztuki Palazzo ducale, pod cieniem kampanji św. Marka i Logetty Sansovina!

Sic transit gloria...

Lecz i potomków tych prastarych rodów los nie zupełnie skrzywdził! Żyjąc wśród rodzimej świerczyzny, w ciągłych wyprawach myśliwskich znajdują ukojenie potężne, do którego my dorywczo tylko i rzadko dotrzeć możemy. Wyrabiają więc w sobie tę tężyznę ciała, ten hart duszy, tę pogodę umysłu, prymitywną uczciwość i prostotę — której nie masz wśród ludzi z Matką Przyrodą nieobcujących!

Tajga bezgraniczna zaludniona jest dla nich nietylko zwierzem i ptactwem. Pełno w jej głębiach legend i bylin o „bohaterach“, djabłach i czarownicach, z którymi nieraz walczyć wypada, o rusalkach zielonookich w toniach przejrzystych jezior żyjących, które wabią powabem czarów piekielnych „dobrych młodców“ w zdradzieckie swe ramiona, na to tylko, żeby ciała ich grzeszne w kryształach wód zimnych utopić, w trzęsawiskach udusić, kroplę krwi ostatnią z nieziemską rozkoszą wyssać...

Raz do roku wychylają się dziarscy myśliwi Północy ze swych mroków leśnych — na świat Boży szeroki. Wiozą swą zdobycz tysiącami par zaduszonego ptactwa, tysiącami jarząbków, które później życiem sterane istoty, w szykownych restauracjach Petersburga, Paryża i Londynu spożywać będą ze znudzeniem; — wiozą stopy całej skóry rozmaitych, któremi później, pełne newrozy i zdrady ciała syren współczesnych otulać się będą — sercu ciepła nigdy nie dając!

Pojawiają się wtedy rosłe, barczyste postacie o jasnych włosach i dzieciennych oczach, na targach dorocznych w Tychwinie, Czerepowcu, Kargopolu, i na ulicach gwarneho Petersburga, gdzie na tak zwanym Szczukinym Dworze i Gostinnej ulicy — koncentrują się ryczałtowe transakcje „na dzicz i puszninę...” Zbyszy swój towar, pokręcą się trochę wśród zgiełku i gorączki miejskiej, i hajda! z rozkoszą napowrót do swych izb „brewienczających”, do dzieciaków o płowych główkach, do szerokich kominów, ogniem olbrzymich smolaków buchających, do bieli śniegów, do nieskomplikowanych ludzko-zwierzęcych stosunków, do swobody ciała i duszy, do tajgi rodzinnej!

Te dni pobytu wśród zgnilizny kultury wielkowiejskiej są zbyt krótkie, żeby ślady ujemne na nich pozostawiać miały, lecz za to dają im naukę pewnego taktu i poloru — pewną „bywalość”, pewną umiejętność obcowania z ludźmi sfer najrozmaitszych, której napróżno-byś szukał wśród innych dzieci Przyrody.

Tacy Martjanowie, na przykład, nieraz towarzyszyli w wyprawach łowieckich osobom sfer najwyższych, księżom krwi i monarchom, różnym duszącym się w splenie beznadziejnym bogaczom-neurastenikom, sportowo tresowanym Anglikom, ruchliwym Amerykanom, ugrzecz-nionym poddanym Habsburgów i blagującym Francuzom...

Dziwić się tylko, doprawdy, należy, dla czego rząd rosyjski, biorąc przykład z kolonialnych posiadłości innych państw, nie wprowadził żadnego opodatkowania od każdej sztuki zabitego, szlachetnego, a tak już dziś rzadkiego zwierza. Amatorów sportsmenów, ludzi zamożnych, chętnych do uiszczenia takiego podatku, zawsze się znajdzie liczba znaczna, a kto nie chce, lub nie może, to niech poluje na szaraki i skowronki, co nawet, stanowczo, zdrowiej i bezpieczniej.

Prawda, że dotąd jeszcze olbrzymie lasy guberni Wołogockiej, Ołonieckiej, Archangielskiej i Permskiej — to tajga, co na parę tysięcy wiorst, począwszy od powiatu Tychwińskiego, aż do tundry Samojezdkiej ramieniem swem potężnem biedną tę glebę otula; — prawda, że przy rzadkiem zaludnieniu, przy braku wszelkiej, w niektórych zakątkach, komunikacji — przez długie jeszcze lata był misiów, rysiów krwiożerczych i magnatów rodu ptasiego, głuszców królewskich — jest zapewniony. Lecz wszystko się wyczerpuje na tym biednym świecie, wszystko maleje i niknie w końcu! Kraj się kiedyś pokryje siecią kolei, padną pod siekierą i pilą olbrzymy leśne, mchami i liszajami okryte. Chciwość ludzka wyssie z tej ziemi co tylko będzie mogła, nie albo bardzo niewiele potomkom zostawiając.

Tymczasem, uregulowawszy prawa odstrzału, wprowadziwszy choć byle jaką ustawę łowiecką, obecnie zupełnie nieistniejącą, na co się sami „promyszlenniki“ żyjący z łowiectwa uskarżają — na bardzo długo udałoby się zatrzymać te skarby dzisiejszej Natury.

Taka choćby rodzina Martjanowów, w dobre lata, po 20—30 tysięcy par duszonego ptactwa: jarząbków, głuszców i cietrzewi, — dla zagranicznego eksportu, do Petersburga dostawia. Co poczną ci ludzie, przy urodzajach 5—15 pudów z dziesięciny marnego owsa lub żyta, gdy kiedyś zabraknie materiału do polowania?

Obecnie tylko ogrom obszaru jako tako ratuje ptaka i zwierza. Sami myśliwi mówią jednak, że coraz bardziej trzeba się dziś w puszcę od domu zagłębiać, ażeby z dobrym rezultatem „zwierowanja“ powrócić. Niedawne to jeszcze czasy, gdy północ gub. Nowgorodzkiej roiła się literalnie od niedźwiedzi i grubego zwierza, a nawet dalsze okolice Petersburga dawały znaczną ilość pierwotnych ło-

wów. Dzisiaj w pobliżu stolicy trzeba zapłacić 30—35 rubli za pud „ursusa“ — i to najczęściej będącego w posiadaniu „okładczyków“ typu chuligańskiego. Pod samem miastem, co prawda, co raz więcej terenów sportowo-kulturalnych, dzierzawionych przez kółka myśliwskie oraz przez osoby prywatne. Roi się tam od bażantów i zajęcy, lecz to znowu co innego. Taką ucztę może sobie wyprawić pierwszy lepszy „sontagsjäger“ i pod fortyfikacjami Paryża, pojęcia niemający o tej świętej „virginité de la Nature“, dla której my, prawdziwi myśliwi nie żałujemy środków i czasu, zdrowie i życie swoje narażając, byle choć kropelką, z jej przezczystych źródeł płynącą, pragnienia swe atawistyczne zaspokoić. I nie wspaniałych trofeów szukamy nawet często. Ileż to razy głuszec, z trudem niezmiernym na toku poleskim zdobyty, skromny „ciecieruk“ w okiści śniegowej, z chytrą Irokeza, z drzewa na podjeździe „spuszczony“, *dame au long bec*, słonka tajemnicza, w purpurach zachodu od celnego strzału spadająca — ileż to razy podobny skromny fragment życia myśliwskiego dawał i daje prawdziwym synom Nemroda, dzieciom przestrzeni świetlanych, nie mniej radości od padłego z ręki magnata-miljardera tygrysa w dżunglach Indji, słonia na czarnym kontynencie, niedźwiedzia w ostępach bezbrzeżnych!... We wszystkich tych wypadkach, zachodzi różnica skali tylko — rdzeń zaś przyczyn: ukochanie Matki Przyrody, poczucie harmonji barw i dźwięków Natury, rozkosz upajania się cudną symfonią, tężyzna ducha i ciała — zawsze wszędzie i na wieki wieków, te same!

I póki istnieć będą źródła szczęścia tego, dopóty żyć warto. I ciężar szarzyzny dni naszych i ciernie zgryzot, zwątpień i rozczarowań, rany serca i duszy lekkimi będą, i życie — nie straszne.

Z WRAŻEŃ POLESKICH (R. 1925)

I znowu, jak ongi przed laty — po trudach, oraz rozczarowaniach życia — po koszmarowych epizodach wojny wszechświatowej i osobiście przeżytej ohydy, tak zwanej bezkrwawej rewolucji rosyjskiej — ukojenie jak zawsze iście macierzyńskie wlał w zbołąłą mą duszę kochany stary Poleş Praojców!

Mszarne błota porośle karłowatą sośniną i brzezniakami — pokryte całe kobiercem jagód żórawin, worońca, pijanic — tak samo jak dawniej ciągną się na dziesiątki kilometrów — „tereruki“ w „czarnych frakach“ — „arystokraci błotni“ — dubelty szybkolotne bekasy rwą się ochoczo w skwarze dni sierpniowych — wystawiane przez mego wiernego wyżła.

A na zapadłych, śród leśnych moczarów, jeziorkach o rdzawo-wodnych brzegach, na tych topieliskach, gdzie Mickiewiczowskie czarownice podobno trupy grzeszne warzą — bajeczne w tym roku złoty kaczego sławetnego rodu.

Tajemniczy ptak szarej godziny *dame aux sombres couleurs* — słonka, już do odlotu — ku podnóżom piramid faraonów Egiptu — wybierać się zaczyna.

Łoś brodaty, o sylwetce zwierza przedpotopowego, marzyć rozpoczął miłośnie o nowej swej tegorocznej bogini — i z oparów nocnych brzaskiem i wieczorem — na terenach przyszłej swej rui wynurzać!

Brutalny odyniec — odległe pola kartofli, gryki, owsa—
zawzięcie „wielmi szkoduje“ — jak mawiają Poleszuki.

W „kniażeskich“ — Dawigródeckiej ordynacji lasach
Karola Radziwiłła, oraz Wiadotupickich rewirach Pole-
skiego Towarzystwa, także Czuczewickich, byłych Wit-
gensteinowskich obszarach — obserwowano, mówią, kilka
niedźwiedzi.

Gniazda wilków rzetelne spustoszenia wśród smakowi-
tych wielu poleskich owieczek, ku wściekłości niemałej
miejscowych „diadków“ sprawiają.

Władze administracyjno-policyjno-leśne zarządzają
energiczne „oblawy“ na nocnych czworonożnych bolsze-
wików mając przy tem i bez nich nie mały kłopot z dwu-
nożnymi ich „towarzyszami“.

Jednem słowem wszystko pod tym względem „tak jak
było, nawet się ku starości nieco pochyliło...“

A lud ten szary, do pni drzewnych „ciemnieńkich“ po-
śród których wyrósł, podobny — chytry, podejrzliwy,
ostrożny wielce — na skutek warunków otoczenia i odle-
głości błotnych — wywrotową propagandą „cudzych“
i „swoich“ komunistów — dzięki Bogu, mało zarażony —
ten chłop poleski, z którym każdy z nas myśliwych tyle
nocy czarownych, w kurzeniu przy ognisku w czasie to-
ków wiosennych rozkosznie przemarzył, tyle kilometrów
przechodził — tyle wrażeń cudnych przeżył! — ten „Uo-
wsiej, Ustym, Hryhor lub Wasyl“ o płowych włosach
w grzywkę nad czołem obciętych — z nędzną, rzadką
bródką, z iskrą triumfu w poczciwych oczach przy pod-
niesieniu zabitego celnym strzałem trofeum — też zawsze
i nieodmiennie ten sam!

Wszystko jak dawniej bywało — w matce naturze naokół!

A w duszy radość przeogromna poczucia Ojczyzny na-
szej z krzyża zdjętej nareszcie!

Nie na marne poszły krwi potoki bojowników o niepodległość!

Stosy kajdanów świętych męczenników za wolność naszą — tych z pod strzech cichych dworców praocjów i „kurnych“ chałup zaścianków! — Ich droga cierniowa w 31, 63 roku do kopalń, tundr syberyjskich — bujnem kwieciami wolności umajona — jako wynik mąk, łez, osamotnienia pod stopy naszego pokolenia hojnem darem rzuconą została!

I pomimo wszelkich błędów obecnych to poczucie realne, konkretne odrodzonej Ojczyzny — Polski! — ongiś dzieckiem, na kolanach świętych Matki przeczutej! wyśnionej!

* * *

W Iwacewiczach spotykam najmilszego hr. Władysława Tyszkiewicza „srodze przyjaznego“ druha i przyjaciela całej mej Rodziny, z którym tyle już przepolowaliśmy w mojej Wierzchowni na Ukrainie na bażanty, kozły, zające, — na Polesiu dziki, głuszce, cietrzewie, dubelty!

Hrabia był jednym z założycieli niegdyś kółka Michałińskiego¹⁾ — obecnie obejmuje zaszczytne stanowisko łowczego generalnego, zrodzonego z tego stowarzyszenia łowieckiego Poleskiego Towarzystwa Myśliwskiego — jednej z potężniejszych instytucji tego rodzaju w kraju!

Zaiste szczerze gratulować li tylko można Prezesowi i zarządowi podobnego wyboru!

Myśliwy - przyrodnik „de re et nomine“ — „expedite“ oznajmiony z miejscowemi stosunkami, „żelaznego zdrowia“ — mąż wielkiego taktu i wielkiego serca!

¹⁾ Opuścił to stanowisko, żeby zamieszkać razem z synem w Małopolsce.

Wyobrażam sobie jak świetnie wyglądać będą łowiska towarzystwa po kilku latach Jego nad nimi kustodyj!

Po krótkiej przechadzce z hrabią Władysławem na zalanych włościańskich łąkach Libiszczyc „na wydeptanego“ — gdyż imć Antek Łachej stary, prawdziwie „polskiego“ typu, gajus — wydelegowany został w okolice Łuninca po mojego wiernego psa „Bekasa“ — po skromnych trofeach paru cietrzewi — spędzamy noc w Kasinowie — rezydencji ustępującego łowczego p. Aleksandra Lenkiewicza.

Wytrawny to i doświadczony hodowca, w swych niegdyś wzorowych kopcewickich majątnościach — rozmowa każda z nim — to istna prelekcja-wykład mistrzostwa kultu św. Huberta, źródło... nauki dla nieco młodszych.

Szwankujące zdrowie, żaloby i choroby członków rodziny były przyczyną opuszczenia placówki na której tyle działał.

W starym dworze kasinowskim zastajemy czcigodnego Prezesa Poleskiego Towarzystwa — p. Stanisława Lilpopa, mistrza sztuki łowieckiej.

Już od paru dni poluje prezes na suchszych, nieco błotnych obszarach, okalających Iwacewicze — jest na wylocie powrotnym do Warszawy.

Padło z jego ręki kilkadziesiąt „błotnych arystokratów“, oblanych tłuszczem dubeltów sierpniowych. Brawo, brawissimo! — Zresztą jak zawsze i wszędzie!

Najgościnniej zaproszony udaję się z hr. Władysławem do tyle drogiego sercu memu Michalina, czasowej rezydencji nowego łowczego.

Probuję nieco użyć rozkoszy i szczęścia łowieckiego na przylegających, wydzierżawionych terenach włościan Sielca.

Z jaką radością ujrzałem znowu polaną huty Michałińskiej.

Niema już śladu dawnej siedziby „Kółka Michałińskiego” — prastarego, wrosłego w ziemię dworku — w którym tyle chwil życia będących osłoda, spędziłem jeszcze w latach przedwojennych, jako jeden z założycieli „kółka”.

Zamaszysty, z komfortem niemal urządzony dom myśliwski, korytarzowego systemu z salą środkową — służy jako „rendez vous” członkom na czas polowań zbiorowych oraz okres ciągów i toków wiosennych.

Gdy zasypiałem w jednym z tych prawdziwie rozkosznych pokojów — ukołysany szumem okalających przestrzeni leśnych, odcięty dzięki Bogu chociażby czasowo, od sarabandy neurastenicznej zgiełku wielkiego miasta — nie małą odległością mokradeł, mchów i piasków Polesia ukochanego — mimowoli wskrzeszały się w mej wyobraźni epizody przeżnionych już a zapadłych w nicłość cudnych wrażeń myśliwskich, geneza sformowania się kółka — sylwetki mych drogich kolegów.

Niektórzy już, niestety, snem wiecznym słodko po trudach życia odpoczywają. Cześć Ich pamięci!

Niektórych bezlitosne warunki kataklizmów dziejowych pozbawiły możliwości napawania się w całej pełni rozkoszami łowiectwa.

Lecz w duszy wszystkich starych jakoteż nowych prawdziwych adeptów-kolegów kultu św. Huberta — żyła i wiecznie żyć będzie owa tężyzna intelektu i ciała — ten wykwint uczuć umiłowania Matki Natury to dziecięce niemal garnięcie się korne do niej — ta „divine petite fleur bleue”! — definicja, której krótkie i węzłowate określenie — Myśliwy-Przyrodnik!

Miłyż mój Boże!

Gdy się pomyśli tylko, jak ongiś, w pierwszych latach

stulecia, szczupłe grono bractwa naszej konfraterni łowieckiej pod prezesostwem hr. Wład. Pusłowskiego p. p. St. Lilpopa, Adolfa Załęskiego, Józ. Steckiego, Aleksandra Nikotina, hr. Władysława, Antoniego, Jerzego Tyszkiewiczów, niżej podpisanego i jeszcze kilku innych poczynało dzieło...

— Wydzierżawiliśmy — puszcę Michalińską! Było natenczas tylko dwóch Cerberów ochraniających zwierzostan: Anton Lachej wyżej wspomniany oraz Trochim Michalczyk, który padł ofiarą obowiązku, zabity przez klusownika na powierzonych terenach w roku 1914.

A dziś — olbrzymio rozwijające się Towarzystwo Poleskie, z siedzibą w Warszawie o 180 tysiącach hektarów dzierzawnych, z milionowymi rocznymi składkami członkowskimi — ze swemi szerokimi, dzięki Bogu, wpływami na bieg spraw łowieckich w sferach rządowo-lit-racko-społecznych — pod tak wybitnem kierownictwem swego obecnego Prezesa p. St. Lilpopa — z całym aparatem administracji, straży, referatów i urzędzeń sportowych!

I to po okresie wojny Europejskiej — po przewrotach i nawale bolszewickiej, przy zabobonnej niemal niechęci i negatywnych nastrojach niektórych osobników sfer społeczno-rządowych¹⁾ — odnośnie do łowiectwa! Oto, co mogli zdziałać ludzie dobrej woli!

Zaiste posiadamy ludzi o niezłomnej energji — mamy świetnych organizatorów łowiectwa, niestety, dotąd li tylko na polu inicjatywy prywatnej!

Miejmyż nadzieję na rozbudzenie się z letargu też i Państwa — na korzyść tak ważnego czynnika, ekonomji krajowej, jakim niezawodnie jest łowiectwo. Najlepszy

¹⁾ Mowa, oczywiście, o pierwszych latach Niepodległości.

dowód zbawiennego wpływu na okoliczny zwierzostan podobnych kulturalnych ośrodków — dzień 19 sierpnia r. b., w którym na pustych przed wojną, przylegających terenach włościan Sielca — bez psa napotkałem i strzelałem z hr. Tyszkiewiczem aż trzy stadka cietrzewi i kilka jarząbków. Ilustracja nie potrzebująca komentarzy!

Z WYWCZASÓW POLESKICH

Dawno już nie przyżywałem w całej pełni czaru polowań błotnych podobnych do tych, któremi nasz Święty Patron raczył mię obdarzyć w okresie 6—20 sierpnia r. 1925.

Wyjątkowo obfity urodzaj tegoroczny na cietrzewie i kaczki, bardzo też dobry nalot dubeltów w suchszych miejscach, piękny teren, gościnność państwa Podhorskich, wszystko, jednym słowem, stwarzało symfonię rozkoszy łowieckich.

Odeszły, w daleki mrok zapomnienia krzyże i ciernie życia!... wszystko co krwawi, wszystko co boli... Rosa perlista, gloria zórz porannych, skwar słońca promieni, pastelowe tony wieczornych zmierzchów, welon nocy gwiazdzistej — zredukowały do zera wszelkie naleciałości „Miasta złego!“... Czyż życie — nie zważając na wszystkie swe obrzydliwości, pięknem zaiste nie jest!? — dopóki na świecie znajdują się zakątki, wśród których w „brzeźniakach“ lub trawach łąk błotnych stada młodych ciecieruków „murzynów“ żerują, arystokratyczny, wypasiony dubelt przed psem, jak kamień twardo dosiada, przerażona krzyżówka z prozaicznym kwakaniem z pod nóg się podrywa, bystrolotny bekas w przestworzach szybuje!... A wszystko odbywa się na tle starego Polesia, które serce myśliwca tylko należycie odczuć potrafi!... Łowy

podobne upływają zwykle w towarzystwie miejscowych gajowych — ludzi przyrody. Moc wszechstworza upaja szerokim swym oddechem — przenika wszystkie fibry przemęczonej duszy — świeżością oparów z wód i mokradel rozległych, trzęsawisk torfiastych... Wieczna radość istnienia na nowo się w sercu odradza — wdzięczności hymnem ku swemu Twórcy przepelniona! — wieczna jak sny młodości złotej! — Z jakąż to rozkoszą pod wpływem podobnych nastrojów — kroczy wierny adept św. Huberta ku tym horyzontom nadziei pełnym, pogoni nie za królewną z Bajki zaczarowanej, nie za Loreley legend germańskich, lecz za skromnym „teterukiem“ już we „frak czarny“ poczynającym się przybierać, za „funtowym“ sierpniowym dubeltem... To daleko lepiej i zdrowiej!... chociaż dalipan! — nieraz też djabelnie trudne bywa!

Radośnie przedzierałem się przez „rokitniki“ i olszyny — w poszukiwaniu „farbowików“¹⁾... Zapowiadał się dzień upalny... Z krzaku każdego — gdy się pod stopami rozchyłał — tryskała nocna świeżość. ...Pocziwy legawiec pracuje rzetelnie! ...Widocznie jest już na tropach rozproszonego, żerującego stada... Satelici moi — sławetni Wakula Dziesiatskij i Stepan Nestoreczuk — typowi polescy gajowi „ochotnicy“ — aż drżą z niecierpliwości, w oczekiwaniu wyniku łowów. ...Zamarcie psa nareszcie! — na „martwej“ „stójce“... Furkot mokrych od łez nocy skrzydeł i ...podryw trzech, wyrośniętych już ptaków!... z których dwa koguciki. ...Suche strzały, do tych ostatnich! ...gracko! ...dublet, na jakie czterdzieści kroków!... Aportel!... Są już przy torbie!... Dalej!... Szukaj!... Znowu, powtórzenie tej samej, tragicznej dla rodu cietrzewiego — sceny... Następnie jeszcze ze trzy sztuki pod

1) Po miejscowemu nazwa „murzynów“.

akompanjament kwokania „starki“ „podjęły“ się pojedynczo.

Lecz basta!... zapaliwszy swe cygaro, bardzo grzecznie „odsalutowałem“ im tylko po wojskowemu i nic ponadto!... Niech lecą z Bogiem!... Dostyc z jednego stadka wzięto haraczu! — i to tak ładnie!... Reszta, bywajcie zdrowil!... O kilkaset metrów dalej znów „świeże stado“ — pada jeden — później drugi!... I wznowienie „strejku strzeleckiego“ — ku oburzeniu moich towarzyszy!... Zanurzamy się w coraz gęstsze łożyny... Wyżeł nerwowo „sylabizuje“ — niby po chróścielu obdarzonym „parowozową“ szybkością — leci po tropie jak szalony! — raptem przed zwartym krzakiem zamiera! Niewątpliwie „leniak“ pożądany! — stary kogut — wypior!... Pójdź dalej!... pill!... Łomot piekielny!... charakterystyczne kwoknięcie ...i rakiet! — lśniąc granatowym pancerzem w promieniach wschodzącego słońca, wznosi się czarny rycerz wiosennej miłości!... Wspaniała, należycie już odrośnięta lira ogona błyska na różanem tle niebios!... Chwila!... trubadur już broczy swą krwią błoto rodzime, beznadziejnie trzepocząc w trawach skrzydłami o białych przepaskach.

..Bajeczna obfitość zwierzostanów płasich w rewirach zwanych Łotocznem i Dziegciarnią jest tak imponującą, że więcej od trzech sztuk miłych „tetrao-tetrixów“ ze stada brać nie sposób. Hajda! — ku nowym stadom i zawsze tym samym rozkoszom odstrzałowym!

Wychodzimy, na zalane przez ulewne deszcze łąki... Zbliżamy się do przerzynających je kanałów. Krzyżówki rwą się gęsto i padają podobnie do dojrzałych gruszek... W tem miejscu, niech mi będzie wolno zrobić mały odskok od rzeczy!... W jednym z dni podobnych wypraw, lecz już w towarzystwie najmilszego pana Wacława Podhorskiego, mieliśmy w swem gronie uroczą „Djanę“ w osobie

panny Heleny Gajewskiej. W „sznytowym“ stroju chłopcicia poleskiego... w łykowych „łapciach“, w bluzie ze zgrzebnego płótna... wyglądała jak Sienkiewiczowska Basia z Chreptiowskiej Fortalicji!... Brnęła zamaszycie po pas w wodzie, ciągle dowodząc, że błoto „za płytkie“!... Podobny objaw tężyzny kresowej trzeba z największym uznaniem podkreślić!... Cześć dzielnej paniencie i niezawodnej w przyszłości, wiernej adeptce Ś-go Huberta!... Objuczeni cietrzewiami, kaczkami, wychodzimy na „suchsze ostrówki“... Z właściwem sobie „krechnięciem“ — polyskując białymi piórkami podogonia — ciągnie opasły stary dubelt... Strzał — i już się podnosi z trawy sierpniowego „funtownika“... Czasami, jak o nim powiadają myśliwi staroświeckiego autoramentu, bywa on o tej porze na tyle tłuszczem obłany — że pęka, padając — jak dojrzała śliwka!... Za nim w ślad rwie się... drugi i trzeci... Za chwilę podrywają się aż trzy długodzioby jednocześnie!... Co za delicjel!... Człowiek literalnie rozplywa się od „srogiej“ i „grzeczej“ wielce uciechy rozkoszy łowieckiej!... Piesek z wywalonym ozorem, do szczętu „sprawiony“ ledwo, ledwo z poczucia swego psiego obowiązku dotrzymuje jako, tako placu!... Pora wielka, na dobrze zasłużone śniadanie, parogodzinny odpoczynek, aż upał piekielny, nieco spadnie!... Wychodzimy więc na tradycją uświęcony pagórek. Odpoczywamy, na brzegu błota... Tu się rozkłada ognisko!... przed tem odbywa się... kąpiel w chłodnych wodach, szparko biegnącego kanału!... Precz! wszelkie wytworne „bains de luxe“ współczesnych instalacyj!... lecz nie koniec na tem!... Przysmażana na rożenkach — patykach niezrównana nasza poleska słonina, jędrna i zarazem masłowata, pieczone kartofle, słynne Chinockie kwaszone ogórki — para, druga rzetelnych kieliszków „wódjoli“ — po których, z nieodmien-

nem swem cygarem — rozkoszna sjeść na aromatycznym, rozgrzanem sianie!... Jeśli do tego dodać, że w czasie mej bytności w gościnnej Chinoczy posiadając li tylko 60 ładunków do swej wiernej dwudziestki — na skutek czego strzelać musiałem bardzo oględnie, padło ogółem 49 sztuk, z których 26 cietrzewi oraz jeden bekasik (*Scolopax minor*) wielka rzadkość w dniu 10 sierpnia, gdyż legną się sporadycznie w Witebszczyźnie, Inflantach, tundrach dalekiej północy — przelotnym zaś, żadną miarą być nie mógł — zrozumianem się stanie miano „wywczasów“ zastosowane do tego błogosławionego kresu! Uroczej Pani Domu, najmilszemu Gospodarzowi składam tu należną podziękę! Ś-mu Hubertowi Cześć!

Z WRAŻEŃ WOŁYŃSKICH

Upały dni sierpniowych spędziłem na skrawku Dzi-
kich Pól praocjów, które obecnie mają szczęście należeć
do Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, podczas gdy reszta
została od nas tak brutalnie wydarta. Głębokie, ciche jary,
bezgraniczne horyzonty kresowe leżą przed nami, jak
ongiś, zawsze zapachem „chlebowem“ tchnące, przepo-
jone tem specyficznem powietrzem limanów Dniepro-
wych, rozśpiewane poświstem skrzydeł bohaterkiej hu-
sarsji z pod Beresteczka i Zbaraża.

A tam w zakątkach stepowych chutory i pasieki na
dnie rozłogów drzemią pieściwie otulone sadkami wi-
śniowemi, z których to w maju rozmodlony śpiew sło-
wika niejedną czarnobrewą Halę lub Horpynkę rozma-
rza podczas srebrzystych, księżycowych nocy — wiosny-
czarodziejki.

Krynice i źródła z pod granitów i piasków gór kryszta-
lowych wód przejrzystych i zimnych krople po kropli
obficie sączą, podczas gdy stateczny „diad’ko“¹⁾ słod-
kiego wywczasu na murawie swego sadka pod gruszą
używa a dziarsko zuchowaty „parubok“²⁾ ukradkiem na
schadzkę miłosną ku lubej dziewczynie podąża. Wszystko

1) Po miejscowemu: solidny chłop.

2) Młody chłopiec.

tak było i nawet się ku starości mało co pochyliło. Mimowoli przychodzą na myśl opisy tych zakątków, krainy mlekiem i miodem płynącej, zawarte w liryźmie Tarasa Szewczenki, Marka Wowczka i całej plejady bardów ukraińskich, do bezimiennych, ślepych, jarmarcznych lirników włącznie. A lud ten dziki, tyle ku nam nieufny, który tyle już krzywd krwawych nam wyrządził, jeszcze w mrokach czasów Chmiela i Krzywonosów przeróżnych, zakończony epilogiem horendalnego bestjalstwa „bezkrwawej“ rosyjskiej rewolucji, tak zwanej „swobody“ (piękna swoboda, niema co mówić), a jednakże pomimo wszystko tak ściśle związany z zaraniem życia nas kresowców, że wszystko mu się mimowoli przebacza i znowu z pewnym sentymentem wchodzi się w kontakt z Wasylami i falangami Maksymów przygodnych.

Cóż robić? — fatalizm atawizmu pokoleń całych w przeżyciach ich i własnych dni młodości złotej zawartych. Lud ten dzisiejszy, nie zważając na szaloną, wrogą nam propagandę ze strony serdecznych naszych sąsiadów i przyjaciół, pomimo wszystko coraz więcej przenika się należnym respektem ku naszej młodej państwowości. Ogromnie się ku temu przyczynia pobyt w szeregach naszego wojska młodszej generacji — kulturalne oddziaływanie tego czynnika przebija na każdym kroku.

„Bula pane carskaja włast’, były Nimci, były hajdamaki i bolszewiki — wse projszło — dumają szczo i Poliaki projdut’ — ale ni — nykoły w switi, ma but’ Wasza włast’, ostanetsia wże, bo poriadku wse bilsze, szkoły, szosy budujete. Ot, jak synok ze służby z Poznania od ułaniw wernuśia to takij rozumnyj, tak dobre pańskiej mowoj bałakaje, takij „fajn“ chłopiec, choć kudy. I wsi na seli jeho ne inacze, jak panom welyczajut’. Daj tylko Boże wam poriadku jak najbilsze zawerty i wse bude do-

bre“¹⁾. — Charakterystyczne zdania przeciętnego chłopca tutejszego dobrze uświadomionego, co się tam, poza trzydziesto-kilometrowym pasem przedgranicznym, w sowieckim raju dzieje. Dusza i serce polskie od podobnych słów rosną — precz z sarkaniem pesymistów i zrzędów. A gdy do tych błogich nastrojów, pasja łowiecka może znaleźć swe zadośćuczynienie na tak wspaniałych terenach, jakimi niezawodnie są stawy na Horyniu (Borsukowiecki 700 ha, Peredmirecki 350 ha) wraz z dodatkami błot przyległych, stanowiących własność mojej najukochańszej bratowej hr. Niny Rzewuskiej i jej córki, na których to do syta delektować się można, jak niegdyś przed laty, w pełni całej z rozkoszy polowań na gęsi, kaczki, kulony — cóż wtedy brakować może do szczęścia zapalonemu adeptowi św. Huberta. Nic, oczywiście.

Dopełnieniem może być tylko potrzeba wyrazu uczucia głębokiej wdzięczności dla kasztelanek owych łowisk, których teren tak hojnie przedemną został otwarty. Co też z zachwytem czynię. Staroświeckie przysłowie powiada: „I nie zawsze wiosna bywa i nie zawsze słowik śpiewa“, lecz co się tyczy „dominium“ naszego Wielkiego Patrona — to fałsz wierutny! Minęła dawno wiosna roku, tembardziej życia, lecz intensywność miłości ku matce-pocieszycielce — naturze, ciąg dziedziczny do uciech ło-

¹⁾ Widzieliśmy Panie carską władzę, byli Niemcy, byli hajdamacy i bolszewicy — minęło wszystko. Myśleliśmy, że i Polacy przeminają — ale nie, nigdy w świecie. Widać, że wasza Władza pozostanie, bo porządku teraz więcej. Szkoły, szosy budujecie. O! jak synek mój ze służby, z Poznania od ułanów powrócił, to takim rozumnym, tak dobrze „pańską mową“ rozmawiającym, taki „fajn“ chłopak, choć do rany. I na wsi wszyscy go nie inaczej, jak per „pan“ tytułują. Daj wam Boże zaprowadzić jak największy porządek i wszystko będzie dobrze.

wieckich, w duszy myśliwskiej zawsze był i jest jednaki. Znicz ten gorzej w mrokach czasu dalekiego, nie słabnąc — a może nawet jeszcze jaskrawiej obecnie, niż w latach młodocianych — przeszłości złotej. Św. Hubertowi cześć!

* * *

Stawy borsukowieckie, na których już z mej ręki padło tyle barwnych kaczorów krzyżowych, tyle różnorodnych kaczek przelotnych, bądźto w prażących słońcach lata, bądź w szarugach smutnej jesieni, kiedy to pojawiają się na tych wodach gęsi, bernikle, ba — labędzie nawet, w roku bieżącym przedstawiają widok niesamowity. Dzięki posusze, która panowała niemal na Polesiu całym, ogromne ilości krzyżówek przeniosły się na stawy Wołyńskie. Obliczam, że tego gatunku kaczek było tam w okresie sierpniowym nie mniej od 10—15 tysięcy sztuk. Łatwem to było do obliczenia, podczas mianowicie wylotu ich na żer wieczorny na pole prosem i hreczką obsiane. Stada podrywały się z gładkiej tafli wód po parę tysięcy osobników naraz, oprócz rojów pojedynczych z trzciny i sitowia. Zawdzięczając też tej okoliczności, była w gościnie moc kuligów wielkich (*numenius arquatus*), trzymały się kompanjami do sta i więcej. Na skutek tego, że Borsukowiecki staw¹⁾ już od lat kilku nie był spuszczanym, uformował się cały cykl, na środku siedmiuset hektarowej przestrzeni, wysp z tak zwanej „raski“ pokrzyw wodnych i przeróżnych wodorosli. Przejazd nawet płaskodenką łódką, specjalną do polowania, był arcy-

¹⁾ Nastąpić to ma według planu rybołówstwa tak umiejętnie i fachowo prowadzonego przez wybitnego ichtjologa, najsympatyczniejszego dzierżawcy tych obszarów, pana Dużewicza, latem przyszłego roku.

trudnym po owej „laguna morte“. Na tych to wyspach wspaniałe ptaki, wielce ostrożne i bardzo rzadko pod strzał trafiające, obrały sobie siedzibę nocną, do której, jako do eldorada obfitującego w smakowite ślimaczki, robaki, pijawki i inne delicje, co wieczór tłumnie, ciągnęły z dalekich błot i pól, aż zapewne z Zwiąhła i Żytomierza bolszewickiego.

Zauważysz te ich peregrynacje i zorjetowawszy się w sytuacji — ja z moim dzielnym Nikonem, rybakiem miejscowym i mistrzem w zawitym kunszcie kierowania łódką w podobnych labiryntach, w pamiętny wieczór 31 sierpnia byliśmy już misternie ukryci w oczeretach na jednym z tych szlaków, na posterunku myśliwskim. Oto już od kilku mych strzałów padło kilka cyranek i podgorzalek, raptem melodyjne, fletowe dźwięki kuligów wielkich — ciągnie stado jedno, drugie, lecz niestety albo zbaczają, albo w aeroplanowych lecą wysokościach. W tem cztery sztuki ukazują się na jakie 100—120 metrów nad głową. Ryzykuje, rzucam strzał problematyczny. O radości! Nigdy nie zapomnę na tle gasnących szkarłatów w pastelowo-fioletowych tłach zamarcia dnia, tego cudnego łuku opisanego przy spadnięciu rzadkiego okazu, jego hieratycznie profilującą się szyję z dziobem, rzeczywiście „arquatus“, nadającym niejakię prawa na kuzynostwo z ibisami Faraonów tajemniczego Egiptu.

Widok wspaniały, fragment łowiecki niezapomniany dla duszy myśliwskiej.

„Oj pane, „fain“ sztuka — wykrzykuje z namaszczeniem podnoszący go Nikon — nykoły takoho ne baczył z błyżka“. Podobny strzał epokę stanowić może. Lecz nie koniec na tem. Nazajutrz rano z nadciągającego stada (około 80—100 sztuk) też na odległość może nawet większą wytrącam drugi takiż sam okaz. Markotną nieco była

myśl, że wypchana przez Lastowskiego moja ofiara, jako skromny hold wdzięczności ozdabiać będzie oczywiście „hall“ gościnnego dworu w Borsukach, tymczasem los nie zapomniał też o skromnych ścianach mego warszawskiego „asilium“, będzie też i u mnie najprawdziwszy „numenius“ gwoli rozkoszy wspomnień.

Jeśli do tego dodać 42¹⁾ padłych z mej ręki kaczek rozmaitych odmian na 62 strzały, dane w przeciągu tych tak krótkich kilku dni, zrozumieć łatwo wielkie me ukontentowanie łowieckie, to też jest ono nie małe, lecz myśliwi są nienasyceń. Już teraz doczekać się nie mogę błogich chwil powrotu swego w październiku na brzegi Ikwy i Horynia dla nowych pogoni, nie za snem złotym marzenia niedoścignętego w kobiecej postaci, lecz za gęśmi, kaczorami, kto wie — łabędziami może?

„O to panoczku „fajn“, taka huska“ — podkreśli historyczną chwilę pocziwy Nikon. Co daj Panie Boże i św. Hubercie jak najprędzej, dzięki składając za „już“ a prosząc o „jeszcze“..

1927 r.

¹⁾ Oprócz tego dziesiątek przepiórek i para kuropatw.

NA WIELKICH WODACH WOŁYNIA

Znowu cudnych parę tygodni, wśród złotej polskiej jesieni spędziłem na tych taflach przejrzystych wielkich zbiorowisk wodnych, uformowanych przez Horyń... Do wszelkich delicyj, któremi już tylokrotnie tak szczerze bywałem obdarowywany — do ukojeń bajecznych stawów Borsukowieckich (powiat Krzemieniecki Województwa Wołyńskiego) dołączył się jeszcze tym razem drogocenny pierwiastek — rzekłbyś orchidea rzadka w cieplicy bogacza wyhodowana!... Odczuwać albowiem „indywidualnie“ napięcie Piękna oczywiście miłem jest i „srodze przyjemnem“ jak mawiali Przodkowie — lecz — kiedy to obok, ma się klejnot subtelnej Duszy Myśliwskiej — swego Kompana najmilszego — gdy każdy oddźwięk — odruch najsubtelniejszy tętnem jednakiem bije unisono w bratniem sercu osoby bliskiej!... o wtedy to dopiero osiąga się szczyty niezrównanych rozkoszy!... A miałem ich w bród — ponieważ trzy dni polowaliśmy w Borsukach razem z Juljanem Ejsmondem!... W mlecznych oparach mgieł brzasku dnia wyjeżdżaliśmy na te gody łowieckie — każdy na swej łódce, mistrzowską ręką miejscowego rybaka Nykona lub Semena kierowanej — jak mara zanikając w tajemniczych mrokach matowo świetlnych — w morzu sitowi się rozplływając... Później gdy opadał welon poranny — kiedy to snopy triumfalne pro-

mieni słonecznych — Glorją swych blasków na każdej trzcinie oczeretów w każdej kropelce rosy wyśpiewywały hejnał koloryzacyj niezrównany — wtedy to przenikaliśmy w najskrytsze tajniki — labirynt „misteryj“ świata osobliwego — miano stawów Wołyńskich noszący!... Niejeden biedny, barwny, zielonogłowy kaczor krzyżowy z taką ufnością po perypetjach nocnych wycieczek, na „koczce“ lub sploni wodorosli należycie „oskubawszy“ się i „napluskawszy“ — zasypiał twardo, — bezpiecznym się czując w szuwarach niedostępnych!... Raptem!... o zgrozo!... koszmarowy najazd brutalnej łódki „płaskodonki“!... straszne „ludzkie“ postacie!... suchych strzałów wybuchy!... i już piękna „babim latem“ rozmarzona głowa kacza nie zorientowawszy się nawet o co właściwie chodziło?... już!... jako „trofeum“ na dnie łódki na wieki zastygła! „Requiescat in pace“!...

W szarugach wieczoru stawaliśmy na „przelotach“ — poniekąd „złotach“ najróżnorodniejszych gatunków i odmian sławetnego kaczego rodu na zarośniętych, rdzawych „helawach“ obok „jezior“ czystej wody, gdzie gęsi ba! labędzi nadlotu spodziewać się można było!.. Z rąk Redaktora Ejsmonda padły, oprócz zwykłych dwie rzadkie bardzo ogorzalki północne oraz piękny okaz „łyżkodzioba“... Ja znowu miałem szczęście jednym strzałem strącić aż dwa kaczorki tak zwanych po miejscowemu „szyrokonosek“ ze stadka z sześciu sztuk złożonego!... Dziwny zaiste traf strzałowy podczas, oczywiście, „skrzyżowania“ się w locie dwóch egzemplarzy!... Dzień następny upłynął w zabiegach zdjęć kinematograficznych, omal że nie zakończonych katastrofą dla operatora o jeden włos nie mający jako żalosego akordu przymusowej kąpieli w nurtach Horynia!... Dzięki Redaktorowi Ejsmondowi z ramienia Ministerstwa Rolnictwa wysła-

nych zostało dwóch panów specjalistów, celem zdjęcia ślicznych fragmentów stawów Borsukowieckich oraz epizodów łowieckich dla propagandowego filmu tegoż Ministerstwa... Lepszych kwalifikacyj od majątków mojej Bratowej hr. Niny i Jej córki Jadwigi Rzewuskich z latarnią nawet i to jeszcze elektryczną, trudno by było dąlipan, odnaleźć!... i niezawodnie ostatnie całkowicie zasługują na podobne odznaczenie!... Wkrótce też oglądać można będzie owe zdjęcia na ekranie kin stołecznych.

...Gęsi, których przelot natenczas (około 10 października) był w pełnym swym rozwoju, niestety nie udało się memu utalentowanemu koledze zdobyć w czasie jeszcze z dni dziesięć u Bratowej, byłem pewnym dla siebie swego pobytu — ku wielkiemu memu ubolewaniu! Dla mnie zmartwienie było nie lada — gdyż mając zabawić bie dodatniego rezultatu tych królewskich łowów — zresztą tyle już w swej karierze łowieckiej miałem na sumieniu osobników tego rodzaju upolowanych na mych Wierzchowieńskich stawach — że dla mnie jako starego „gęsiarza“ zdobycz nawet kilku „anserów“ bynajmniej nie stanowiła „nowalji“ myśliwskiej! Radością byłoby „ukontentowanie“ należyte Kochanego Pana Juljana!... Lecz „Homo proponit Deus disponit“!

* * *

Chyba tylko, do niezrównanych emocyj podchodu gluszca — nocne czaty jesienne i „podjazd“ łódką na wielkich wodach podczas walnego przelotu stad gęsi — porównać można... Lecz w tego rodzaju łowach większą jeszcze od myśliwego rolę odgrywa niezawodnie rybak łódką kierujący!... Winien to być mistrz tej sztuki arcy-skomplikowanej, głęboki znawca terenu i szeroko obdarzony tym „feu sacre“ — tą intuicją łowiecką, — której

niepodobna się nauczyć — z nią „urodzić się“ tylko można!... A do tego rodzaju wybranych należy słynny Nykon Faryna — mój akredytowany „akompanjator“ symfonji tylu nocy zaczarowanych — na Borsukowieckich stawach prześnionych!...

...Sztuka cała polega na zaobserwowaniu miejsc „zapadnięcia“ na czystej wodzie zwykle, zdała od szuwarów — i zarośli nadbrzeżnych o późnych nieraz wieczornych godzinach (10—12) stad przelotnych, oraz kierunku pomyślnego wiatru i światła księżycowego (najlepiej przy ostatniej kwadrze). Gęsi i łabędzie powracające z żeru na polach, mocno spragnione — napiwszy się wody do syta, rzetelnie „wypluskawszy się“ mało pomału „zaspiają“ ukolysane falą na taflach wodnych!... Otóż, wyjechawszy o jakiej godzinie pierwszej w nocy, koniecznie „pod wiatr“ — cicho podjeżdża się łódką w oczeretach i mniej więcej staje się skrycie w gąszczu, na wysokości ewentualnego pobytu stad... Pilnie się „wysłuchuje“ godzinę, dwie — dopiero przed brzaskiem — wtedy, gdy jeszcze „strona bieleć nie poczyna“ to jest około 3—3 i pół (w październiku) — dolecieć może do uszu dyskretnie „gęganie“. W okresie kilku godzin nocnych gęsie stada przy odpowiednim kierunku wiatru — „bezwiednie“ dla nich „przyholowują się“ niekiedy nawet bardzo blisko do oczeretów i brzegów... Nad ranem zaspiane kohorty „zbawców Kapitolu“ podejmują między sobą ciche rozmowy, tajemnicze narady półgłosem o projektach dnia następnego zapewne... W ciemne też noce, nieraz wypada strzelać „na głos“ tylko. — Oczywiście z punktu widzenia „myśliwskiego“ nie jest to „operacja“ przyjemna — chociażby rezultat był obfity nawet!... Lecz, gdy w „poświacie“ zarania uda się „podjechać“ do stada — „nasyć się“ widokiem tak rzadkich

„intymnych“ ruchów tych ptaków wspaniałych — o wtedy w zapomnienie idzie, kilka nawet nie przespanych nocy! — nie zwraca się uwagi na „ziąb“ przenikliwy poranków jesiennych — na wiatry dotkliwe podczas „gryzących“ przymrozków!...

* * *

Zaczarowani, lekkim pluskiem łagodnej fali — ukojeniu, spokojem z doskonałych, najdoskonalszym — w napięciu jestestwa całego jesteśmy „wysłuchani“ — czy nie odezwie się „gęganie“?... „Pane! — gargocza! — ce sybirki! albo „stepowyje“ (Anser anser) — lub „bielogłowi“ (anser albifrons)... Podobne słowa Nykona — wywierają identyczny efekt z sakramentalnym „panoczku czujecie!... Klepajet!“ w gotyku pni Puszczy Poleskiej — podczas głuszców podchodu od osadczyka gajusa słyszane!... Momentalnie, w Nirwanach zapomnienia zanikają... gorycze, kłopoty, — niedola ludzka wszelka!... Jest tylko, jedyny cel marzeń ten ptak dziki, tajemniczy — z tundry i pustkowi dalekiej Północy do nas przybyły, — czujny jako istota pierwotna wśród przyrody zrodzona, w ciągłych niebezpieczeństwach od pokoleń przodków wyrosła, długą peregrynacją więcej „perfidyj“ przeróżnych nauczona! — tysiące kilometrów już drogi mająca po za sobą — więcej jeszcze przed sobą — którą jednak zdobyć się musi — zdobyć koniecznie trzeba!... Wtem zamajaczyła — jakaś czarna plama, na stalowej powierzchni wody! ..,„Pane baczyste?“ (czy Pan widzi?)... tak jest!... widzę!...

...Stary gęsiar przodownik stada, majestatycznie podnosi się na łapach — skrzydeł swych moc próbując!... Aparat ów lotniczy ma go, i podkomendną gromadę przemieść przez całą Europę? przez głębin morskie aż tam het! do Deltę Nilu, do piramid Faraonów Egiptu, lub do

Azji Mniejszej! do Kaukazu, wśród wód szerokich rozlewu! nad brzegi Lenkorani dalekiej... Stado porozumiewająco odpowiada mu przytłumionem „gęganiem“... „Panie! — strelajcie bliżej nie podjydam!“ (Panie, proszę strzelać! — bliżej nie podjedziemy!) — słyszę, namiętny szept Nykona za swemi plecami!... Zwlekać istotnie niepodobna!... W moment „podrywu“ przerażonej watahy ptactwa — pada bezdymny, suchy strzał mój!... i wałam się z gromkim pluskiem dwa okazy!... Wycelowuję jedną z ubocza! — później drugą!... gracko!... dublet z mego starego, wiernego „drylinga“... Bravo! — brawissimo!... I cóż zamienić zdoła rozkosz przeżyć podobnych w szarugach świtu jesiennego prześnionych!... Jakie rozkłady klinicznie hodowanej „kulturalnej“ zwierzyny porównać się dadzą z ową różnorodnością gatunków, którymi darzy nas Święta Matka Przyroda podczas przelotów na Wielkich Wodach!... Z jej przezczystych źródeł li tylko czerpać możemy jak z rogu obfitości! — szereg cudnych niespodzianek — w gatunkach, otoczeniu, strzałach niesamowitych nawet!... Dzięki Św. Hubertowi za nie!... A da Bóg na przyszły sezon kochanego Pana Juljana kolejka i to, nie do jednego stada tylko!... No i mój „ciąg dalszy“ — spodziewam się także!... Oprócz 5 sztuk gęsi padły z mej ręki 52 kaczki przeróżne — najwięcej oczywiście barwnych kaczorów w odzieży godowej! — „Numeniusy“ już odleciały. Ostatnio zdobyłem — dwie sztuki w Borsukach!

Październik 1927.

NA WILKI

I.

Podobna dzika bestja — warta jest strzału i oblicza pańskiego!... powiedziałby niezawodnie ksiązę Karol Radziwiłł Panie Kochanku — prototyp prawdziwego myśliwca „de re et nomine“ dawnego autoramentu!... Okrzyk ordynata nieświeskiego, pana na Mirze, Olyce, Bialej i innych włości w tytułach jego nawet nie istniejących, aplauz też pozyskalby wśród zacnych postaci antenatów naszych — dziś po trudach i znojach życia słodko w wieczności odpoczywających!... Bo, rzeczywiście po za żubrem, dziś niestety prawie li tylko ozdobą ogrodów zoologicznych będącym — rzadkim bardzo łosiem i niedźwiedziem — wilk zajmuje pierwsze miejsce wśród grubej zwierzyny. ...Powiem więcej! — Niemasz pomiędzy poważnymi obiektami łowieckimi drapieżników w tak ścisłym związku będących z błogosławionym okresem naszego dzieciństwa!... Któż z nas nie pamięta w mgle złotej lat ubiegłych chwil — kiedy to na kolanach matki, lub starej pocziwej „piastunki-niani“ przy zacisznym kominku dworu czy siedziby szlacheckiej słuchało się z zapartym oddechem bajek o „Kopciuszku“, opowiadań o wilkołakach“ — przeróżnych dziwolągach zaczarowanych!... W późniejszych zaś młodocianych okresach nieskończonych narracyj starszego pokolenia o homerycznych obla-

wach z sieciami, na których to padało po kilkadziesiąt „szarych przyjaciół“!... Lub o mroźnych nocach rozgwieżdżonych w księżycowej poświacie, — na sankach „z prosiakiem“ aż do świtu na stepach kresowych w napięciu emocji łowieckiej spędzonych!... O wyprawach z chartami, które „brały wilka“ — gwoli możności „zestraszenia żywcem“ przez zuchą dojeżdżacza!...

Niemasz zwierza tak ściśle otoczonego przez tajemniczy nimb legend przeróżnych!...

Rzecz bardzo ciekawa: nawet w krajach, gdzie od paru set lat nikt właściwie żywego wilka oprócz w menażerji nigdy nie oglądał!... Poezja zgrozy wobec krwiożerczości tego rabusia koronuje go, że tak powiem, „koszmarową“ chwałą o szerokim rozgłosie!... Atoli, z punktu myśliwskiego stanowi on niezawodnie obiekt rozkoszy i przeżyć niezrównanych!... Zkądinąd po wielkiej wojnie, kiedy to król stworzenia „vulgo“ człowiekiem zwany tak dobitnie zastosowywał smutną maksymę „homo homini lupus“ — wilcy, wypłoszeni z zaciszy karpackich przełęczy, z głębin puszczy Polesia starego, pojawiały się i w znacznej nieraz liczbie, tam, gdzie przedtem oddawna już zanikły były najzupelniej!... Rzecz dziwna i godna uwagi!...

II.

W drugiej połowie ubiegłego stulecia powiaty: skwirski, taraszczański i lipowiecki ziemi kijowskiej, roily się niemal od zatrzęsienia wilków!... Polowano w tych „zamierzchłych“ czasach na nie niemało — aliści zawsze jednak po należytem „podwyciu“ przez specjalistów starych gajowych jesienią na „gniazda“ — „stropieniu“ zimą podczas naganek — lecz zawsze prawie „obrzuciwszy“ opolowany ostęp sieciami!...

Sieci te, które dzisiaj przedstawiałyby horendalną wartość — dostateczne były do zamknięcia kilkunastu-hektarowej a nawet i więcej kniei!... Każdy prawdziwie wielki „venator“ ukraiński posiadał w swym dworze owe machiawelskie przyrządy — istną zagładę dla sławetnego rodu wilczego!... Zwykle „żywa noga“ „szarych przyjaciół“ nie „salwowała się“ z podobnych wielce okrutnych „opresyj“!... Egzemplarze nie padły od „dziwerówek“ celnie bijącej braci myśliwskiej — dobitymi były przez „dziadków“-chłopów, zagmatwane w sieciach zdradzieckich!... Przy tej okoliczności — nasuwają się refleksje! — Dlaczego wilk, bojący się jak ognia czerwonych, w istocie tak niewinnych chorągiewek na sznurach — którymi to się obecnie zazwyczaj posługuje przy obławach — a dawniej też szeroko zastosowywano w Rosji przez „okładczyków-kacapów“, tak zwanych „pskowiczej“ — nie lęka się prawie zupełnie daleko straszniejszych wysokich sieci!?... „Chi lo sa?“ Czy nie wrodzona nienawiść do czerwonych barw rewolucyjnych?...

O ile, przytem, jest mądrym i zmyślnem stworzeniem, potwierdzić może okoliczność zaszła w naszych wierzchowińskich majątnościach!...

Będąc dzieckiem jeszcze podówczas, pamiętam doskonale walne polowanie odbyte u nas w 1876 roku, kiedy to jednego dnia z okrążonych sieciami 18 wilków — żywych uszło li tylko dwa!... W tej liczbie upolowanych, ogromnych rozmiarów stara wilczyca ledwo że nie uczyniła swej ofiary z najbliższego sąsiada ś. p. Franciszka Potockiego!... Celem albowiem dostawienia „zestrunionego żywca na pokaz“ potwora usiłował go podstrzelonego „zakneblować“... Monstr rzucił się na dzielnego myśliwca!... i tylko zimna krew uratowała go!... Lufę strzelby wpakowawszy w paszczę, szamotał się aż do sukursu

nadbiegłych chłopów, którzy kijami „dokonali“ rozwścieczonej staruszki-wilczycy!... Zaiste! wspaniały gest dawnej naszych ojców tężyzny!

..Otóż po takim ich pogromie u nas — wilki znikły jak kamfora z całej okolicy!...

Ja osobiście od lat dziesięciu „tłukąc“ się ze strzelbą nieustannie po całym niemal powiecie — dwa razy tylko spotkałem jednego — później parę sztuk razem. Aż na Wołyniu dopiero padł z mej ręki mój pierwszy wilk — później na Podolu podczas jesiennych polowań!... Słyszało się o udanych łowach wilczych, coprawda odbytych w Mińszczyźnie, na Polesiu — za Dnieprem w ziemiach połtawskiej i czernichowskiej... u nas zaś... ucichło kompletnie!...

Prawdopodobnie i dziś na naszych dawnych „Dzikich Polach“ praocjów grasują znowu owe bestje, pożerając resztki dobytku chłopów-rezunów!... ku utrapieniu zapewne towarzyszy-komisarzy bolszewickich. Dobrze im tak — za naszą krew i krzywdy!... chociaż pokrewne instynktami, muszą te dwie odmiany „drapieżników“ odczuwać wzajemną ku sobie „abominację“ — chociażby konkurencyjną — na tle niszcycielskiem!

III.

Obecnie, dzięki niezmordowanej energji i zarządzeniom szefa referatu łowiectwa przy Ministerstwie Rolnictwa, tyle utalentowanego p. Juljana Ejsmonda, znanego poety, nadleśnictwa rządowe w Wilnie i Białowieży posiadają słynne sznury z chorągiewkami. Bez nich obława na wilki nie daje zwykle dodatnich wyników — szczególnie po „czarnej stopie“... Zdaje mi się, że możliwemi są pertraktacje o wynajęcie z Nadleśnictwa sieci niezbędnych!... Zresztą zamożniejsi z pod zielonego sztan-

daru „bracia-venatorzy“ jakoteż kółka myśliwskie mogą zafundować sobie owe przyrządy według istniejących już wzorów. A dalipan! — w dobie obecnej przy rozmnoży wilków w niektórych zakątkach kraju — opłaci się!...

Ta niezawodna metoda łowów wymaga etatu doświadczonych „tropicieli“ a takich zawsze znaleźć można wśród poleskich do pni olchowych podobnych gajusów „szareńkich, ciemnieńkich“ — a chytrych i przebiegłych!...

Jazda z prosiakiem rzadko bardzo dobrze się udaje i to tylko w rejonach rojących się od „lupusów“. Czaty przy padlinie łatwiejszemi są — lecz wymagają wypróbowanego zdrowia, żelaznych nerwów i... anielskiej cierpliwości.

IV.

Wobec muzealnej rzadkości niedźwiedzi, łosi — zaniku żubrów niestety! (czy odrodzą się kiedy u nas ze sprawdzonych okazów?) — wilki stanowią obecnie jedyną można powiedzieć „drapieżną zwierzynę dawnego autoramentu“ — urok łowów na którą nie ma sobie równych!

Więc kochani Czytelnicy-Myśliwi! — strzelba na ramię i przy pierwszej okazji hajda! — na wilczki! I kto raz celnym strzałem „zruluje“ krwiożerczego „lupusa“ — ten napewno będzie wielokrotnym „recydywistą“ co daj prędzej święty nasz Patronie dla nas wszystkich sług Jego wiernych z pod zielonych sztandarów!...

Na wilki więc!... na wilki!...

ZIMOWE POLOWANIA NA ZAJĄCE BIELAKI NA PÓŁNOCY

Dla miłych kolegów myśliwych niezawodnie ciekawym będzie opis łowów na tych tak bliskich, chociaż gruntownie różnych w swych obyczajach — krewniaków naszych poczciwych „*lepus timidus*“.

Poczynajmy od tego, że bielak „*lepus varabilis*“ jest przeważnie mieszkańcem lasów głębokich i błot obszer-nych, a zaś w Polsce, li tylko północno-wschodnie kresy Rzeczypospolitej goszczą go, w dość zresztą ograniczo-nej ilości. Na skrajach leśnych można się z nim spotkać u nas, na równi prawie z szarakiem — na północy zaś, począwszy od ziemi Nowogrodzkiej, guberniach bylej Ro-sji, wołogodzkiej, ołonieckiej, archangielskiej i t. d. — zając zwykły już zanika prawie zupełnie, jest rzadko-ścią — natomiast bielaki stanowią najpospolitszy rodzaj zwierzyny. Toż samo na miejscu i na tych naszych wschodnio-północnych rewirach — w głębi mateczników i mokradel — daleko łatwiej spotkać bielaka niż kuzyna jego, pospolitego szaraka. U nas już widzieć można bia-łego „*leporyda*“ w głębokich rządowych lasach, dzierża-wionych przez Poleskie Towarzystwo Łowieckie, mia-nowicie: w puszczech Wiado-tupickiej, Różańskiej, Mi-chalińskiej, w niektórych okolicach Wileńszczyzny. W powiecie sarneńskim na Polesiu, na bardzo odpowied-

nich błotnisto-olchowych terenach, nie napotykałem go wcale, w Mozyrskiem — przed wojną — bardzo rzadko. Oczywiście, nasza była Witebszczyzna, jakoteż ziemia Kowieńska, Mohylewska obfitują w bielaki, będąc dzisiaj, niestety, niedostępne dla naszych zapędów łowieckich... Szaro-rudy w porze letniej, nieco mniejszych rozmiarów od zwyczajnego (waga zwykła 6—10 funtów), zimną w swej świetno białej szacie z czarnymi końcami uszu pomyka, bielaczek jest prześliczny! Już w listopadzie nabiera barw zimowych, w kwietniu staje się podobny do zwykłych zajączków. Nigdy bielak nie zagląda do ogrodów owocowych, żywiąc się jedynie korą z łoziny, olchy, wierzby i osiny. Nigdy nie obserwowałem wyrządzania szkód ogrodowych u nas, spotykałem go bowiem li tylko w głuszy leśnej. Co się tyczy jego „chodów“, to „kluczy“ daleko więcej od szaraka, jak wąż prześlizga się pod wykrotami, idzie zawsze prawie miejscami najgęstszymi — na nich więc winien myśliwy go oczekiwać.

Ileż to razy bywało podczas polowań na niedźwiedzie w tajdze ołonieckiej lub lasach Wołody, kiedy jestestwo całe przyrodnika-myśliwego w naprężeniu najwyższym, zatopione w czary oczekiwania i ciszę z doskonałych najdoskonalszą — gdy każdy płatek śniegu z zasypanego świerku głośnem echem w sercu się odbija, — każde kwilenie sikorki, lub ćwierkanie stadka przeciągających nad głową krzywodzióbów, — co za wrażenie wywierała raptowna zjawa skoczego bielaka... Jak gnom z bajki, elf leśny, duch tych zamarłych, rzekłbyś, pustkowi — wynurza się śliczne stworzonko na białozielonem tle, drzemających drzew olbrzymów. Popatrzy uważnie, o kilka kroków odległości nieraz — „słuchy“ swe czujnie nastawisz... chwila — i... już go niema! już na nowo zanurkował, roztopił się wśród mroków podgłębi puszczańskich i to naj-

bezpieczniej w świecie. Bo czyż się myśli o nim natenczas, oczekując misia-potentata? Natężona uwaga li tylko dla pierwszych odgłosów nagonki. Raptem znowu z innej strony zamigotała biała sylwetka. Inny, nowy okaz, a może być i ten sam, po odbytem kluczeniu w wirydarzach świerczyny. „Chi lo sa?...“ Bo w kluczeniu mistrzem jest zacny kot leśny, jak nazywają go miejscowi „mużyki“, którzy też z tego powodu nigdy i za nic w świecie nie używają zajęcia jako pokarmu. Wcale nieuzasadniona abominacja, gdyż pod względem gastronomicznym nie jest gorszy od szaraka, zwykle tylko nieco chudszy i więcej żylasty w skokach. Zresztą dla rodu bielaczego tem lepiej, podobna abstynencja, lecz, coprawda w niewielkim stopniu, gdyż pomimo to, tysiącami wyłapywano je na wnyki dla „eksportu“ do Petersburga, Moskwy i innych środowisk w czasach przedwojennych. Nie wiem, jak stoi ta kwestja obecnie. Myślę, że warunki głodowe raju sowieckiego zapewne przewyciężyły wrodzony wstręt do „leśnej koszki“ — obywateli bolszewickich. A może zresztą nowa ustawa łowiecka rządu robotniczo-właścianskiego iście „drakonowska“, o której też parę słów zamierzam napisać, jako „horribili dictu“ godną pod pewnymi względami nawet naśladownictwa, może wzięła i tych miłych gryzoniów pod swą iście wściekłą opiekę. Kto wie co się tam dzieje w Imperjum proletarjackiem czerwonych carów Moskwy.

* * *

Jeśli na naszych łowiskach wielkiem urozmaiceniem jest strzał do bielaka, to cóż powiedzieć o polowaniu na nie ze sznurami na dalekiej Północy. Stanowić to może prawdziwą ucztę myśliwską, pod kątem zapatrywania

estetyki, strzału i emocji na tle kultu św. Huberta. Delektowałem się tem nieraz w czasach przedwojennych. Technika tych łowów jest następująca:

Teren kilkuhektarowy, zazwyczaj porosły kępami krzaków wierzbowych i olszyną, obrzuca się sznurami z choraćkami, jak zwykle używanymi na wilki i lisy. Nie trzeba daleko szukać miejsc odpowiednich. Każdy tak zwany „pustyr“ pod każdą wsią niemal, obfituje w kilka conajmniej będących podczas dnia na legowisku zajęcy bielaków. Chyba je pieski poczciwe gospodarskie rzetelnie porozganiały, gdzie pieprz rośnie. Przy podobnych okolicznościach, zajmuje się kawał pustkowia obok nie na tyle splądrowany, lub nareszcie doświadczony „mużyk okładczyk“ sprawdza obecność nocnych wchodowych tropów i zeskoków. Kilku chłopczków zachodzi na terytorjum sznurami okolone (gdzie niema krzaków, sznury oparte o widełki), myśliwy staje obok zarezerwowanych tzw. „wrót“, tj. kilkumetrowej długości przestrzeni wolnej od sznurków i przy pierwszym ruszeniu tej malej nagonki dopiero zaczyna się prawdziwa uczta, istna radość myśliwska. Zaraz prawie poczynają, niby oderwane od białego tła śniegu ruchome białe płachty, rzucać się gwałtownie to w jeden koniec szczelnie zamkniętego pola, to w drugi... Napotykać groźne białe, żółte, czerwone gałgany — lecą jak szalone do przeciwnych krzaków fatalnego obwodu. Napróżno! Znowu ta sama zmora. Wtedy rozpoczyna się kotłowanie zajączków, a bywa ich zwykle nie mniej 5—6, czasami do dziesiątka w „miocie“ podobnym — bieranina wzdłuż sznurów straszdeł. Wszystko na nic... Jedyne wyjściem z koszmarowej opresji pozostają „wrota“ zbawienne w myśli biednych bielaczków, — śmiertelne w rzeczywistości. Zwykle, jak na dłoni,

widoczne są wszystkie te ewolucje, stojącemu za kordonem pod krzakiem lub nawet zupełnie otwarcie, myśliwemu przy wrotach...

Rwie zając, jak wichur, błyskawicą, słuchy przytuliwszy — prosto, jak po sznurku, wypuszcza się za kordon... suchy strzał bezdymnego ładunku przy 30° Reaumura, zwykła temperatura w tych strefach w półroczu zimowym i — biała sylwetka ruluje w białe puchy śniegowe. Moment, już, a dwa wali tak samo. Dublet... Gracko! A tu... sypią i sypią jeszcze, jak z rogu obfitości. No, czyż nie rozkosz prawdziwa? Jest się samotnym zupełnie; „publicum“ celnych strzałów li tylko „malczyski“, chłopcy naganiacze, brodacz muzyk okładczyk — ogrom bieli okalającej i to poczucie paru tysięcy kilometrów ciągnącej się tajgi północnej, w dal, do tundry samojedzkiej, lodami i morzem skutej. Na Jowisza i Herkulesa żadne wybijanie rekordów strzeleckich, do żywych tarcz żyjących na klasowych łowiskach Wielkopolski, wśród niemniej klasowych strzelb kraju naszego, nie dały i dać nie mogą przynigdy podobnych wrażeń, przeżyć łowieckich na łonie Matki-Przyrody. Czyste to, jak kropla rosy porannej, jak łza szczęścia ludzkiego bez fałszu i obłudny żadnej, bez „trików“ hodowli klinicznej zwierzyny, pokornie na rzeź idącej. Za takie chwile, chociaż o skromnego zajączka chodzi — człowiek korne przed Panem Wszechstworza dziękczynienie składa. Zapominają się bole i zgryzoty życia wszelkie — upaja się nimi jak winem szlachetnym, polecając się opiece św. Huberta, aby jeszcze raczył hojnym darem polowań podobnych obdarzyć. A hart nowy w jestestwo całe wstępuje i na duszy robi się tak słodko, tak miło, tak błogo... Nie afrykańskie to wyprawy. Nie lwy, hipopotamy, słonie... nie miś, srogi nawet... nie re-

kordowe „pięć kogutów“ lub „trzysta“ zajęcy — skrom-
nych bielaczków para jedna, druga... a jednak ile radości,
ile szczęścia daje duszy myśliwskiej!

*„A gdy mnie już na tej ziemi dawno nie będzie,
daj mi Boże bielaczków i w niebiosach wszędzie!*

WSPOMNIENIE O Ś. P. HIERONIMIE KIENIEWICZU

Jeszcze raz karta życia jednego wielkiego i szlacheckiego serca ludzkiego bezpowrotnie się przewróciła... epoka cała pewnego okresu, w mroki przeszłości na wieki odeszła!

Miły mój Boże! Ileż to razy słowa Bryniów, Dereszewicze, magiczny dreszcz oczekiwania rozkoszy w duszach myśliwskich budziły!

Pamiętam, przed dwudziestu kilku laty mój pierwszy do Bryniowa przyjazd! Korzystając z zaproszenia i ujmującej gościnności pp. Hieronimostwa Kieniewiczów — po paru dniach tam mego pobytu, opuściłem miłe tereny Jamickie, jak zawsze, ze szczerą wdzięcznością w sercu dla właściciela pana Dominika Dowgiałły i przybyłem do dworu Bryniowskiego na kałamaszce leśnika Henryka!

Jechać wypadło, dla skrócenia drogi, po polesku mówiąc „na pramiki“ — przez rojsty dzikie, przez brody pełne „korców“ i jam zdradzieckich! Bajecznych rozmiarów olchy i osiny przeplatane u dołu łożą nieprzebytą, drzemały cicho na kilometrach bagien i mokradeł! Prawdziwy zaiste „matecznik“ puszczy Mickiewiczowskich, o tajemniczych jeziorkach rdzawej wody, w których zda się po nocach czarownice i djabły trupy grzeszników warzą, orgje swe piekielne z legend germańskich do topielisk

litewskich przynosząc! Oto i dwór i stara siedziba Bryniowska. Kałamaszka wysuwa się z mroków leśnych, ustaje męka podskoków nadzwyczajnych, — wjeżdżam w oazę stworzoną pracą gorliwą i wiedzą gruntowną, — miłością i przywiązaniem głębokiem do tej naszej świętej Matki — ziemi Ojczystej.

Nie znałem rezydencji, wywierającej wrażenie podobne do Bryniowskiej! Pola, których pięćdziesiąt latami całemi — wodzie i korzeniom odwojowywać trzeba było — a wszystko w wysokiej kulturze rolnej będące; zamasyście i tegie zabudowania gospodarskie; kolejki Dekowilskie do rozwożenia nawozów; spazmatyczny oddech motorów gorzelnianych, światła naftowo-żarowych lamp na majdanach dworskich! A dwór praocjów, nasz ten poczciwy polski dwór, okrążony lamusami, na które nieraz brat kwestarz Michał Ławrykowicz (z pamiętników Ig. Chodźki), w swoich peregrynacjach z lubością musiał spoglądać!

A ze Dworu płynęła na ludność okoliczną, na cały szmat kraju naszego, łagodność, prawdziwie chrześcijańskich uczuć Dziedziców!

Przeżywałem to wszystko i pisałem o tem przed całą ćwiercią wieku wstecz!

I oto nadleciał Duch Zła! — barbarja bezcelowego wandalizmu hord moskiewsko-żydowskich w gruzy połać kraju obróciła!

Wszyscyśmy na bruku miastowym znaleźli się bezdomni. W tej liczbie i ś. p. Hieronim Kieniewicz. Lecz Ahaswer piekielny niszcząc naszą Ojcowiznę, nie przewidywał przenigdy glorii Zmartwychwstania Ojczyzny! Obdarci ze wszystkich wspomnień dzieciństwa — nędzarze materjalni! — wyniesieniśmy zostali na sam szczyt mazarzeń pokoleń całych! Mieliliśmy, mamy i mieć będziemy

Polskę umiłowaną! Wobec tego — jak marnym są epizodem udreki osobiste każdego z nas! to też pod wpływem tego poczucia ś. p. zmarły tak tragicznie p. Hieronim pracował, pracował i jeszcze raz pracował!

Polować tylko już nie mógł! „il n'en avait pas le courage“. Nastroju brakowało! Ileż to razy, zapytany w tej sprawie mawiał do mnie: „dopóki nie powrócę do swego Bryniowa, strzelby do ręki nie wezmę do polowania“.

Serdecznie mi go żal było! Albowiem, jeśli pociecha jakaś być może w piekle warunków naszego życia kresowców z dziada pradziada na roli osiadłych i onej pozbawionych — to li tylko w matczynej pieszczocie Przyrody.

Pogoda ducha Zmarłego — stała się ongi niwą złotodajną, na której wyrosło niejedno z arcydzieł literatury naszej!

Przecież i tytanicznej mocy karty „Puszczy“ — Mistrza Weyssenhoffa — i mistrzowskie „W sercu kniei“ Zaborowskiego i z „Toków i ciągów Poleskich“ dr. Stankiewicza oraz tylu i tylu innych autorów natchnione pisma powstawały w Bryniowie w wielkiem sercu gościnności staropolskiej.

Jeszcze ś. p. ojciec p. Hieronima, Pan Starszy Marszałek, jak go zwykle zwano — założył tam ów kamień węgielny staropolskich cnót..

Kochałeś każdą grudkę tej ziemi naszej świętej — kochałeś lud ten ciemny, bestjalski, a pomimo wszystko tak nam bardzo drogi, tak bardzo kochany — bo On a młodość, a dziecinne lata każdego z nas — to całość cudna w mary czarowne lat wspólnie przebolewałych rozkosznie odziana!

Kochałeś te puszcze — owe mszarniki i mokradła rozległe, na których dubelt przebywa — rozlewy wiosenne

Prypeci i Ptyczy z kaczek mnogich chmarami — i gotyk
pni leśnych królewską pieśnią głuszcza rozśpiewany i cie-
trzewia belkoty na wypaleniskach! i okiścią pokryte zi-
mowe tajniki świerczyn — kędy odyniec, łoś brodaty, mo-
carz niedźwiedź, lis i ryś centkowany — chytrze wymyka.
I te pola księżycowe w nocie mroźne zimowe lub welonem
gwiazdzistym zaciemnione — ślepiami wilków gorejące!
I bylinkę każdą — na tej ziemi Poleskiej urosłą!

Żegnaj na wieki, żegnaj nieodżałowanej ś. p. Hiero-
nimie Kieniewiczu! — po życiu ciernistej nieraz koronie!
Osierociłeś nas, lecz korona Twojej anielskiej dobroci —
z cnót praojców spiżowy splot wieczną Glorją ku chwale
Imienia Twego, wśród serc wdzięcznych żyć będzie!

Wiązanekę skromną tych myśli moich, rzucam jako
ziemi grudkę na grób Twój bolesny!

*„W Twym zimnym, ciasnym grobie,
Niech się Poleś, stary Poleś, przyśni Tobie!”*

Ś.P. JAN SZTOLCMAN

(Mowa nad trumną)

„Serce krwią opływa, kiedy się pomyśli o niepowetowanej starcie! ...Jeszcze tak niedawno, widzieliśmy go, Księcia Nauki, w Redakcji naszego „Łowca Polskiego“ jak zawsze z pogodnym uśmiechem na ustach, ze skrą Duszy Świetlanej w powagi pełnych oczach... I już go niemal... Ongiś, w mrokach lat ubiegłych, w epoce przedwojennej — nie zapomnę nigdy, jak zaczytywałem się w cizy i spokoju mej Wierzchowieńskiej siedziby jego niepowszedniemi dziełami.

Równoznacznik Stanley'ów, Liwingston'ów, Przewalskich, Grąbczewskich, Dybowskich, — całej tej świetnej plejady, która niosła prócz naukowych trofeów, badań krajów tajemniczych, jeszcze owe pierwiastki *zadośćuczynień Dumnie Narodów*, których byli wiernymi i najlepszymi synami!...

Z nich niektórzy chociaż *nasi* z krwi i kości — jednak niestety *podlegać musieli obcej* etykiecie!... pracować dla *wrogiej* krainy. Ów badacz niezłomny w misterjach Czarnego Kontynentu, wśród pierzastych, palmowych gajów przyrody ekwatorjalnej, nad „Nilem Błękitnym“ niósł sławę imienia Polskiego *Uczzonego!*

Nie był On „ani z roli, ani z soli, ale z tego co nas boli!“ Stąd jest źródłem szlachetnej Dumy naszej. Dzięk-

czynienie Świetlanej pamięci Twojej składamy osieroceni przez Ciebie, na zawsze, Podróżniku bolesny!...

Nadleciał Demon Zła!... Bolszewizm, w zgłiszcza i ruiny obrócił piękną niegdyś Wierzchownię. Zmieniły się do szczętu warunki bytowania!... Dzięki Bogu, w wolnej Niepodległej już Polsce naszej spotkałem się ze ś. p. Profesorem w Redakcji tyle drogiego nam „Łowca Polskiego“. Mistrz, którego utworami rozkoszowałem się tam, wśród kurhanów zadumanych, opływając w dobrobycie materialnych warunków przedwojennych, stał się mym Mistrzem — *Kolegą* na niwie skromnej mej pracy literacko-łowieckiej!... I tu dopiero mogłem należycie ocenić Jego duszę gołębią! — cały zapas rzewnej, cichej pogody, która emanowała z drogiej dla nas wszystkich Sylwetki!... Ową wyrozumiałość na błędy i słabostki ludzkie, — słodycz dobroci w obcowaniu z każdym, ujmującą kurtuazję, tak rzadko dziś spotykaną na tym biednym świecie! Będąc „księciem nauki“ — zdobywał tytuł „księcia serc“, tytuł drogocenny, jako orchidea w cieplicy bogacza. Na podkładzie głębokiej erudycji, która się przebija w każdym zdaniu Jego, zauważyć się jednak dawał wykwit ogromu umiłowania do rodzimej przyrody, — przywiązanie szczerze do łowiectwa polskiego, — do bladego uśmiechu polskich przestworzy, do ziemi ojczystej!... Serce boli i krwawi, lecz pamięć o Tobie, Mistrzu, wieczystą będzie! Po trudach i znojach życia, po tytanicznych tworach naukowych, po ujarzmieniu na zawsze dusz naszych Twem promiennem wspomnieniem! Śpij, odpoczywaj Redaktorze nasz umiłowany! W twym zimnym grobie niech ci się przyśni nasz pieśniarz Matki Boskiej, — szary skowronek! — o Mistrzu Nieodżałowany!“

KILKA SŁÓW O PIŚMIENNICTWIE ŁOWIECKIEM W BOLSZEWJI

Okazuje się „excusez du peu“, że nawet teren krwawych eksperymentów Lenina, Nachamkisa i Bronstejna posiada literaturę łowiecką. Niedawno przelustrowałem kilkanaście numerów owych sławetnych elukubracyj, tytuł „Ochotnika“ noszących. Dziwi mię bardzo, że nie „krasnyj!“ (czerwony!). Zapewne że są to skutki nieprawomyślności rewolucyjnej z ramienia opozycji tego „błogosławionego rajul!“ Chcę też podzielić się z najmiłszymi czytelnikami garścią swych wrażeń o tych, bądź co bądź, niesamowitych lekturach!... Prasa myśliwska w Sowdepji — koniec świata — krótko mówiąc. Oprócz ogólnie fachowych artykułów, drukowanych na średniej jakości papierze z ilustracjami nawet, o karkołomnej pisowni nowoczesnego ustroju Moskwy — ogłoszeń przeróżnych zrzeczeń i „trustów“, o kabalistycznych „skrótach“ (Wsieko-chotsojuz!?) są też umieszczone beletrystyczne utwory... Gdy się wspomina nieśmiertelne arcydzieła i opisy przyrodniczo-łowieckie Turgienjewa, takie na przykład „Zapiski Ochotnika“, nacechowane gorącym umiłowaniem i znajomością natury — cały ten cykl, jako żywych, schwyconych typów Jermojałów, Suczków, pastuszków z „Bieżynatuga“, Hamleta z szygrowskiego powiatu i tytuł a tytuł mistrzowsko odtworzonych sylwetek, z któ-

rych aż tryska psychologia ciemnej duszy moskiewskiej—mimowoli żal ściska serce!... Nawet późniejsze prace, umieszczone w „Przyrodzie i Ochocie“ i „Ochotniczym Wiestniku“¹⁾ — nieznanymi prawie autorów, posiadały często jednak wybitne, literackie zalety.

Z dzisiejszych zaś opowiadań bolszewickiego „Ochotnika“ wieje nuda i smutek przeogromny. A przedewszystkiem przebija się niemal z wiersza każdego szalony zapas „chamstwa“ — rysu tak ściśle związanego z całym aparatem sowieckiego systemu. Da się zauważyć niekiedy, że niefortunni twórcy czynią nadludzkie wysiłki pod wpływem odwiecznej Lekarki bólów wszelkich, Czarodziejki, Świętej Matki Przyrody, żeby pod jej pieśczołami, choć na chwilę bodaj zapomnieć o koszmarach rzeczywistości. Lecz „lasciate ogni speranza“ — napróżno!... Odwieczne źródła „radości życia“ beznadziejnie zanikły, pozostawiając w zwęglonych duszach pustkę ogromną — niezdolność radowania się ze słońca promieni!

Podcięte bezlitośnie skrzydła — nie prędko rozwiną się do orlego lotu!... Troska o kawałek chleba powszedniego — trwoga o każdy dzień życia! — nędza i poniewierka (nie mówię oczywiście o komisarzach i matadorach politycznych) — zabijają w zarodku najmniejszy odruch wolności Duszy! — myśliwskiej nawet!...

Smutek bezgraniczny wieje ze stronicy każdej, gruntownie pozbawionej najmniejszego odcienia tej „joie de vivre“ — tak niezbędnej dla „trzeźwości i rzeźwości“ nastrojów, którymi, dzięki Bogu, bogata, szlachetna nasza, myśliwska Polska! Indywidualność!... Fachowa część pisma, czyni wrażenie typowego, bolszewickiego „bluffu“. Szata zewnętrzna, czcionki — dość dobre, cena na ojczy-

¹⁾ Łowieckie, przedwojenne pisma rosyjskie, miesięcznik i tygodnik.

znę głodomorów — stanowczo za wysoka... Rozpisuje się na tych szpaltach szeroko o zamierzanych „homerycznego zakroju inwestycjach“ — stworzeniu instytutu wykwalifikowanych instruktorów, którzy po studjach i badaniach nad stanem łowiectwa w kulturalnych krajach niemal całego świata — stworzyć mają jądro pedagogicznego wychowania przyszłych pokoleń pod względem hodowli i ochrony zwierzostanów w Republice Rad — nieco zdzięsiątkowanych przez wojnę domową!?!... Widać, że skutki „bezkrwawej“ rewolucji odnośnie ludzi — były identycznie podobne dla zwierza i ptactwa. Albowiem okazuje się, że tak szeroko rozpowszechnione na północy Rosji łosie — zostały prawie doszczętnie wytępione! Nawet za Uralem, nawet na Syberji stan ich obecny prawie że się równa zeru! Rozwodzi się też na łamach „Ochotnika“ o sztucznym pielęgnowaniu kuropatw, bażantów, zajęcy — a tymczasem zdaje się, że objekty te stały się już, jeśli nie „przedhistorycznymi“ — to w każdym bądź razie „przedrewolucyjnymi“ okazami na bezkresnych obszarach matuszki Rassieji!“... Lecz „na papierze“ wygląda to wszystko, że jest traktowane bardzo „na serjo!“ Wiadomą jest światu całemu bajeczna umiejętność bolszewików reklamowania wszelkich swych „poczyznań“ i „zarządzeń“ — szczególnie „na eksport“ — zagranicę, niekiedy też i dla swoich potulnych, do reszty „ogłupiałych — baranów“!...

Jeśli politycznie, tak niedawno jeszcze traktowano bolszewików w całej Europie (oprócz Ameryki! — brawo! Yankesi!) niemal jako dyplomatycznie sobie równych — tembardziej o łowiectwie sowieckiem można mówić i zapatrywać się „poważnie!“... Tak, niezawodnie! — lecz tylko ci, co nie umieją czytać między szpaltami!... Lecz kto zna całą otchłań hypokryzji i „kruczkotworstwa“, zawsze

jednakiego, bądź to u czynowników carskich, odwiecznych typów Gogola i Szczedryna, bądź dzisiejszych uświadomionych „robotników partyjnych“ — dla tego „wylezie zawsze szydło z worka“!... I wyłazi jaknajdobitniej.

Jedną jednak wyciągnąć możemy „konsekwencję“ — dla nas bardzo „rzeczową“ z ruchu łowieckiego z pod berła Stalinów i Sobelsohnów — powiem więcej, ponad miarę „aktualną“ i arcy-ciekawą! Mianowicie: zdawałoby się, że rząd „robotniczo-włościański“, jako „szyld“ — stanowić winien „pierwszą klasę“ pojęć demagogicznych!... Jeśli nie „de facto“ — o czym wszyscy jesteśmy należycie uświadomieni — to przynajmniej „de jure“ — nie wymyślono albowiem dotychczas „etykiety“ bardziej „postępowej“. Otóż podczas, kiedy u nas rozpowiada się szeroko o tem, że kmiotek też zna się na czombrach zajęczych — i wogóle na zwierzynie wszelkiej i lubi z „delicją“ konsumować ją niegorzej zacofanego „burżuaja“ — „ergo“, nie należy sankcjonować zbyt ograniczających go przepisów łowieckich! Nic to nawet, kiedy biedny szaraczek, płacząc nad swym marnym losem, wpada w sidła pod lasem przez „posła“ zastawione — jak to odbywa się w bajce mego utalentowanego kolegi, Juljana Ejsmonda — a może i nie w bajce nieraz?... „Chi lo sa?“... W krainie zaś „proletarjackiej wolności“ widzimy, że za zabicie na parę dni przed terminem, kaczkę — zasądza się „grażdanina-obywatela“ na kilkanaście miesięcy do ula! — i to sowieckiego, synonimu „wyższego stopnia kary“ — „vulgo“ — wyroku śmierci!... Wesole muszą być miny pocziwych „kacapów“, jakoteż „diadkiw“¹⁾ naszych ukraińsko-wolyńsko-poleskich od podobnych wyroków sowieckiej Temidy!?

¹⁾ Miejskowa nazwa chłopów na Ukrainie.

„Dożyty do harnoj swobody — trascia jeha matery ¹⁾ — sypią się zapewne, jak z rogu obfitości z ust potomków Chmiela i Krzywonosy!... Ale dobrze im tak! — „Tu l’as voulu Georges Dandin“ — za nasze krzywdy! — zresztą każda narodowość ma rząd taki, na jaki zasługuje!... Bolszewicy, ze swoją zwykłą bezwzględnością, od razu zaprowadzili prawa i przepisy iście „drakońskie“!... Inna rzecz, czy weszły one w życie? — czy zastosowują się w każdym wypadku?... Wątpię bardzo!... „Prawo stworzone, żeby można było co obchodzić“ — mówią moskale!... Przy panującym łapownictwie i kumostwie, podczas starego „regimu“ — maksyma ta zastosowywała się szeroko — przy tak bardzo miłujących marny kruszec, komisarzach, sądze, że też praktyka podobna, bynajmniej nie zelżała!... Jeśli co ratuje rzeczywiście od ostatecznej zagłady resztki zwierzostanów w Imperjum czerwonych ludów — to niezawodnie ogrom i bezludność przestrzeni. Myślę nawet, że w pewnych zakątkach, naprzykład w gubernjach: wologodzkiej, ołonieckiej i archangielskiej — zamieszkanym przez tak zwanych „Pomorów“ — anglosaskich, wychodźców, o całe niebo wyżej od muzyków atawistycznej kultury stojących — zwierzyna nietylko że nie ubyła, kto wie? — czy nie polepszył się jej stan?... Lecz w innych dzielnicach!... Pożal się Boże!... Z całego tego ustawodawstwa wynika dla nas, szczególnie teraz, na progu opublikowania naszej nowej ustawy łowieckiej — taki „sens“, że powinniśmy zwracać baczną uwagę i zwalczać wszelkie paroksyzmy „świętego oburzenia“ „pewnych sfer i ludzi“, i pilnować, żeby nas wschodni sąsiad nie „przelicytował“ na tem też polu! — chociażby na piśmie, gdyż powtarzam, że w żadnej kon-

¹⁾ Dożyliśmy do pięknej wolności — pal febra jej Mać!...

kretnie wyniki nie wierzę!... Nie mówię, żeby ślepo naśladować — broń Boże! — niemożliwe te w żadnym demokratycznym państwie zarządzenia obecnych władców Kremla, — lecz skorzystać z nich, jako pewnych wytycznych, wyłonionych z prawodawstwa sfer „proletariackich“ — chociażby „sztyldowo“!...

Okazuje się że nietylko „kapitaliści i burżuazja“ — lecz i spracowane dłonie robotniczo-włościańskie mogą i umieją „embêter les gens“, wywołując faryzeuszowskie hasła „ochota dla wszech“ (polowanie dla wszystkich). — Niech jednak poprobuje ktoś zapolować bez biletu na „oczach“ władz rewolucyjnych!? — napewno zostanie po uszy zadowolony!... My zaś spokojnie czynimy nasze spostrzeżenia na wszelkich polach — odrzucajmy złe — lecz nie gardźmi — rzadkimi, co prawda, objawami, godnymi naśladownictwa — oczywiście, zawsze je okrutnie „zmodyfikowawszy!“ Dlatego też, jeśli jeszcze coś nowego wpadnie z tej dziedziny w me oko pisarskie, nie omieszkać podzielić się z łaskawymi czytelnikami, trzymając zawsze rękę na pulsie, ku chwale zielonego sztandaru naszego Świętego Patrona!

„BAJKI“ JULJANA EJSMONDA

„Gdy kto siebie poznaje w osłe, albo świni
niech siebie o to, a nie bajkopisa wini!“

Młody, utalentowany autor nietylko jest najsubtelniejszym znawcą Piękną, Przyrody i Łowieckich Rozkoszy — nietylko głębokim znawcą zwierza wszelakiego, — lecz w niemniejszej mierze znanymi Mu są tajniki stworzenia, któremu zwykle przysługuje szczytny tytuł „roi de la Creation“... — Otóż król ten — którym rzeczywiście jest, lub za jakiego lubi w swem przekonaniu uchodzić zoologiczny gatunek, pospolicie Człowiekiem zwany, — stoi jako szkło przejrzyste przed badawczym wzrokiem swego wiwisektora, — Twórcy ciętych Bajek!... Nie masz zakątka duszy męskiej, najrozmaitszych odcieni i kalibrów, ba! „horribile dictu“ uroczych Niewiast też, — do której „jądra gęstwiny“ nie przeniknąłby nieubłagany, chirurgiczny „skalpel“ naszego Bajkopisarza!...

Lecz gwoli mitygowaniu „złości wszelkiej“ — parafrazować się dadzą nieśmiertelne słowa Horodniczego z „Rewizora“ Gogola: „na kogo się gniewacie? — na samych siebie się gniewacie“... Jako wynik, — nastąpić musi ukojenie wewnętrzne i pewien retrospektywny rzut oka w brzydkie bardzo nieraz „sancta sanctorum“ — właściwie mówiąc „peccata peccatorum“ — swego własnego „ja“ — moralnie nie zawsze estetycznie wyglądającego!...

Cóż robić? Ułomności i słabości ludzkie! — nieprawdaż!... Lecz właśnie ów spokój bajeczny z „Bajek“ zaczerpnięty — owa samoanaliza nawet — przez autora mimowoli nastrojowo wywoływana — zdobyczą jest największą jego pięknej i wysoce pożytecznej książki... Niepodobna się gniewać wtedy, gdy śmieszne, lub nawet wyrodne strony duszy ludzkiej obleczone są w tak w dowcipnie skrojone i dopasowane szaty!... A gdy do tego dodać, że przy tych „rentgenowskich“ operacjach uczestniczymy jeszcze w towarzystwie lub pod firmą naszych czworonożnych i latających „fratres minores“, bydłatek przeróżnych, do szlachetnego strzału się nadających (lub li tylko do jatek rzeźniczych), — to czegoż więcej do szczęścia trzeba?... „Plus je connais les hommes, plus j'aime les bêtes“ — aforyzm wyborny! Lecz stanowczo na walorze traci słowo „bêtes“, — kiedy to „bestje“ rolę „ludzką“ odgrywać poczną!... Każdy osioł, rogacz, warchlak, głuszec, kaczor i bekas, zblakować rzetelnie powinien w skórze tak zwanego pana wszechświata, vulgo człowiekiem zwanego!... Moznaby do reszty zohydzić sobie najświetniejsze zwierzostany!... Lecz zawdzięczając temu jedynemu, pogodnemu, prawdziwie staropolskiemu humorowi Ejsmonda, nawet i świat zwierzęcy do poziomu swych ludzkich synonimów „opuszczony“ — zawsze jednak jest miłym, zawsze tak bardzo, bardzo swojskim i kochanym!...

W literaturze naszej Ejsmond stworzył zupełnie „sui generis“ nowy, „swój“ rodzaj konkretyzacji obrazowej, której napróżno szukalibyśmy w bajkach Lafontaine'a, staruszka Kryłowa i wielu innych!... Zastosowanie swych obserwacji, odzwierciedlenie ich w szklach wklęsłych lub wypukłych — zaczerpnięte z warunków życia ultrawspółczesnego z całą jego neurasteniczną sarabandą —

pomimo całego „modernistycznego“ zakroju i zacięcia, dalipan! — to wszystko przypadłoby jednak do gustu nawet ś. p. Imć Panu Zagłobie — jako też szeregowi zacnych postaci praojców naszych!...

„No, no, szalonej krotocwilności to człowiek, ten pan Juljan i grzecznie wielce umie opisać, jak to u ludzi i „bestyj“ wszelakich się dzieje“ — jednomyślne, zdaje mi się, byłoby orzeczenie krytyki pokoleń Przeszłości!... Według mnie jest to miarą probierczą — jako skala oceny talentu rzeczywistego!...

Nie sztuka „sfabrykować“ „aktualność“ — którą zajęcie się mija jako meteor astronomiczny!... Lecz trafić do sedna rzeczy, palec do bolączki przyłożyć, stworzyć „typ“ lub naszkicować, „wyłować“ sylwetki skomplikowanych linii duszy, częstokroć przed samym sobą skrywanych, tak zwanych „mesquins et vilains côtés de l'âme humaine“, na to trzeba li tylko trzech warunków: talentu, talentu i jeszcze raz talentu!...

Otóż warunek ten ostatni aż tryska z każdego wiersza „Bajek“!... W formie pastelowo-lekkiej — w „miniaturach“, rzekłbyś z gablotki prababek naszych wyjętych, podaje nam Ejsmond niemało wskazówek i rad cennych, z których niejeden może skorzystać!

Powtarzam jeszcze, — stworzył młody poeta swój „genre“, na tle którego będziemy niejednokrotnie „delektować“ się jego utworami — jakby „wibrującymi“ jeszcze w opalowych obłokach „poudre à la Marechale“... epok Ludwиковskich w przepychu intelektualności wersalskiej, z subtelnych najsubtelniejszej!...

Szczyć mu zatem Boże i jak ten ptak, którego się pytano „co bujał w lazurze, czy jest z lewa, czy też z prawa, bo to bardzo ważna sprawa“ — odpowiedzieć może: „jestem i będę w „górze“!... Na wyżynach tych mistrzostwo

jego pozostać ma i — pozostanie niezawodnie!... Jeszcze jeden dowód, że święty Hubert — patron nasz ma w swej opiece konfraternję łowiecką, ponieważ na jej łonie, z gleby miłości przyrody, pysznie tak rozkwitają kwiaty o przepięknych barwach talentu!...

Zewnętrzny wygląd książki bardzo staranny.

SZLAKI PRZELOTU SŁONEK I ZACHOWANIE SIĘ ICH PODCZAS POBYTU W DZIKICH POLACH

Cudny, tajemniczy ptak słonka, jak wiadomo ma dwa zasadnicze kierunki swych jesiennych i wiosennych migracji. Obydwa, niestety, jednako przepelnione zdradą i szeregiem niebezpieczeństw srogich — dla tyle miłych sercu myśliwskiemu uroczych „scolopaxów“!

Zaiste dziwić się jeszcze potrzeba spotykając pewną liczbę okazów na ciągach wiosennych, pomimo tych smutnych okoliczności! Jedyne święta ręka matki przyrody jest w stanie zbilansowania jako tako, zdziesiątkowany etat drogich gości przelotnych. Otóż — kierunek zachodni dąży przez całą Europę Środkową i Południową ku wybrzeżom Afryki.

Zależnie od temperatury, wpływów atmosferycznych, siły i kierunku wiatrów — zatrzymuje się słonka dłużej lub krócej na etapach swych przelotów; to samo zjawisko ma też miejsce odnośnie do kierunku wschodniego przez Ukrainę, Wschodnią Małopolskę (sporadycznie tylko zawadzając o Kongresówkę i Poznańskie) — Rosję Południową, Kaukaz z dążeniem do Azji Mniejszej i Mezopotamji.

Nie mówiąc już o ofiarach bez liku rodu słonkowego (jako też i innych gatunków) na skutek nowoczesnych, elektrycznych latarni morskich — trafiając w snop świa-

tła prozektorów, w których—giną rzesze całe plaszą bo-
żych — z tych, co to nocami peregrynacje swe odbywać
zwykły, masowo kalecząc i zabijając się o szkła i mury.
Oprócz tego — ileż to czyha na nie innych terminów
okrutnych — od chciwości i nierozważnej głupoty ludz-
kiej!

Zauważyliście napewno — czytelnicy najmilsi — że
po zimach mroźnych, śnieżnych — normalnie rozpoczy-
nających i kończących swój okres — wiosenny powrót
słonek — a co zatem idzie i ciągi — bywają mniej lub
więcej obfite!

Po dżdżystych, zgniłych zaś — bardzo a bardzo ską-
pe! — jak to zresztą zaobserwować łatwo było w roku
bieżącym. Albowiem im krócej przebywa długodzioba
w krainach cywilizowanych Europejczyków, oraz barba-
rzyńskiego Wschodu — tem dla niej stanowczo zdrowiej
i lepiej.

Pojawienie się słonki, chociażby pojedynczej w nędz-
nym lasku lub zaroślach Francji, Niemiec, Włoch lub
Hiszpanji stanowi prawdziwy ewenement — mobilizując
zastępy całe miejscowych nemrodów.

Szczególnie w dwóch ostatnich krajach zgłodniali
adepti św. Huberta, po swych zwykłych triumfach ło-
wieckich w postaci zięb, czyżyków, pliszek, skowronków
i innych równowartościowych trofeach — całemi dniami
gotowi deptać i deptać słonkowe tereny, dopóki nie pad-
nie od ich strzałów tyle drogocenna „dame au long bec“!
Oprócz tego, we Włoszech naprzykład w miejscach odpo-
wiednio zalesionych — przegniłym „humusem“ z liści
przykrytych, — na których to nocą, — jak wiadomo, lubi
słonka żerować „wygrzebując“ ziemne glisty i robactwo
wszelkie, — stawiając przeróżne sidła włosiane — spe-

cjalne, nawet, za przeproszeniem, jak na lisy „żelaza słonkowe“!

Nie jedna z naszych uciech wiośnianych nieostrożnie wpada w nie, — gwoli rozkoszy podniebień smakoszy miejskich. W podobnych warunkach oczywiście każdy dzień dłuższego pobytu w gościnnych stronach — staje się zabójczym w dosłownem słowa tego znaczeniu.

Nie przeszkadza to bynajmniej tamtejszej prasie do faryzeuszowskich artykułów o barbarzyństwie uprawiania ciągów wiosennych. Bezpodstawność podobnych zarzutów, jak zawsze po mistrzowsku obalaną została w pracach czcigodnego Redaktora „Łowca Polskiego“ prof. Sztolcmana, który udowodnił ogromną przewagę samczyków wśród strzelanych na ciągach. To też szanujący się myśliwy winien li tylko do chrapiących osobników swój strzał oddawać, gdyż odsetek wówczas może się wydarzyć — minimalny tylko! Może paść pierwsza lecąca, a nie druga naprzykład, gdyż Pani Serca zawsze przoduje — jak i w ludzkim rodzaju zresztą!

Jeśli zaś nawet omyłkowo padnie niefortunnie słońca niewiasta — jestto kroplą w morzu w porównaniu do „hekatomb“ odbywających się na zachodnich terenach, a szczególnie „sui generis“ metodach wschodnich¹⁾ — i okrucieństwo wandalizmu pełne ostatnich — wśród byłych rosyjskich — dziś bolszewickich stepowych przestrzeni!

W latach przedwojennych — kiedy to, w pierwszej połowie października (azjatyckiego star. st.) — miała nastąpić raptowna zniżka temperatury — naloty słońek by-

1) Podobno w okolicach Batumu, Soezi — na wzgórzach winnicami pokrytych przy dłuższem zatrzymaniu się słońek — też rzezie homeryczne się odbywają — tysiącami sztuk liczone!

wały tak obfite w dębinach i zagajnikach ukraińskich, że nieraz, pamiętam doskonale jesień 1907 r., padało z mej ręki dziennie, nawet bez psa „na wydeptanego“ po 20—30 sztuk długodziobych! Kajam się! — „mea culpa“!

Odbывwały się rzeczy gorsze — o których niżej! Lecz, zaprawdę trudnem jest powstrzymać się — kiedy to lasek każdy najmniejszy — na przeciąg co prawda 2—3 dni tylko — literalnie „nafaszerowany“ jest! — aż roi się od słonek! Z krzaczka niemal każdego porywa się po 4—5 sztuk naraz! Rezultaty podobnych „niewstrzeźliwości“ — 200—300 okazów za koniec września i początek października! „Horrendum“! W Kijowie, w lata podobne kosztami całemi roznoszono na sprzedaż za bezcen (30—40 kop. para) setki upolowane przez miejscowych „Jermolajów“! ¹⁾ Straszmem więc się zdać mogło podsumowanie wyników w obfite sezony — na całej przestrzeni Rosji Centralnej i dawnych Dzikich Pól Praojców! Lecz to zabawka tylko! Na Morzu Czarnem — niedaleko Odessy i Mikołajewa — na półwyspie „Kinburnską Kosą“ zwanym, zarosłym całkowicie drobnymi krzaczkami łoży, koncentruje się cały kontyngens słonek przelotnych do dalszego, radykalnego odlotu, zmuszony pogodą — na kilka dni coprawda tylko, dzięki Bogu!

Rozpowiadał mi tak wytrawny i znakomity sportsmen-myśliwy — jak mój przyjaciel, inżynier Władysław Horodecki — że z paru chłopakami, jak wyganiaczami, chodząc po tych wiklinach — można było „wziąć“ 400 do 500 sztuk słonek dziennie!

Strzał zaś, jak wiadomo, do słonki „z podrywu“ — na otwartem polu — żadnej trudności technicznej nie

¹⁾ Typ kłusownika-myśliwego z powieści Turgenjewa „Zapiski Ochotnika“.

stanowi. To nie zwarta, wysokopienna drągowina lub gęste zarośla! Najrzetelniejszy pudlarz — do podobnie „sowim“ lotem ciągnącego ptaka — niezawodnie trafi. W dniu więc „pojawienia się“ tak zwanych „wysypek“¹⁾ — leciały depesze do przeróżnych Kijowów, Char-kowów — Odessy ba! Moskwy i Petersburga nawet. Zjeżdżali się „pospiesznymi slepingami“ waleczni „ochotnicy“ i, jak mówią Moskale rozpoczynała się „potiecha“²⁾ — ku zagładzie rodu twórców naszych radości wiosnianych! kilka razy zaproszono mię na te gody — lecz jakoś Bóg chronił — bo Duch silny, ale ciało mdłe! — Kto wie? — jakbym się zachował wobec podobnej nawały, raczej „zadymki“ słończej! — A teraz przybyłby do innych, jeszcze jeden wyrzut na sumieniu Myśliwego-Przyrodnika! — A rzecz to paskudna i „hadka bardzo“! — jak mawiał ś. p. p. Longinus! — pfe! aż niedobrze robi się od myśli tylko podobnej!

* * *

Co to za radość! — kiedy bywało mój wierny Bronio Dymnicz „per modum“ leśniczy, rybak, pszczelarz i łowczy zarazem stawiał się z sakramentalnym meldunkiem „a słonki już som“!... wczoraj stary Taras „spędził“ aż dwie w Dżumie³⁾ — dziś rano Pawło Zając jedną na Żarkach!⁴⁾).

Wiosną też — kiedy to tchnienia ciepła — zaleciały od dalekich limanów czarnomorskich — nieraz nawet śnieg spadł głęboki, miękki, puszysty jak zwykle wiosną, tworząc krajobraz niemal zimowy. A jednak „scolopaxy“

¹⁾ Partje zapadających dla odpoczynku i odżywienia się — na szlakach przelotów.

²⁾ Uciecha.

³⁾ Rewir leśny. ⁴⁾ Rewir leśny.

odbywały normalnie, bynajmniej nie zważając na „aure“, swe masowe przeloty! Niesamowity zaiste był widok słońek z pod okiści śniegowej krzaka się porywających, lub też żerujących po kilka na raz u podnoży starych dębów — gdzie tylko czarny, otwarty szmatek Matki Ziemi dawał się widzieć! Młody, gorący na ten czas strzelec, rwałem się nieraz do rusznicy „na siedzącego“ lub do myszkujących jak kuliki-długodzioby! Pokusa niemała, dalipan „wytrącić“ naraz parę sztuk jednym strzałem! „A fe! paniczu! — nie godzi się — żałuję ich bardzo! głodne takie! i „bidne“! — ot zaczekamy dni parę — a wtedy na ciągach na Żarkach dopiero walić będziemy! Aż się „zakurzy“! Jak gruszki z drzewa sypać się będą!“ — mitygował mię pocziwiec — nieodżałowany mój pierwszy Mentor łowiecki! Cześć Jego Świętej Pamięci! — padł albowiem ofiarą dziczy bolszewickiej, wkrótce po powrocie „towarzyszy“ „czudogerojew“ z frontów przeróżnych w „zacisze“ domowych pieleszy!

Pierwsze pojawienie się słonki wiosennej, zwykle u nas na Kijowszczyźnie miało miejsce pomiędzy 20—28 marca starego stylu. Spiesząc się do miejsc lęgowych — bawiły bardzo krótko, jeśli szczególnie pogoda dopisywała. Zwykle przed 10 kwietnia znikwały zupełnie. Raz jeden tylko zabiłem jedną 26 kwietnia przy pełnej drzew zieleń!

Stosownie też do pogody miały miejsce ciągi. Bywały wiosny kiedy wcale regularnych ciągów nie było. W inne zaś, tydzień jaki — w miejscach odpowiednich — ciągnęły wybornie! — prawie po „polesku“ nawet! Strzałów 8—12 nieraz w jeden wieczór się dawało. Rozkoszne szczególnie tereny były na moich Żarkach. Ciemne, czarne olszniaki — brzozowe „smugi“ w rdzawych strumieniach — leszczyna z paprocią ta-

jemniczo zagęszczona — idealne ku temu stwarzały warunki! Krótko mówiąc do porównania z terenem Mozyrskim lub Pińskim śmiało się ów rewir nadawał!

Demarkacyjna łęgowa linja słonek rozpoczynała się o jakie 40 kilometrów od mojej Wierzchowni — przechodząc przez sąsiedni powiat Radomyślski (Kijowskie Polesie). W dobrach Chodorkowskich mych sąsiadów pp. Lewandowskich już napotykało się sporadycznie zagnieżdżające się parki. Warunki u mnie zdawały się być identyczne, odpowiadające najwybredniejszym słonkowym wymogom, — a jednak nigdy, nikt łęgowej słonki na naszem i okolicznem terytorjum nie widział! Raz jeden tylko w połowie Lipca, podczas mej konnej przejażdżki — porwała się z krzaku buczyny — ku mojemu zdumieniu — „najprawdziwsza“ „*scolopax rusticola*“ — na tychże Żarkach — gromkiem „łopotaniem“ skrzydeł omal nie spłoszywszy mojej klaczy wierzchowej ze szwankiem dla mej osoby! Oczywiście był to egzemplarz należący do tak zwanych „podstrzałków“ — który „volens-nolens“ wypadkowo u nas pozostał! Lecz dlaczego? — zdrowy na aparacie lotniczym — jednak nie odleciał do miejsc letnich amatorów i wywczasów? A może właśnie tak też i postąpił — gdyż w dniach następnych poszukiwania z legawcem rezultatu nie dały i więcej już jej nie widziałem!

Powrotną jesienną drogę odbywały słonki daleko powolniej — bez porównania dłużej bawiąc w naszych rewirach, niż wiosną. Tradycyjną niemal datę stanowi 10 września (azjatycki) — podobnie, jak w nocy zwykle z 11 na 12 kwietnia dawał się słyszeć pierwszy trzask słowika w istnem morzu bżów parkowych. Zwykle już z rana dnia tego lub najpóźniej w dni parę — meldowano mi pierwszą, tak niecierpliwie oczekiwaną słonkę jesienną! Masowy zaś przelot odbywał się w końcu września — okres

20—28 bywał zawsze najobfitszym. Spotykało się je wówczas w lasku każdym, szczególnie w dębinach o podłożu paproci, w parkach, kulturach malin i porzeczek, ogrodach warzywnych, sadkach wiśniowych chłopskich — a w dniu dżdżyste, rzetelnym „kapuśniaczkiem“ zamydłone — niemal „wyplasać“ można było z rowu każdego obrosłego nieco chwastem lub bodziakami. Wieczorami też odbywały rodzaj milczących ciągów — wylatując za żerem do miejsc mokrych, gnojowisk — na torfowiska. Stanowiło to strzały przypadkowe i bardzo trudne! Zaiste w „urodzajne“ lata nasza błogosławiona Ukraina (oczywiście przedbolszewicka) — nie tylko na miano mlekiem i miodem płynącej krainy zasługiwała — lecz i „słonkami latającej“. Prawdziwe Eldorado!

Połowano na ten czas na nie z psem, naganką lub na „wydeptanego“ nawet. Rozkłady bywały od kilku do kilkunastu, stosownie do „urodzajności“ roku. Miały też swe faworyzowane laski, miejsca oraz pasma całe uprzywilejowane dla swych przelotów — jako schroniska „odpoczynkowe“. Linja od Kijowa przez Wasylków, Trylisy, Fastów, Popielnię, Wasylówkę, Wierzchownię, Czarnorudkę, Koziatyn odznaczała się szczególną ich obfitością.

Okolo 10 października stopniowo zmniejszała się intensywność ich u nas pobytu. Do połowy listopada jednak w jesieni bezmroźne i mokre można je było jednak widzieć. Najpóźniejszą zabiłem w r. 1908 pamiętam 26 listopada podczas silnego przymrozku (4^o Reamura) z zadymką śnieżną — na rdzawem błotku loziną porośłem. Była literalnie oblana tłuszczem — widocznie też poszkodowany nieco osobnik. Ale skąd wtedy ta tusza zdumiewająca — zaiste paskarska?... Jedna jeszcze z tajemnic Przyrody! Najlepsze barometry jesienne — stanowiły słonki na naszych stepowych przestrzeniach. Śnieg rze-

telny mógł nieraz spaść — zimowy krajobraz czarodziej-
skim zamachem stwarzając — słońki jednak nie odla-
tują, „som“ jak zwykli „Bronio“ mawiać. Pewnym być
można było wtedy o przejściowym charakterze zjawiska.
Dzień lub dwa — i znowu ciepło! — znowu pogoda i słoń-
ce „babiego lata“. Lecz w innym wypadku — blask zło-
tej polskiej jesieni w całej pełni! — łagodny wieczór! —
raptem chodząc z wyżłem na wczorajszych terenach, z któ-
rych z tuzin słońek spędzono — dziś jedna lub dwie tylko!
Co za okazja? W dobę później — jakbyś wszystkie
miotłą wymiół! — żadnej! Pięciostopniowy przymrozek
nocy następnej — kluczem zagadki masowego szybkiego
odlotu — do Kinburna, niestety, najczęściej! Są to wszyst-
ko niezbite dowody, na ile tajemnicza „Pani“ — wrażliwą
jest na wszelkie zmiany atmosferyczne, przeczuwając je
z precyzją iście instrumentalną — jakoteż kierunek wia-
trów (obserwowałem zmniejszenie się ilości przy pół-
nocno-wschodnich). Kwadry księżyca też wpływają.
Zwykle nalatywały do nas przy schyłku, — odlatując
również! Wszystko to jeszcze raz stwierdza nieporównaną
mądrość Przyrody świętej! Tem droższym się staje dla
nas o dziwnych przeczuleniach ptak ten tajemniczy —
kapryśny jak ładna kobieta! W pewien piękny poranek
tam gdzie go w wigilję „na lekarstwo“ nie było — znie-
nacka się ukazuje — żeby w wieczór mglisty o szarej
godzinie, nocą ciemną z hieratycznie wyciągniętym dzi-
obem — lecieć ku nowym horyzontom jako zwiastun no-
wych emocyj łowieckich! — nowym Braciom Myśli-
wym! — w innych krajach! tembardziej się krwawi serce
myśląc o bezlitośnem tępieniu dyskretnych trubadurów,
cudnych „dames aux sombres couleurs“ — przez dzikich
i ucywilizowanych barbarzyńców Wschodu i Zachodu!
Tragiczną jest możliwość zakończenia „słonkowego“ ży-

cia nie od danego strzału, na tle piękna otoczenia — w ogromie napięcia nerwów Myśliwego-Poety — lecz czarną nocą u stóp latarni morskiej, z roztrzaskaną, biedną główką.

* * *

Jakież konkretne kroki mogłyby być przedsięwzięte, celem złagodzenia zła?! Niestety, trudno walczyć z techniką współczesną. Apelacja tu jedynie do Pana Boga, aby raczył jak najmniej ciemnych nocy w okresie przelotów zsyłać! Tępienie rosyjskie — obecnie zdaje mi się strasznym nie jest z powodu braku kompletnego prochu i śrutu u ludności. Chociaż, kto wie? Lecz miną miesiące lub lata, jakiś nowy europejski system rządów musi nareszcie i w Rosji nastąpić! Wtedy to, koniecznym się stanie poczynienie międzynarodowych kroków odpowiednich w sprawie całkowitego wzbronienia jesienno-wiosennych polowań na „Kosie Kinburna“. Miało to już miejsce co do przepiórek ¹⁾ na wybrzeżach sycylijskich — zbawienne skutki czego dają się już zaobserwować. Miła przepióreczka albowiem przestaje się już kwalifikować u nas do rzędu „ornitologicznych“ rzadkości, jak przed laty kilkoma. Kontakt też koniecznym będzie z prasą łowiecką rosyjską — (a bogatą i rzeczową była bardzo w latach przedwojennych — dość wspomnieć o „Priroda i Ochota“ „Ochotniczyj Wiestnik“ i t. d.)).

Odezwę powinien też wydać Centralny Związek Stowarzyszeń Łowieckich do czytelników miarodajnych innych krajów — co do ściślejszego przestrzegania zakazu używania łapek wszelkich i sidła! Przytoczono tu wy-

¹⁾ Zakaz eksportu żywych na rynki Londynu i Paryża — zredukował do zera niemal proces łapania.

tyczne „desiderata“ tylko! Następnie pilne przestrzeganie przez nas samych, czytelnicy najmilsi, najdrobniejszych szczegółów mogących uchronić „od zabójstwa“ — gdyż inaczej nazwać to trudno — chociażby jednej samiczki mianowicie: nigdy nie strzelać „milkkiem“ ciągnącej — do zapadających nieraz na ziemię przed myśliwym ¹⁾ (jeśli się nie słyszało jej chrapania przedtem). Nie wybijać na jednych i tych samych ciągach wszystkich co do nogi! (przecież i pleć brzydka, na coś jest potrzebną) polując co wieczór, kalecząc nieraz — rozpędzając zawsze! *Nie strzelać na dalekie, niepewne mety!* — Kiedy to ptak spada, a bez psa odnaleźć nie podobna — często bardzo w skrzydełko „zbarczony“ — marnie w męczarniach żywot swój zakańcza. Ostrożnie postępować w lata obfitych jesiennych przelotów na Kresach (Wołyń, Małopolska Wschodnia). Zdaje mi się, że 5—6 spadłych słupek z pod wyźła lub naganki — może najzupełniej zadowolić pasję łowiecką. Ileż dla nas każdy wieczór na ciągu wiosennym prześniony — ile tężyzny i sił nowych nam daje do twardej walki życiowej, odrywając nas przepychem swych zórz szkarłatnych i opalem niebios od zgiełku i smutnej neurastenji „Miasta Złego“ — jak je tak trafnie nasz kochany Juljan Ejsmond nazywa — że umiejmyż cenić wysoko chwile tych przeżyć błogosławionych! Umiejmyż ochraniać, jako skarb największy — możliwie największy zapas tych ślicznych ptasząt Bożych, których marzące duże oczy, po celnym naszym strzale śród mroków wieczornych w cieniu nicości ostatecznie na wieki tak cudnie zapadają! Nawet nie strzelana, a widziana słupek ciągnąca — gdy niknie nam

¹⁾ Jak wiadomo jedyny ptak, do którego etyka myśliwska dozwala dawać strzał na „wyciekającego“.

z oczu — ileż rozkoszy sprawia! Mimowoli przy tym ptaku tajemniczym, ptaku szarym, zadumy pełnych godzin wieczornych — na myśl przychodzą słowa cudnej, staroświeckiej poezji XVIII wieku — tej epoki, w której tak wszystko subtelnie odczuć umiano! Epoki wykwintu Miłości, strojów — obowiązkowego niemal dowcipu i wyrafinowanych form towarzyskich!

Salut, trois fois salut, dame aux sombres couleurs!

Voyageuse automnale, à la robe frileuse!

Toi qui crains les grands froids te les grandes chaleurs!

D'ou nous vient tu, réponds sombre voyageuse? ¹⁾

...O kim tu mowa?! o jakiejś wspaniałej, błędnej podróźnej — dumnej „kasztelance“, markizie, nieprawdaż?! „Pani“ o ciemnych szatach, zapewne Oblubienica średniowiecznego Minstrela — pazika uroczego, który dziecinnie ledwie rąbek sukni ukochanej odważy się z pietyzmem ucałować?

Nie!... Nasza tylko pocziwa słonka natchnęła Poetę!...

...Dzięki Mu!

¹⁾ Witaj! po trzykroć witaj, Pani o ciemnych barwach. Jesienna podróżniczko — w sukni na chłód wrażliwej! Boisz się równie mrozów i wielkich upałów... Skąd przybywasz? — odpowiedz, szara podróżniczko.

DONIOSŁE ZNACZENIE KINEMATOGRAFJI DLA ROZWOJU RODZIMEGO ŁOWIECTWA

Nikt oczywiście przeczyć nie będzie, że kinowe wytwory stanowią pierwszorzędny czynnik propagandowy na każdym polu ludzkiej działalności. Żadne odczyty, referaty, opisy książkowe nie mogą nigdy konkurować z produkcjami dziesiątej Muzy!

Żeby wysłuchać z pożytkiem najbardziej uzdolnionego prelegenta, trzeba przede wszystkim w ruch wprowadzić mózgowy swój aparat, chwycić myśli i obrazy wypowiedziane słowami! Możliwość tego nie zawsze bywa udziałem każdego osobnika słuchającego audytorjum!... Tembardziej, jeszcze gruntowniejszego przygotowania wymaga czytanie książki! — szczególnie treści naukowej... Do tego dochodzi praca wzrokowa — nieraz bardzo uciążliwa... W kinie zaś sztuka cała polega na patrzeniu i nie ponadto! Wszelkie refleksy zewnętrzne, ba! sens moralny wkładany jest, jak łopatą w głowę, bezwiednie nawet zmuszając do asymilacji wyników, nawet z dziedziny psychiki duszy i serca zrodzonych w scenarjusz autor-skim i uplastycznionych z mniejszym lub większym talentem przez realizatora!...

Zrozumiano to doskonale zagranicą, szczególnie nasi najserdeczniejsi sąsiedzi, Niemcy, a jeszcze lepiej szczęśliwi władcy poddanych tak zwanego Rządu Robotni-

czo-Włociańskiego „vulgo“ Sowietów!... Bajłońskie sumy wydaje się na ten cel!

Kursują specjalne pociągi kinowe, dla potulnych (do czasu) — baranków proletarjackich! ...Dla „eksportu“ zaś, zagranicę przyznać trzeba, iż taka nawet na oficjalnych „buterbrodach“ wypasiona wytwórnia jak bolszewicka „Sowkino“ zaczyna produkować obrazy o wysokim poziomie artystycznym (naprzykład „Car Iwan Groźny“). ...Przekonany jestem, że wkrótce też oglądać będziemy szereg zdjęć ilustrujących łowiectwo i warunki myśliwskie w krainie Czerwonych Satrapów!... Że, oczywiście pożądane „nastroje“ i stan rzeczy bytowania zwierzyny, osiągnięte będą za pomocą szeregu „tricków“ — o które „notabene“ tak łatwo w dziedzinie kinematograficznej — o tem dwóch zdań być nie może. Potrzebny jednak „szok“ w wyobraźni widowni osiągnięty zostanie!... „Czto i trebowałoś dokazať“ (co i trzeba było udowodnić) — jak mówią Moskale. Nie dajmy się więc prześcignąć i na tem polu!...

* * *

Nie mówiąc o naukowych wiadomościach i wrażeniach nabytych przez przeciętnych a nawet nieraz bardziej kulturalnych widzów, — ileż to razy, my myśliwi „delektowaliśmy się“ „egzotycznymi“ filmami łowieckimi!...

Oczywiście arcy-ciekawą jest rzeczą pograżyć się za cenę jednej, drugiej złotówki w całkowity przepych roślinności „ekwatorjalnej“ — przeżywać emocje łowieckie, patrząc jak szczęśliwi losu wybrańcy „rulują“ słonie, nosorożce, hipopotamy, tygrysy i bawoły w dżunglach i lasach Czarnego Łądu lub Indyj tajemniczych!... Sądzę, że dla prawdziwej duszy myśliwskiej, najmniejszy nawet

fragment na tle krajobrazów rodzimych — też ogromnie zajmującym być może!... tembardziej, że i na tem skromnem polu naszych łowisk ojczystych znajdują się w gronie naszej „braci“ bardziej i mniej „faworyzowani“ osobnicy! Iluż to kolegów z pod zielonego sztandaru „marzyć“ nawet nie może o „celnym“ strzale do dzika, niedźwiedzia, rysia — głuszca wreszcie, kaczek na zlotach! Tym zaś „szczęśliwcom“, którzy mogą i polują na nie, czyż zdjęcia podobne mile przypominać nie będą chwil radośnych przeżyć! Niezawodnie, że tak! Nie mówiąc o wspaniałych zakątkach, o tych naszych niezrównanych poleskich i kresowych „plein'airach“ — które to i zagranicę intensywnie też zainteresować mogą. Trzeba, prócz tego, pod uwagę przyjąć, że „qui scit“ co za górą, kto wie, jak w przyszłości „ukrystalizują“ się u nas zwierzostany pewnych rzadkich gatunków, jak to: niedźwiedzi, łosi, rysy, głuszców poniekąd?!... Mam nadzieję, że nie spotka ich nieszczęsny los żubrów, lecz cobyśmy dzisiaj dali, żeby móc oglądać myśliwego „rulującego“ potężnego byka tego gatunku, na tle swoistego otoczenia, nietkniętej puszczy praojców!... Nieprawdaż?... Więc powtarzam, jest to li tylko z mojej strony czarna *supozycja*, lecz kiedyś i tęgi odyniec-pojedynek w ogniu padły, tembardziej miś niesamowity, królewski „urogallus“ przy elektrycznej projekcji w momencie miłosnego zachwyty tokowego lub przy spadnięciu przez aparat „uchwycony“, dalipan, czyż nie *historyczną* doniosłość mieć będą?... A gdyby nawet, co daj Boże, za lat setkę — było ku radości następnych pokoleń — na naszych terenach szlachetnych tych gatunków jak gwiazd na niebie, jak mrowia w lesie — to chyba oglądanie współczesnych myśliwców, ich strojów, uzbrojenia, sposobów polowania — mieć też będą powa-

żne znaczenie już jako zabytek dawno miniony zamier-
chlej przeszłości!

* * *

Zawdzięczając mądrym zarządzeniom Ministerstwa Rolnictwa, jego obecnego kierownika, jako też działaczy odnośnych departamentów z niezmordowanym radcą ministerjalnym myśliwym-poetą Juljanem Ejsmondem, obecnie wytwarza się tam, o potężnym planie film krajoznawczy, łowieckimi fragmentami urozmaicony. Zaiste, doniosła i ważna bardzo inicjatywa, za którą szczerą wdzięczność, nietylko nas wszystkich, lecz i tych, co po nas nastąpią, należeć się winna!... Pożądaniem jednak, według mnie, byłoby, jeśliby kto tylko z najmilszych kolegów naszych z pod znaku Ś-go Huberta posiadał odpowiednie ku temu środki, — prywatnie też zająć się „filmowaniem“ swoich i gości swych polowań.

Pewien jestem, że istne „furory“ i niewidziany „sukces“ wywołałyby podobne łowy, zdjęciami urozmaicone. Z domieszką jeszcze zawsze drzemiącego w każdym z nas pewnego „snobizmu“. Bagatela! Siebie samego zobaczyć i to... „excusez du peu“ niepuślującego *nigdy* nawet (na pociechę oczywiście osobników tego gatunku „arkana“ kinowe mieć mogą zawsze podobną „konsolację“). Lecz, przy sprytnych, biegłych operatorach, co za bogactwo rzeczywiście „schwyconych“, celnych strzałów zdjęć cudnych fragmentów widokowych tajników przyrody wreszcie, typów lokalnych gajusów, miejscowych chłopów, bab, uprzęży i koni nawet!... Drogoby zapłaciła niejedna z pierwszorzędnych wytwórni Hollywoodu za podobiznę niejednego Hryhora czy Wasyla, moczarów poleskich aborygena. To wszystko bardzo piękne, lecz łatwo mówić, a tembardziej *pisać*, a któż i gdzie wynajdzie *amatorów* do wykonania zdjęć „prywatnych“? *A koszty* bajeczne po-

dobnych produkcji. Czy *wozic* z sobą armję operatorów? Otóż zdaje mi się, że przy pewnej dozie energii i przedsiębiorczości niejedna z naszych wytwórni zgodziłaby się wejść w „kombinację“ z właścicielami obszernych terenów łowieckich, lub wybierających się na *ciekawsze* polowania. Przecież przed wojną w roku 1913, bez *żadnych* starań z mej strony, *robiono mi propozycje* „odkomentowania“ dla mojej osoby technika operatora dla sfilmowania momentu strzału do niedźwiedzia w barłogu (gawrze). Ekspedycja urzeczywistnić się miała w następnym już sezonie zimowym. Niestety, wybuchła wielka wojna, — podczas której już sam sługa łaskawych czytelników począł odgrywać rolę obiektu myśliwego, na bardzo *niewdzięcznych* terenach myśliwsko-ludzkich. Nie wiem, jakby to się u nas obecnie ukształtowało i mogło wejść w życie — lecz rzucam myśl. Sądzę, że przed trzynastu laty kunszt filmowy nie dorównywał dzisiejszemu rozrośnięciu się i znaczeniu, a jednakże inicjatywa *samo-rzutna* miała miejsce. Dlaczegożby teraz? Pomijając jednak podobne załatwienie tej sprawy — tyle jest małych, ręcznych, wybornych aparatów, którymi też bardzo łatwo szereg doskonałych zdjęć kinowych dokonywać. Pragnąc żeby to nie wyglądało na reklamę, nie wymieniam „marek“ i „firm“, o których każdy, o ile się zainteresuje, z łatwością dowie się i z punktu przy dobrych chęciach, nauczy się „operować“ niegorzej od zawodowego filmiarza. Powtarzam jeszcze raz, — rzucam myśl... Niech ją Święty Patron nasz ma w swej opiece! Ten, któremu się nasza „cześć“ należy!



~~BIBLIOTEKA~~
Licznik Po
W GŁIWICACH





SPIS RZECZY

	Str.
OPOWIADANIA MYŚLIWSKIE	
Na niedźwiedzia	11
Epilog polowania na niedźwiedzie	20
Mój pierwszy dubelt	31
Fatalne toki	38
Dzika gęś	61
Na kaczki w pantoflach	77
Moje pierwsze głuszce	83
Wiosenne toki głuszców	89
Jak spotkałem się z djabłem na polowaniu	94
Z Polesia	103

SYLWETKI MYŚLIWYCH DAWNEGO AUTORAMENTU

Duc de Richelieu z Mozyrskiego powiatu	111
Bronisław Dymnicz	117
Adam Dymnicz	123
„Kindrad“	129
Antoni Zapolski	134
„Androń“	140
Nikifor Czerniuk	146

KRONIKA ŁOWIECKA. WSPOMNIENIA. NOTATKI

Przedwiośnie	155
Na wiosennych rozlewach	158
„Dancing“ dubeltów	164
Z wrażeń pomorskich	169
W tajdze Ołonieckiej	173
Z wrażeń poleskich	180
Z wyczasów poleskich	187

	Str.
Z wrażeń wołyńskich	192
Na wielkich wodach Wołynia	198
Na wilki	204
Zimowe polowania na zające bielaki na Północy .	209
Wspomnienie o ś. p. Hieronimie Kieniewicz	215
Ś. p. Jan Sztolcman (mowa nad trumną)	219
Kilka słów o piśmiennictwie łowieckim w Bolszewji	221
„Bajki“ Juljana Ejsmonda	227
Szlaki przelotu słońca i zachowanie się ich pod- czas pobytu w Dzikich Polach ,	231
Doniosłe znaczenie kinematografji dla rozwoju ro- dzimego łowiectwa	243

POWIEŚCI HISTORYCZNE
WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO
(WIESŁAWA SCLAVUSA)

czytać należy w następującej kolejności:

CZARNY GENERAL

W 1 TOMIE

HURAGAN

W 3 TOMACH

ROK 1809

W 2 TOMACH

SZWOLEŻEROWIE GWARDJI

W 1 TOMIE

PANI WALEWSKA

W 2 TOMACH

KSIĘŻNA ŁOWICKA

W 2 TOMACH

B E M

KRÓLOBÓJCY

Tragiczne dzieje carów rosyjskich, które od pierwszego rozbioru Polski aż do wybuchu wojny światowej zawierają wiele cennego materiału historycznego, dotyczącego spraw naszych.

Wszystkie powyższe dzieła (oprócz „Pani Walewskiej”)

WYDANE ZOSTAŁY NAKŁADEM SP. AKC.

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

WARSZAWA, PLAC TRZECH KRZYŻY 8.

Nakładem Sp. Akc. „DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ“

wydawane są począwszy od stycznia 1928 r.

PISMA ZBIOROWE JOSEPHA CONRADA

(JÓZEFA KONRADA KORZENIOWSKIEGO)

z przedmową STEFANA ŻEROMSKIEGO, w tłumaczeniach polskich H. GAY, HAJOTY, W. HORZYCY, J. LEMAŃSKIEGO, L. PIWIŃSKIEGO, T. PUŁJANOWSKIEGO, B. RYCHLIŃSKIEGO, X. T. SAPIEŻYNY, J. SIENKIEWICZÓWNY, T. TATARIEWICZOWEJ, S. WYRZYKOWSKIEGO, A. ZAGORSKIEJ i innych.

Całość wydawnictwa składać się będzie z następujących dzieł:

- *I. Szaleństwo Almayera**
- II. Wygnaniec**
- *III. Murzyn z załogi „Narcyza“**
- *IV. Opowieści niepokojące**
 - V. Lord Jim**
 - VI. Młodość**
 - *VII. Tajfun**
 - VIII. Falk**
 - IX. Nostromo**
 - X. Zwierciadło morza**
 - XI. Tajny agent**
 - *XII. Sześć opowieści**
 - XIII. W oczach Zachodu**
 - XIV. Wspomnienia**
 - XV. Między lądem a morzem**
 - XVI. Los**
 - *XVII. Wśród prądów**
 - *XVIII. Zwycięstwo**
 - XIX. Smuga cienia**
 - XX. Złota Strzała**
 - XXI. Wybawienie**
- XXII. Notatki o życiu i literaturze**
 - *XXIII. Korsarz**
 - *XXIV. Opowieści zasłyszane**
 - XXV. W zawieszeniu**
 - XXVI. Ostatnie szkice**
- XXVII. Romantyczna przygoda**
- XXVIII. Spadkobiercy**

oraz książki pisane wspólnie z Ford M. Huefferem:

Książki oznaczone * zostały już wydane.

ANTONI URBAŃSKI
Z CZARNEGO SZLAKU
I TAMTYCH RUBIEŻY

Opis zabytków polskich przepadłych na Podolu, Wołyniu i Ukrainie z 82 ilustracjami w tekście. Wydanie drugie.

Cena zł. 12.—

Kurjer Warszawski pisze o tej pracy:

„Na półkach księgarskich ukazało się drugie wydanie książki Antoniego Urbańskiego „Z czarnego szlaku i tamtych rubieży“, wydanie Domu Książki Polskiej w Warszawie. Pierwsze wydanie wyszło kilka miesięcy temu i zostało w ciągu paru tygodni rozsprzedane. Urbański pisze o zabytkach polskich przepadłych na Podolu, Wołyniu i Ukrainie. Opis jest uzupełniony 82 ilustracjami. Książka Urbańskiego to podzwonne kresowe z krainy zgliszcz i mogił. Widać, że autor pisał swą książkę pod dyktando wspomnień. Przewijają się przed oczyma czytelnika dzieje tej ziemi, gdzie przepadły bezpowrotnie dwory polskie, co szerzyły oświatę i kulturę. Tam gdzie był dwór, sterczy jeno komin. Przepadło kilka milionów książek, bezcenne archiwa i przywileje, pamiątki bojów o wolność i prawo. Przepadły galerje obrazów, marmury, malachity, gobeliny, arrasy, broń, rynsztunki. Zniszczono tam dobytek wiedzy, co szerzyły akademje, uniwersytety, klasztory, szkoły. Opis Urbańskiego, to jakby napisy na płytach grobowych. Książka jego winna się znaleźć w rękach każdego, któremu droga jest kultura ojczysta. Wszak to jedyna pamiątka tych rzeczy już nieistniejących, rzeczy, co winny zostać choćby w pamięci ludzkiej. Niedziw, że nad pierwszym wydaniem książki niejedną łzę uroniono.“

WYDAWNICTWO DOMU KSIĄŻKI POLSKIEJ

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

SP. AKC. W WARSZAWIE, PLAC TRZECH KRZYŻY 8

POLECA POWIEŚCI:

- Augustynowicz Jan.* KSIĄDZ PROT. Historia ludzka.
Wydanie trzecie, na nowo przez autora opracow. 4.80
- Augustynowicz Jan.* PIEKŁO. Pieśń życia i śmierci. 8.—
- Conrad Joseph.* MURZYN Z ZAŁOGI „NARCYZA“ 6.—
- OPOWIEŚCI ZASŁYSZANE 4.—
- SZALEŃSTWO ALMAYERA 8.—
- TAJFUN. Przekład B. Rychlińskiego 3.80
- WŚRÓD PRĄDÓW 6.—
- Galsworthy John.* PATRYCJUSZ. Przekład z angielskiego. 7.50
- Gąsiorowski Wacław (Wiesław Sclavus).* BEM. Powieść historyczna z czasów powstania listop. 8.—
- HURAGAN. Powieść historyczna w 3 tomach 18.—
- KRÓLOBÓJCY. Historia carów rosyjskich . . 10.—
- KSIĘŻNA ŁOWICKA. Powieść hist. w 2 tomach 10.—
- ROK 1809. Powieść historyczna w 2 tomach 10.—
- SZWOLEŻEROWIE GWARDJI. Powieść hist. 7.—
- Gliński A. J.* BAJARZ POLSKI. Baśnie, powieści i gawędy ludowe z barwnymi rycinami Hoppena 12.50
- Marion.* ROZBITE GNIAZDA. Opowieść o szarych ludziach 4.80
- Relidziński J.* POWRÓT Z TAMTEGO ŚWIATA 9.—
- Rzewuski A. hr.* ZE STRZELBĄ NA RAMIENIU 8.—
- Szabłowski T.* KOBIETY Z ZASADAMI. Nowele erotyczne 4.—
- Zahorska A. (Savitri).* TRUCIZNY. Powieść współcz. 6.60
- Zyberk-Plater Ir. hr.* KOBIETY I ŻONY czyli Tajemniczy Andrzej 4.80

WYDAWNICTWA ILUSTROWANE:

- Album Ostrobramskie.* Podług zdjęć Prof. J. Bułhaka. Tekst pióra Prof. M. Limanowskiego. 20 plasz 3.50
- Urbański Antoni.* Z CZARNEGO SZLAKU I TAMTYCH RUBIEŻY. Opis zabytków polskich przepadłych na Podolu, Wołyniu i Ukrainie, z 82 ryc. w tekście. Wydanie drugie 12.—
- Warszawa. Varsovie. Warsaw.* Piękne album Warszawy z tekstem w 3 językach. Tekst ułożyli Al. Janowski i St. Lewicki. 68 plasz 8.—

NAJWIĘKSZA HURTOWNIA KSIĘGARSKA
W POLSCE

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ
SPÓŁKA AKCYJNA

WARSZAWA, PLAC TRZECH KRZYŻY 8

Przyjmuje na skład główny
wszelkie wydawnictwa pol-
skie: księgarskie, rządowe
i prywatne i rozsyła je w
komis do księgarzy w całej
Polsce. Wydaje pismo re-
klamowe

„Kurjer Księgarski“

POSIADA OLBRZYMIĘ SKŁADY WYDAWNICTW
WŁASNYCH i OBCYCH

DLA KSIĘGARZY, BIBLIOTEKARZY
i BIBLIJOFILÓW

nieodzowny jest podręczny katalog
zbiorowy wydawców polskich

„Przewodnik księgarski“

w 2 tomach

Zawierający kilkanaście tysięcy dzieł

Rocznik I za r. 1925 zł. 15.—, w oprawie
Rocznik II za r. 1926 zł. 7.50, w oprawie

NAJBLIŻSZE NOWOŚCI
DOMU KSIĄŻKI POLSKIEJ
W WARSZAWIE

JOSEPH CONRAD
N O S T R O M O

POWIEŚĆ Z POBRZEŻA MORSKIEGO

w 2 tomach

w tłumaczeniu Stanisława Wyrzykowskiego

HENRYK ŁUBIEŃSKI
RYCERZE ŚMIERCI

POWIEŚĆ Z 1863 ROKU

EMMA JELEŃSKA

(DMOCHOWSKA)

DWÓR W HALINISZKACH

POWIEŚĆ

w 2 tomach

Wydanie drugie

Prosimy zamawiać we wszystkich księgarniach

1993-01-25

14.05.1999

2009-09-03

2012-01-24

2013-09-11

